

Philip K. Dick

Prawda półostateczna

(The Penultimate Truth)

Przełożył Jarosław Józwiak

Mgła czasami wdziera się do naszego wnętrza, przepelnia nas. Przez długie, wysokie okno biblioteki – ozymandiańskiej budowli wzniesionej z betonowych bloków, które kiedyś, w innej epoce, stanowiły zwieńczenie wjazdu na biegnącą brzegiem oceanu autostradę – Joseph Adams w zadumie przyglądał się mgłę unoszącej się nad Pacyfikiem. A ponieważ był wieczór i świat pomału spowijał mrok, mgła ta przerażała go równie mocno jak inna mgła, która opanowała jego wnętrze, gęstniała, wypełniając pustkę jego ciała. Ludzie zwykli nazywać tę mgłę samotnością.

– Przygotuj mi drinka – usłyszał zza pleców głos Colleen.

– Nie masz rąk? A może brak ci siły, by wycisnąć cytrynę? – Odwrócił się od okna wychodzącego na martwe drzewa, spowite teraz półmrokiem, za którymi rozciągał się Pacyfik. Przez chwilę chciał nawet przygotować jej tego drinka, ale natychmiast przypomniał sobie, co tak naprawdę powinien teraz zrobić.

Usiadł przy stole z marmurowym blatem, który ocalał ze zbombardowanego budynku w Dzielnicy Rosyjskiej miasta zwanego dawniej San Francisco. Włączył krasomównię.

Mamrocząc coś po cichu, Colleen wyszła w poszukiwaniu blaszaka, który przygotowałby jej drinka. Joseph Adams siedzący za krasomównią słyszał, jak wychodziła, cieszył się. Z jakiegoś powodu – nie chciało mu się zastanawiać jakiego – czuł się bardziej samotnie, kiedy Colleen Hackett była przy nim, niż kiedy był sam. Zresztą nie cierpiał przygotowywać jej drinków w niedzielne wieczory. Drink okazywał się zawsze zbyt słodki, jak gdyby przez pomyłkę jeden z jego blaszaków podstawił mu butelkę tokaju, a on użył go zamiast wytrawnego wermutu. Jednak jak na ironię blaszaki nigdy się nie myliły. Czyżby stawały się mądrzejsze od nas? – zastanawiał się Adams.

Wpisał na klawiaturze krasomówni pożądany rzeczownik. „Wiewiórka”. Zastanawiał się dwie minuty, po czym dodał przymiotnik ograniczający „mądra”.

– W porządku – rzekł głośno, rozsiadł się wygodniej w fotelu i nacisnął klawisz „enter”.

Dokładnie w chwili gdy Colleen weszła z powrotem do biblioteki, krasomównia zaczęła konstruować przemówienie.

– Wiewiórki to mądre zwierzęta – rozległ się metaliczny głos (urządzenie miało jedynie malutki głośnik) – jednakże ich mądrość nie jest wcale taka zwyczajna. Natura wyposażyla je w...

– Och Boże – zdenerwował się Adams i mocno klepnął płaską metalowo-plastikową obudowę urządzenia, które natychmiast zamilkło. W tym momencie Adams dostrzegł Colleen.

– Przepraszam, ale jestem już zmęczony. Dlaczego ktoś tam na górze, Bore, generał Holt albo marszałek Harenzany, nie przesunie niedzielnego wieczora gdzieś pomiędzy piątkowe popołudnie a...

– Słyszałam, że wpisałeś tylko dwie jednostki semantyczne – przerwała mu Colleen. – Musisz wprowadzić więcej danych

– Chwileczkę. – Adams włączył urządzenie i wpisał całe zdanie, podczas gdy Colleen stała nad nim i siorbała płyn ze szklanki. – Zadowolona?

– Nie mogę cię zrozumieć – rzekła Colleen. – Czy ty tak nie znosisz swojej pracy, czy wręcz przeciwnie – kochasz ją bez opamiętania? – Przeczytała na głos zdanie wpisane do krasomówni: – „Świetnie poinformowany nieżywy szczur baraszkował pod oniemiałą, różową kłodą drewna”.

– Chciałbym tylko dowiedzieć się wreszcie, co potrafi ta głupia maszyna, która kosztowała mnie piętnaście tysięcy dolarów. Mówię poważnie. Mam nadzieję, że się wysili – z całej siły nacisnął klawisz „enter”.

– Na kiedy masz napisać to przemówienie? – spytała Colleen.

– Na jutro.

– Wstań wcześniej.

– O nie. – Kiedy muszę wcześniej wstać, jeszcze bardziej mnie to wkurza, pomyślał.

Krasomównia zaintonowała swoim blaszanym głosem:

– Człowiek uważa szczura za swojego wroga. Ale weźmy pod uwagę, jak cenne jest to zwierzę, choćby w badaniach nad lekiem przeciwko nowotworom, a natychmiast uświadomimy sobie, że szczur jest Prometeuszem, niosącym ludzko...

Po kolejnym wybuchu Adamsa krasomównia ucichła.

– ...ści – dokończyła Colleen, przyglądając się półkom, na których Joseph Adams trzymał teksty reklam telewizyjnych z dwudziestego wieku, szczególnie dotyczących religii i batoników Mars, niezapomniane twory Stana Freberga. – Beznadziejna metafora – mruknęła. – Szczur Prometeuszem... ale założę się, że nawet nie wiesz dokładnie, kim był Prometeusz. – Kiwnęła na blaszaka, który na jej wezwanie pojawił się właśnie w drzwiach biblioteki. – Weź mój płaszcz i każ podstawić fruwadło. Wracam do domu – dodała, kierując słowa do Joego. Kiedy jednak ten nie zareagował, poradziła:

– Może spróbuj napisać całe to przemówienie bez pomocy krasomówni. Swoimi słowami. Wtedy nie będziesz już zdany na „szczura – Prometeusza”.

Wątpię, żebym potrafił powiedzieć to własnymi słowami, pomyślał. Teraz już jestem skazany na tę maszynę.

Mgła na zewnątrz odniosła zwycięstwo. Adams zauważył kątem oka, że spowijała teraz całą okolicę, dotarła nawet do okna biblioteki. Cóż, przynajmniej oszczędziła nam jednego z tych radioaktywnych zachodów słońca, cieszył się w duchu.

– Pani fruwadło, panno Hackett – oznajmił blaszak. – Oczekuje już przy głównym wejściu. Przekazano mi również, że pani szofer II generacji jest już gotów. W związku z wieczornym ochłodzeniem jeden z domowych służących pana Adamsa zapewni pani nawiew ciepłego

powietrza do momentu, gdy bezpiecznie umieścimy panią w pojeździe.

– Jezu. – Joseph Adams westchnął, potrząsając głową.

– Sam go tego nauczyłeś, kochany – przypomniała mu Colleen. – Te lingwistyczne przyzwyczajenia ma po tobie.

– No i dobrze. Lubię styl, pompę i tradycję – zezłościł się Adams. – A wracając do sprawy, Brose napisał mi w notatce, którą przesłał bezpośrednio z biura w Genewie, że przemówienie powinno opisywać wiewiórkę jako sprawnie działającą jednostkę. Co odkrywczego można jeszcze powiedzieć o wiewiórcy? Wiewiórki są zwierzątkami skrzętnymi i zapobiegliwymi. To wszystko wiemy. Czy wiemy jeszcze coś pożytecznego, co można by wykorzystać do zbudowania cholernego morału? – Cóż, są martwe, pomyślał. Taka forma życia po prostu już nie istnieje, a mimo to nadal opiewa się jej zalety... po tym, jak ludzie ją wytępilli.

Szybko wystukał na klawiaturze krasomówni dwie jednostki semantyczne. „Wiewiórka” i... „ludobójstwo”. Maszyna z miejsca zaszczębiotała:

– Wczoraj, kiedy szedłem do banku, zdarzyła mi się śmieszna historia. Przechodziłem akurat przez Central Park, kiedy...

– Przechodziłeś wczoraj przez Central Park?! – powtórzył, wpatrując się z niedowierzaniem w krasomównię, Joe. – Central Park nie istnieje od czterdziestu lat.

– Joe, to przecież tylko maszyna. – Colleen, narzuciwszy płaszcz na ramiona, wróciła, by ucałować go na do widzenia.

– Chyba jej odbiło – zaprotestował Joe. – Poza tym, ja wpisuję jej słowo „ludobójstwo”, a ona zaczyna od tego, że zdarzyła jej się „śmieszna” rzecz! Czy ty...

– Ona po prostu wspomina – odparła Colleen, starając się wytłumaczyć dziwne zachowanie urządzenia. Ukłękła, ujęła w obie dłonie twarz Joego i spojrzała mu prosto w oczy. – Kocham cię – oznajmiła. – Ale jeśli będziesz dalej tyle pracował, to sam się wykończysz. Gdy będę w moim biurze w Agencji, napiszę do Brose’a formalną prośbę o dwutygodniowy urlop dla ciebie. Mam coś. Taki mały podarunek. Blaszkaki znalazły to w pobliżu domu. Jeszcze na terenie mojej posiadłości.

– Książka. – Adams poczuł przyływ sił witalnych.

– Wyjątkowo dobra książka. Oryginalna, przedwojenna. Nie jakaś tam fotokopia. Wiesz, jak się nazywa?

– „Alicja w krainie czarów”? – Tak wiele o niej słyszał, zawsze chciał ją mieć i przeczytać.

– Lepiej. To jedna z tych śmiesznych książek z lat sześćdziesiątych, w całkiem dobrym stanie. Okładka nienaruszona. To typ poradnika. „Jak uspokoiłem się, wypijając sok z cebuli” albo coś w tym stylu. „Zarobiłem tysiąc dolarów jako podwójny agent FBI”. Albo...

– Colleen, wiesz, pewnego dnia wyjrzałem przez okno i zobaczyłem wiewiórkę – przerwał jej.

Colleen spojrzała na niego zdziwiona i rzekła krótko:

– Nie wierzę.

– Ten ogon. Nie można pomylić jej z żadnym innym zwierzęciem. Puszysty i rudy, jak zaokrąglona szczotka do mycia butelek. Skakała o tak. – Tu zrobił ruch dłonią, który miał przedstawić skoki wiewiórki. – Zacząłem krzyczeć na całe gardło i kazałem czterem z moich blaszaków przeczesać całą okolicę. – Wzruszył ramionami. – Ale one wróciły i powiedziały: „Tam nie ma żadnego zwierzęcia, panie”, czy coś w tym rodzaju. – Na chwilę umilkł. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że była to tylko halucynacja wywołana zbyt dużą ilością alkoholu i za małą ilością snu. Wiedział o tym on i jego blaszaki. Teraz wiedziała to także Colleen. – Jednak gdyby okazało się to prawdą...

– Opisz własnymi słowami to, co czuleś. Ręką na papierze, a nie nagrywając na dyktafon. Co oznaczałoby dla ciebie znalezienie żywej wiewiórki. – Machnęła ręką w stronę krasomówni za piętnaście tysięcy dolarów. – I nie zadawaj się więcej z tą maszyną.

– Brose'owi się spodoba – odparł Adams. – Może przepuszcze to potem przez skaner, do pamięci i na taśmę. Tak, to się chyba da zrobić. Chociaż Genewa i tak tego nie zaakceptuje. Przemówienie nie byłoby zbyt podnoszące na duchu. – Przez chwilę zastanowił się. – Spróbuję – zdecydował, wstając i odsuwając od siebie krzesło. – Może rzeczywiście napiszę to odręcznie. Znajdę tylko ten... no... jak to się nazywa?

– Długopis. Staraj się zapamiętać: dłu-go-pis.

Skinał głową.

– I zaprogramować Megawaka bezpośrednio z rękopisu? Może i masz rację. Nie wyjdzie chyba najlepiej, ale przynajmniej nie będę się czuł tak beznadziejnie, jak recytując te brednie. – Zaczął przeszukiwać bibliotekę w poszukiwaniu... jak ona to powiedziała?

Kiedy przechodził koło krasomówni usłyszał, jak urządzenie niezmiernie ciągnie:

– ...i to małe zwierzę, mimo niewielkich rozmiarów głowy, odznaczało się ogromną przebiegłością. Przebiegłością, jakiej ani ja, ani pewnie wy nie potrafimy sobie wyobrazić.

Pod obudową tysiące układów scalonych drażyło temat na podstawie informacji, jakie wprowadzono do jej pamięci. Urządzenie mogło tak ciągnąć w nieskończoność, ale Adams nie miał czasu słuchać. Znalazł już długopis i potrzebował jeszcze tylko kartki papieru. To chyba jeszcze mamy, do cholery. Skinął na blaszaka, który czekał, by towarzyszyć Colleen do jej fruwadła.

– Przekaż, żeby mi znaleźli kawałek papieru, na którym mógłbym pisać – rozkazał. – Niech przeszukają wszystkie pokoje w mieszkaniu, łącznie z sypialniami, nawet tymi nieużywanymi. Wydaje mi się, że widziałem gdzieś kilka kartek.

Blaszak, dzięki bezpośredniemu połączeniu radiowemu, przekazał polecenie. Chwilę potem służba Adamsa ruszyła przez pięćdziesiąt kilka pokoi w mieszkaniu. Joe prawie czuł, jak cały

budynek tętni życiem, mimo iż służba składała się wyłącznie z tego, co Czesi nazywali „robotami”, a co w ich języku oznaczało „pracownika”.

Mgła na zewnątrz pukała już do okna.

Joe był pewien, że kiedy Colleen wyjdzie, mgła z coraz większą uporczywością będzie się dobijać do jego okna.

Chciałby, żeby był poniedziałek. Byłby wtedy w Agencji, w Nowym Jorku, w towarzystwie innych Yansowców. Tamtejsze życie jest życiem rzeczywistym, a nie tylko ruchem nieżywych... czy raczej nieożywionych przedmiotów.

– Kocham swoją pracę – rzekł nagle. – Prawdę mówiąc, nie potrafię się bez niej obyć. Nie istnieje dla mnie nic poza nią. Nawet to... – Zatoczył dłonią krąg, wskazując na pokój, w którym stali, i ciemne okno, spowite teraz mgłą.

– Praca jest dla ciebie jak narkotyk – zauważyła Colleen.

– Dobrze – zgodził się. – Mówiąc językiem naszych przodków, „nabywam to”.

– Też mi lingwista. Mówi się „kupuję” – poprawiła go z uśmiechem Colleen. – Może jednak powinieneś skorzystać z usług tej maszyny.

– Nie – odparł zdecydowanym tonem. – Miałaś rację. Mam zamiar zacząć wszystko od początku i napisać przemówienie odręcznie. – Za chwilę któryś z jego blaszaków powinien przybyć tutaj z kartką papieru. Adams wiedział, że gdzieś na pewno taką widział.

A nawet jeśli nie, to na pewno uda mu się dokonać korzystnej wymiany z sąsiadem. Wybierze się, oczywiście w eskorcie blaszaków, do posiadłości znajdującej się na południe od jego domu, należącej do Ferrisa Granville’a. Ferris na pewno ma papier. Przecież, jak oznajmił tydzień temu na wideokonferencji, pisze teraz – pozał się Boże – pamiętnik.

Niezależnie od tego, co w tym wypadku oznaczało słowo „pamiętnik”.

Pora do łóżka. Tak w każdym razie twierdził zegarek, ale jeśli znowu wyłączyli prąd, a przecież w ciągu ostatniego tygodnia już raz go wyłączyli na cały dzień, to zegarek mógł teraz spieszyć się o wiele godzin. Prawdę mówiąc, pomyślał ze złością Nicholas St. James, może właśnie jest pora wstawania. Niestety, metabolizm jego ciała nawet po tych wszystkich latach spędzonych pod ziemią nic mu nie podpowiadał.

W łazience ich kabiny 67-B w Tom Mix szumiała woda. Nicholas wiedział, że jego żona bierze prysznic. Spojrzał na jej toaletkę i znalazł zegarek. Zgadza się. Czas już spać. A mimo to czuł, że nie mógłby teraz zasnąć. Zdał sobie sprawę, że to z powodu sprawy Maury'ego Souzy. Nie dawała mu spokoju i wciąż wierciła dziurę w mózgu. Pomyślał, że podobnego uczucia musi doświadczać człowiek, do którego mózgu dostała się Czarna Zaraza, śmiertelny wirus sprawiający, że głowa delikwenta puchnie, po czym eksploduje jak bańka mydlana. Może jestem chory, zastanawiał się. I to nawet bardziej niż Souza. A Maury Souza, główny mechanik ich osady, który obecnie miał ponad siedemdziesiątkę, właśnie umierał.

– Wychodzę – zawołała Rita z łazienki. Prysznic jednak nadal działał, a Rita nie wychodziła.
– To znaczy możesz wejść i umyć zęby albo włożyć je do szklanki, nie wiem, co tak naprawdę z nimi robisz.

Złapałem Czarną Zarazę, odparł w myślach Nicholas. Pewnie ten ostatni popsuty blaszak, którego tu przysłali, nie został odpowiednio odkażony. A może złapałem Śmierdzącego Pokurcza. Na samą myśl o tym, że jego głowa mogłaby zmniejszyć się do rozmiarów kamyka, zadrżał.

– Dobra – powiedział głośno i zaczął ściągać robocze buciorzy. Nagle poczuł potrzebę umycia się. Weźmie prysznic, mimo surowego ograniczenia przydziałów wody, które sam zarządził w Tom Mix. Kiedy nie czujesz się czysty, to już po tobie, pomyślał. Szczególnie biorąc pod uwagę, czym można się tutaj pobrudzić. Te wszystkie mikroskopijne żyjątka, których jakiś niedbały, ręcznie montowany, przenośny warsztat nie zdołał wytłuc przed zrzuceniem na nas trzystu funtów skażonej materii, równie gorącej, jak brudnej. Gorącej od radioaktywności i brudnej od zarazków. Wspaniała kombinacja.

Wrócił myślami do Souzy. Czy liczy się jeszcze coś innego? Jak długo uda nam się wytrzymać bez tego wiekowego, zrzędliviego starucha?

Jakieś dwa tygodnie. Ponieważ właśnie za dwa tygodnie przyjedzie tu komisja. O ile znał swoje szczęście i szczęście jego osady, tym razem odwiedzi ich agent ministra spraw wewnętrznych, Stantona Brose'a, a nie generała Holta. Za każdym razem następowała rotacja. Jak tłumaczył Yans, chodziło o to, żeby nie dopuścić do korupcji.

Podniósł audiofon i zadzwonił do kliniki.

– Jak się czuje?

Po drugiej stronie słuchawki dr Carol Tigh, internistka nadzorująca małą klinikę, odparła:

– Bez zmian. Jest przytomny. Niech pan zejdzie. Mówił, że chciałby z panem porozmawiać.

– Dobrze. – Nicholas odłożył słuchawkę i starając się przekrzyczeć odgłos ciekącej wody, powiedział Ricie, że wychodzi. Na zewnątrz, w korytarzu, mijał innych osadników, którzy właśnie wracali ze sklepów i pokoi rekreacyjnych do swoich kabin na zasłużoną drzemkę. Zegarki najwyraźniej miały rację, bo widział wiele szlafroków kąpielowych i standardowych, syntetycznych kapci. Rzeczywiście, pora spać, pomyślał Nicholas. Ale teraz nie mógłby zasnąć.

Trzy poziomy niżej, w klinice, minął puste poczekalnie. Klinika była już zamknięta. Doszedł do pokoju pielęgniarek. Pielęgniarki wstawały, kiedy obok nich przechodził, bo przecież w końcu był ich demokratycznie wybranym prezydentem. Wreszcie dotarł do pokoju Maury'ego Souzy. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „Cisza. Nie przeszkadzać!”. Nicholas nacisnął klamkę.

W dużym, białym łóżku leżało coś płaskiego, coś tak cienkiego, że wydawało się, iż to zaledwie odbicie czyjejś sylwetki. Postać tę otaczała poświata, która raczej pochłaniała całe okoliczne światło, niż je odbijała. Nicholas, podchodząc do łóżka, zdał sobie sprawę, że poświata owa pochłania wszelkiego rodzaju energię. Przed nim leżała już tylko namiastka człowieka, z którego niewidzialny pająk wysał wszystkie życiowe soki. Pająk żywiący się ludzkim istnieniem.

Starszy mężczyzna poruszył ustami.

– Cześć.

– Cześć, twardogłowy staruszku – odparł Nicholas. Przyciągnął krzesło i siadł przy łóżku. – Jak się masz?

Po chwili milczenia, jakby słowa Nicholas musiał przebyć daleką drogę, zanim dotarły do mózgu mechanika, starszy człowiek odparł:

– Nie najlepiej, Nick.

Nawet nie wiesz, jak jest z tobą źle, pomyślał Nicholas. Chyba że Carol była u ciebie po rozmowie ze mną. Przyglądał się uważnie staremu mechanikowi, zastanawiając się, czy on wie. Zapalenie trzustki prawie zawsze kończyło się zejściem. Tak twierdziła Carol. Nikt jednak nie chciał powiedzieć tego Souzie. Zawsze przecież mógł wydarzyć się cud.

– Wyjdiesz z tego – rzekł niepewnie Nicholas.

– Słuchaj, Nick. Ile blaszaków zrobiliśmy w tym miesiącu?

Nicholas nie mógł się zdecydować, czy powinien powiedzieć prawdę, czy skłamać. Souza od ośmiu dni był w łóżku. Z pewnością stracił już poczucie rzeczywistości. Nie mógł go sprawdzić i przyłapać na kłamstwie. Dlatego skłamał:

– Piętnaście.

– W takim razie... – Wzrok Souzy był wbity w sufit, chory nie patrzył na Nicholasa, jakby się wstydził. – Możemy jeszcze wyrobić normę.

– A co mnie to obchodzi – zniecierpliwił się Nicholas. Znał Souzę od piętnastu lat. Przez cały okres wojny, okrągłe piętnaście lat siedział z nim tutaj w Tom Mix. – Ważne jest tylko, czy... – Boże, wymknęło mu się...

– Czy uda mi się stąd wydostać? – dokończył szeptem Souza.

– Oczywiście chciałem powiedzieć „kiedy”. – Jak mógł popełnić taką gafę.

W drzwiach stanęła Carol. Wyglądała bardzo uczenie w białym fartuchu i chodakach. Pod ręką trzymała teczkę, zawierającą zapewne kartę choroby Souzy. Nicholas bez słowa wstał i minawszy Carol, wyszedł na korytarz.

Lekarka poszła za nim. Przez chwilę, milcząc, stali w pustym korytarzu, aż wreszcie Carol się odezwała:

– Przeżyje jeszcze najwyżej tydzień. Potem umrze. Niezależnie od tego, czy znowu się przy nim sypniesz, czy nie.

– Powiedziałem mu, że nasze zakłady wypuściły w tym miesiącu piętnaście blaszaków. Pilnuj, żeby przypadkiem nikt nie powiedział mu prawdy.

– Z tego, co ja wiem, to chyba wypuściliście piątkę.

– Siódmkę – poprawił ją Nick. Mógł jej to wyjawić nie dlatego, że była ich lekarzem i że od niej zależało ich życie, ale z powodu ich związku. Zawsze mówił Carol wszystko. Był to jeden z tych haczyków emocjonalnych, które przyciągały go i utrzymywały blisko niej. Zresztą nawet kiedy próbował ją okłamać, co zdarzało się bardzo rzadko, Carol bez trudu odgadywała podstęp. Po co więc miałby znów próbować? Carol nigdy nie chciała od niego pięknych słówek, wolała nagą prawdę. I oto jeszcze raz ją poznała.

– W takim razie nie wyrobimy normy – oceniła. I miała rację.

Nick pokiwał głową.

– Częściowo dlatego, że zażądali trzech blaszaków typu VII, a one są bardzo skomplikowane. To skutecznie spowolniło robotę. Gdyby miały być tylko trójki lub czwórki... – Ale tak przecież nigdy nie było. I nie będzie. Dopóki na powierzchni będzie trwać wojna.

– Wiesz – zaczęła Carol – że na powierzchni mają sztuczne trzustki. Mógłbyś spróbować drogą oficjalną...

– To nielegalne – odparł Nicholas. – Mają je tylko szpitale wojskowe. Są ważniejsze. Jednostki stopnia 2-A. My się do nich nie zaliczamy.

– Ale chodzą słuchy...

– Chcesz, żeby nas złapali? – nie dał jej skończyć Nicholas. Z pewnością byłaby to bardzo krótka sesja sądu wojennego, po której nastąpiłaby równie szybka egzekucja. Przyłapanie kogoś na czarnorynkowym handlu albo w ogóle gdziekolwiek na górze mogło skończyć się tylko

w jeden sposób.

– Boisz się pójść na górę? – spytała jak zwykle wprost Carol, przypatrując się uważnie Nicholasowi.

– Uhm – przytaknął. Bał się.

W ciągu dwóch tygodni: śmierć przez zniszczenie zdolności szpiku kostnego do produkcji czerwonych krwinek. W ciągu tygodnia: Czarna Zaraza, Śmierdzący Pokurcz albo Trzęsawka. Na samą myśl o tym czuł, że ma dość wszelkich zarazków. A przecież dopiero co zastanawiał się, co mu dolega. Podobne myśli musiał mieć każdy osadnik, chociaż jak na razie w Tom Mix nikt jeszcze nie zapadł na żadną z tych chorób.

– Możesz zwołać zebranie tych... którym ufasz – odpowiedziała Carol – i spytać, czy ktoś nie poszedłby na ochotnika.

– Niech to szlag, jeśli ktoś w ogóle pójdzie, to na pewno będę to ja. – Nie chciał jednak wysłać nikogo, ponieważ wiedział, co dzieje się na górze. Jeśli delikwent nie stanie przed sądem wojennym, to znajdzie go pocisk homotropowy, który będzie podążał jego śladem aż do końca, co zresztą prawdopodobnie nastąpi w ciągu kilku minut.

Broń homotropowa nie była zbyt humanitarna. Zresztą to, co robiła z człowiekiem, też nie.

– Wiem, jak bardzo chciałbyś pomóc staremu Souzie – rzekła Carol.

– Kocham go – przyznał. – Jest dla mnie ważniejszy od zakładów, normy i wszystkiego innego. Czy odkąd tutaj siedzimy, odmówił komukolwiek jakiejś przysługi? Niezależnie od pory dnia i nocy, czy to była ciekająca rura, zanik zasilania czy zatkany przewód wentylacyjny, zawsze przychodził, latał, spawał, poprawiał i wszystko znów działało bez zarzutu. – A przecież jako główny mechanik mógł wysłać jednego ze swoich pięćdziesięciu pomocników i przejść nad sprawą do porządku dziennego. Nicholas nauczył się od niego, że jeśli samemu wykonało się zadanie, nie trzeba było zrzucać roboty na swoich podkomendnych.

Tak jak na nas zrzucano produkcję maszyn wojennych, pomyślał Nick. Budowę metalowych wojowników w ośmiu podstawowych typach. A rząd w Estes Park, funkcjonariusze ZachDemu i agenci Brose'a stoją nad nami i bacznie przyglądają się produkcji.

W tym momencie, jakby myślami wezwał niewidzialne siły czuwające nad nimi, w korytarzu pojawiła się nagle jakaś szara postać sunąca w ich kierunku. Był to komisarz rządowy, Dale Nunes, jak zwykle zaganiany i zdenerwowany.

– Nick! – krzyknął zdyszany Nunes, patrząc na kartkę papieru. – Przemówienie za dziesięć minut. Powiedz wszystkim przez audio-węzeł, żeby przyszedli do Sali Sterowniczej. Chcę, żeby wszyscy tam byli, bo na pewno pojawią się jakieś pytania. Sprawa jest poważna. – Jego małe, ptasie oczka były rozbiegane, najwidoczniej się denerwował. – Z nieoficjalnych źródeł dowiedziałem się, że Detroit padło. Przedarli się przez ostatni łańcuch zabezpieczeń.

– Jezu... – wyszeptał Nick, odruchowo podchodząc do audiostacji, przez którą mógł

przekazać wiadomość do wszystkich kabin znajdujących się w Tom Mix. – Jest już strasznie późno. – Zdał sobie nagle sprawę. – Wszyscy właśnie się rozbierają albo już leżą w łózkach. Nie mogliby po prostu obejrzeć przemówienia w kabinach?

– A pytania? – przypomniał mu Nunes. – W związku z upadkiem Detroit normy pójdą w górę. Tego właśnie najbardziej się obawiam. Chcę, żeby wszyscy byli przygotowani – wyjaśnił, robiąc nieszczęśliwą minę.

– Ależ Dale... przecież znasz naszą sytuację. Wiesz, że nawet w tej chwili... – zaczął Nick.

– Sprowadź ich tylko do Sali Sterowniczej, dobra? Pogadamy później.

Nicholas podniósł mikrofon i adresując swoją wypowiedź do wszystkich kabin, rzekł:

– Ludzie, mówi prezydent St. James. Przykro mi, ale musimy się spotkać za dziesięć minut w Sali Sterowniczej. Możecie przyjść tak, jak stoicie. Nie martwcie się, nawet jeśli jesteście właśnie w szlafrokach. Mam dla was bardzo złe wiadomości.

– Podobno ma przemawiać sam Yans – mruknął Nunes.

– Będzie do nas przemawiał Protektor – rzucił Nicholas do mikrofonu i usłyszał swój głos dochodzący zza każdego rogu pustej kliniki. Jego słowa słyhać było również w każdej kabine podziemnej osady, w której pracowało tysiąc pięćset osób. – Będziecie mogli zadawać pytania.

Wyłączył się. Czuł się podle. Nie był to najlepszy moment na podawanie im złych informacji. Souza, norma, nadchodząca kontrola...

– Nie mogę opuścić mojego pacjenta – wtrąciła się Carol.

– Powiedziano mi, że mam zebrać wszystkich – odparł ze złością Nunes.

– W takim razie, jeśli chce pan dobrze wykonać zadanie, również pan Souza musi wstać i pójść na zebranie – odparła Carol; była naprawdę błyskotliwa, miała świetny refleks, Nick – bał się jej i zarazem ją uwielbiał.

To wystarczyło. Nunes, który w swojej biurokratycznej sztywności zawsze pilnował, by każde przekazane przez niego zarządzenie było dokładnie przestrzegane, tym razem musiał skapitulować.

– Dobrze. Pani może zostać. Chodźmy – rzekł do Nicholasa. Nunes ruszył w drogę obciążony świadomością porażki. Nunes był ich pol-komem, komisarzem politycznym.

Pięć minut później Nicholas St. James siedział sztywno w fotelu prezydenckim, stojącym nieco wyżej niż pozostałe, znajdujące się w pierwszym rzędzie w Sali Sterowniczej. W sali zbrali się wszyscy. Poruszeni, szeptali między sobą, czekając i wpatrując się w wielki projektor zakrywający jedną ze ścian od podłogi aż po sufit. Było to okno, ich jedyne okno na świat znajdujący się ponad nimi. Dlatego też bardzo poważnie traktowali wszystko, co przez nie ujrzeli.

Zastanawiał się, czy Rita słyszała ogłoszenie, czy też może nadal siedzi pod prysznicem, rzucając od czasu do czasu jakieś uwagi pod jego adresem.

– Jakaś poprawa? – spytał szeptem Nunes. – U starego Souzy?

– Przy zapaleniu trzustki? Żartujesz? – Komisarz najwyraźniej nie grzeszył nadmiarem inteligencji.

– Przesłałem piętnaście notatek na górę – tłumaczył Nunes.

– Ale żadna z nich nie była formalną prośbą o sztuczną trzustkę, którą Carol mogłaby mu implantować – zauważył Nick.

– Błagałem ich o odsunięcie kontroli – tłumaczył Nunes prawie ze łzami w oczach. – Zrozum, polityka to sztuka opierająca się na realizmie. Mogą odroczyć kontrolę, ale na pewno nie dostaniemy sztucznej trzustki, bo po prostu ich nie mają. Musimy spisać Souzę na straty i mianować głównym mechanikiem któregoś z jego podwładnych, na przykład Wintona, Bobbsa albo...

Nagle wielki projektor zmienił kolor, matowa szarość przeszła w świecąca biel. W tej samej chwili głośniki zagrzmiały:

– Dobry wieczór.

Zebrana w Sali Sterowniczej widownia zamruczała w odpowiedzi:

– Dobry wieczór.

Była to czysta formalność, gdyż żaden nadajnik nie przekazywał sygnału w górę. Głos przenoszony był tylko w jednym kierunku: z góry na dół.

– Wiadomości – kontynuował głos. Na projektorze ukazał się zatrzymany na chwilę film ukazujący na wpół zniszczone budynki. Teraz film ruszył z miejsca. Budynki z odgłosem podobnym do walących gdzieś daleko bębnow runęły, rozpadając się w drobny mak. Ich miejsce zajął teraz kurz. Mnóstwo blaszaków, które zamieszkiwały Detroit, wyległo na ulicę i zaczęło uciekać w popłochu. Jednak systematycznie, jeden po drugim, były rozgniatane przez jakąś niewidzialną siłę.

Dudnienie narastało. Bębny przybliżyły się i kamera, która niewątpliwie została umieszczona na szpiegowskim satelicie państw zachodnich, najechała teraz na wielki budynek użyteczności publicznej: bibliotekę, kościół, szkołę lub bank, a może wszystko naraz. Widzowie ujrzeni, jak w nieco spowolnionym tempie struktura się dematerializuje. Wszystkie znajdujące się w niej przedmioty zostały rozszczipione na pojedyncze cząsteczki. Zamiast blaszaków mógł tam być każdy z nich, bo nawet Nick mieszkał kiedyś przez rok w Detroit.

Na szczęście dla wszystkich, komuchów i obywateli Stanów Zjednoczonych, wojna wybuchła w świecie skolonizowanym, z powodu walki o podział nowych planet. Dlatego też już w pierwszym roku wojny na Marsie populacja Ziemi zdążyła schronić się pod powierzchnią planety. Nadal tu siedzimy, myślał Nick i chociaż nie jest to powód do zadowolenia, wolę to niż tamto piekło. Na projektorze grupa uciekających blaszaków zaczęła się topić. Ku przerażeniu widzów, blaszaki w desperacji ciągnęły za sobą roztopione członki. Nick nie wytrzymał

i odwrócił wzrok.

– Straszne – wyszeptał komisarz Nunes, twarz mu poszarzała.

Nagle na wolnym miejscu po prawej stronie Nicholasa pojawiła się Rita w szlafroku i kapciach. Razem z nią nadszedł młodszy brat Nicka, Stu. Obydwoje wpatrzeni w projektor nie odezwali się do niego ani słowem, tak jakby go nie dostrzegali. Zresztą w tej chwili każdy z widzów, patrząc na obraz na wielkim ekranie, czuł się odizolowany. Komentator rzekł:

– To... było... Detroit. 19 maja roku pańskiego 2025. Amen. Zniszczenie wałów obronnych miasta i spustoszenie go zajęło im zaledwie parę sekund. Przez piętnaście lat Detroit stało nienaruszone. Marszałek Harenzany, spotykając się z przedstawicielem Sowietów na starannie strzeżonym Kremlu, mógł się pochwalić miastem, którego komuchom nie udało się jeszcze zniszczyć.

W umyśle Nicholasa, pomimo całego przerażenia, jakie wywoływała dekapitacja jednej z niewielu pozostałych głów zachodniej cywilizacji, w którą naprawdę wierzył i którą naprawdę kochał, zrodziła się nie dająca mu spokoju, całkiem egoistyczna myśl. To przecież oznacza wyższą normę. Im mniej pozostaje na górze, tym więcej trzeba wytworzyć na dole.

– Teraz Yans będzie tłumaczył – mruknął Nunes. – Powie, jak do tego doszło. Uważaj.

Oczywiście Nunes miał rację, ponieważ Protektor nigdy nie dawał za wygraną. Umiał zdążyć do celu z wolną, z żółtym uporem, czego Nicholas tak bardzo mu zazdrościł. Mimo że tym razem cios zadany przez wroga był śmiertelny, Yans się nie poddawał.

Wreszcie się do nas dobrali, zdał sobie sprawę Nicholas. I nawet ty, Talbocie Yans, nasz duchowy, polityczny i wojskowy przywódco, który masz dość odwagi, by mieszkać w swojej naziemnej fortecy w Rockies, nawet ty, miły przyjacielu, nie możesz już cofnąć tego, co się stało.

– Moi drodzy rodacy, Amerykanie – usłyszał głos Yansa, który brzmiał dziwnie radośnie. Nicholas zamrugał oczyma zaskoczony wigorem Yansa, który zdawał się zupełnie nie przejmować porażką, jak przystało na absolwenta West Point. On również widział te zdjęcia, rozumiał powagę sytuacji, a mimo to nie pozwalał, by uczucia zakłócały trzeźwość umysłu.

– Widzieliście przed chwilą straszną rzecz – kontynuował Yans swoim niskim głosem starego, doświadczonego wojownika o zahartowanym ciele i przenikliwym umyśle, wojownika, który z pewnością będzie jeszcze walczyć przez wiele lat. Nie tak jak ta leżąca teraz w klinice namiastka człowieka, której pilnowała Carol. – W Detroit nie pozostał kamień na kamieniu. Razem z miastem straciliśmy również całą masę urządzeń wojennych, które przez te wszystkie lata tam zgromadziliśmy. Możemy się jednak cieszyć, że nie poświęciliśmy tam ani jednego życia ludzkiego. Na taką stratę nie moglibyśmy sobie pozwolić.

– Dobrze powiedziane – wymamrotał Nunes, notując.

Nagle obok Nicholasa pojawiła się Carol Tigh w białym kitlu i drewniakach. Nick

instyktownie wstał i spojrzał jej w twarz.

– Odszedł – rzekła krótko Carol. – Souza. Przed chwilą. Natychmiast go zamroziłam. Byłam akurat przy nim, więc nie upłynęła nawet chwila. Tkanka mózgowa na pewno nie ucierpiała. On tylko... odszedł. – Próbowła się uśmiechać, ale łzy napłynęły jej do oczu. Nick był zaskoczony. Jeszcze nigdy nie widział, by Carol płakała. Widok ten przeraził go tak, jakby to było coś przeciwnego naturze.

– Zniesiemy i to – kontynuował głos dochodzący z fortecy w Estes Park. Na ekranie pojawiła się twarz Yansa, a obraz wojny, przetaczających się tumanów rozbitej na pojedyncze drobiny lub zmienionej w gorący gaz materii, powoli niktł. Yans siedział sztywno przy wielkim dębowym stole w nieznanym nikomu kryjówce, gdzie Rosjanie, nawet ich najnowsze i najbardziej zatrzważające pociski atomowe SINO-20, nie mogli go odnaleźć.

Nicholas poprosił Carol, by usiadła obok niego i wskazał na projektor.

– Z każdym dniem – mówił Yans rozsądnie, tonem słusznej dumy – stajemy się coraz silniejsi. Nie słabsi. Bo wy jesteście silniejsi. – Nicholas mógłby przysiąc, że w tym momencie Yans spojrzał wprost na niego, Carol, Dale’a Nunesa, Stu, Ritę i wszystkich pozostałych, siedzących w Tom Mix, na wszystkich oprócz Souzy, który nie żył. A kiedy się nie żyje, zdał sobie sprawę Nicholas, nikt, nawet protektor, nie powie ci, że stajesz się silniejszy. Ale kiedy zmarł Souza, to zmarli i oni. Chyba że uda im się w jakiś sposób, choćby i na czarnym rynku, który istnieje w szpitalu wojskowym, wytrzasnąć tę trzustkę.

Prędzej czy później, pomyślał Nicholas, będę musiał złamać prawo i wyjść na powierzchnię.

Kiedy wielki obraz Talbota Yansa zniknął z ekranu i powróciła matowa szarość, komisarz Dale Nunes skoczył na równe nogi i rzekł do zgromadzonych:

– A teraz, ludzie, proszę o pytania.

Publiczność trwała w bezruchu. Nikt nie mógł sobie pozwolić, by go posadzono o złe intencje.

Nicholas, z racji pełnionego stanowiska, podniósł się i stanął przy Dale’u.

– Będziemy rozmawiać z rządem w Estes Park.

Jakiś ostry głos z końca sali, nie wiadomo dokładnie damski czy męski, krzyknął:

– Panie prezydencie, czy Maury Souza umarł? Widzę tutaj doktor Tigh.

– Tak – odpowiedział Nicholas. – Ale natychmiast został zamrożony, więc jest jeszcze nadzieja. Słyszeliście, co powiedział Protektor. Przedtem widzieliście najazd i zniszczenie Detroit. Wiecie, że nie wyrabiamy normy. W tym miesiącu musimy dostarczyć dwadzieścia pięć blaszaków, a w przyszłym...

– W jakim przyszłym? – przerwał mu głos z tłumu, gorzki i przygnębiony. – W przyszłym miesiącu już nas tu nie będzie.

– Ależ będziemy – odparł Nicholas. – Jakoś przetrwamy kontrolę. Pozwólcie, że wam przypomnę, iż pierwszą sankcją jest obniżenie racji żywnościowych o pięć procent. Dopiero potem każdy z nas może zostać zaskarżony. Ale i wtedy wszystko skończy się na zdziesiątkowaniu, odejdzie jeden z grupy liczącej dziesięć osób. Jedynie gdybyśmy przez trzy miesiące nie wyrabiali normy, mogą, ale tylko mogą, nas zamknąć. Zawsze pozostaje nam jeszcze odwołanie się od takiej decyzji. Wyślemy naszego prawnika do Sądu Najwyższego w Estes Park i zapewniam was, że zrobimy to, zanim całkiem się poddamy.

– Czy prosił pan o nowego głównego mechanika? – spytał głos z sali.

– Tak – odrzekł Nicholas. Ale na świecie nie ma drugiego Maury’ego Souzy, pomyślał. Oprócz tych w innych osadach. Ale nawet gdyby udało nam się w jakiś sposób z nimi skontaktować, żadna spośród... ile to jest osad?... spośród stu sześćdziesięciu tysięcy podziemnych osad na półkuli zachodniej nie zechce oddać dobrego mechanika. Przecież zaledwie przed pięciu laty, osada z północy, Judy Garland, przewierciła do nas tunel i błagała, dosłownie błagała o wypożyczenie Souzy choćby na krótki okres. Na miesiąc. Odmówiliśmy.

– Dobra. – Komisarz Nunes zakończył szybko dyskusję, gdyż nikt nie zgłaszał się z pytaniami. – W takim razie zrobimy teraz szybki sprawdzian, jak słuchaliście tego, co mówił Protektor. – Wskazał na młode małżeństwo. – Jaki był powód zniszczenia tarczy obronnej Detroit? Wstańcie i podajcie mi swoje nazwiska.

Para wstała z pewnym wahaniem. Mężczyzna rzekł:

– Jack i Myra Frankis. Powodem zniszczenia tarczy było użycie nowych pocisków Galatea typu trzeciego, które przeniknęły pod postacią cząstek submolekularnych. Tak mi się wydaje. Przynajmniej coś w tym rodzaju. – Z nadzieją w oczach usiadł, ciągnąc za sobą żonę.

– Dobrze – odparł Nunes. Odpowiedź była do przyjęcia. – A dlaczego technologia komuchów chwilowo wyprzedziła naszą? – Rozejrzał się w poszukiwaniu ofiary. – Czy był to błąd w naszej taktyce?

Wstała kobieta w średnim wieku, wyglądająca na starą pannę.

– Gertruda Prout. Nie, to nie była wina naszego dowództwa – odparła i natychmiast ponownie zajęła swoje miejsce.

– W takim razie czego? – kontynuował Nunes, zwracając się nadal do niej. – Czy mogłaby pani wstać i podać nam odpowiedź? Dziękuję. – Pani Prout podniosła się. – Czy była to może nasza wina? Nie nasza, w sensie mieszkańców tej osady, ale osadników w ogóle, wytwarzających produkty wojenne?

– Tak – przytaknęła pani Prout układowie. – Nie zdołaliśmy zapewnić... – Zawahała się. Nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć, czego nie zdołali zapewnić. Zapadła pełna napięcia cisza.

Nicholas przejął inicjatywę.

– Ludzie, jesteśmy dostarczycielami podstawowego instrumentu do prowadzenia wojny. Tylko dlatego, że blaszaki mogą żyć w miejscu, gdzie radioaktywność przekracza wszelkie normy, wśród wielu mutacji bakterii, w oparach gazu paraliżującego, niszczącego cholinoesterazę...

– Cholinoesterazę – poprawił go Nunes.

– ...możemy żyć i pracować tutaj. Zawdzięczamy nasze życia maszynom budowanym w naszych zakładach. To właśnie komisarz Nunes chciał powiedzieć. Ważne jest, abyśmy zrozumieli, dlaczego musimy...

– Ja im to wytłumaczę – wtrącił cicho Nunes.

– Nie, Dale, ja to zrobię.

– Masz już na swoim koncie jedno mało patriotyczne stwierdzenie. Gaz niszczący cholinoesterazę w układzie nerwowym był naszym wynalazkiem. Proszę cię, siadaj, zanim rozkażę ci to zrobić.

– I tak nie usiądę – uparł się Nicholas. – Ci ludzie są zmęczeni. Nie czas teraz na indoktrynację. Śmierć Souzy...

– To właśnie najlepszy moment na indoktrynację – zaprzeczył Nunes – ponieważ zostałem przeszkolony w Berlińskim Instytucie Psychiatrycznym Waffen, przeszkolony przez klinicystów pani Morgen, i ja to wiem najlepiej. – Podniósł głos zwracając się do publiczności. – Jak wszyscy wiecie, nasz główny mechanik był...

Z rzędów rozległ się wrogi, drwiący pomruk:

– Wiesz co, panie komisarzu polityczny Nunes, damy ci wór rzepy. I zobaczymy, czy wyciśniesz z niego butelkę krwi. W porządku?

Tu i tam ludzie kiwali głowami z aprobatą.

– Ostrzegałem cię – rzekł Nicholas do komisarza, który zaczerwienił się i zaciskał nerwowo palce na swoim notatniku. – Pozwolisz im teraz iść do łóżek?

– Pomiędzy wybranym przez was prezydentem i mną pojawiła się różnica poglądów – ciągnął Nunes. – Żeby pójść na kompromis, zadam wam jeszcze tylko jedno pytanie. – Urwał i przyglądał się tłumowi, który czekał ze strachem. Wrogi głos, który wcześniej słał obelgi pod adresem komisarza, teraz ucichł. Nunes miał ich w garści, ponieważ jako jedyny nie był obywatelem osady, ale przedstawicielem rządu Zachodnich Demokracji, i gdyby tylko tego zażądał, na dole zjawilyby się policja lub też, jeśli agentów Brose'a nie byłoby w najbliższej okolicy, drużyna zaprawionych w bojach i uzbrojonych blaszaków generała Holta.

– Komisarz zada tylko jedno pytanie – ogłosił Nicholas. – A potem wszyscy pójdziemy wreszcie do łóżek.

Nunes rzekł zimno, powoli i z namysłem cedząc słowa:

– W jaki sposób możemy zadośćuczynić panu Yansowi za naszą naganną postawę?

Nicholas jęknął. Niestety nikt, nawet on, nie miał żadnego prawa powstrzymać człowieka, którego wrogi głos z tłumy nazywał, zresztą zgodnie z prawdą, komisarzem politycznym. Mimo wszystko nie było tak źle. Dzięki Nunesowi istniał, przynajmniej jakiś bezpośredni, międzyludzki kontakt pomiędzy ich osadą a rządem w Estes Park. Teoretycznie, za pośrednictwem Nunesa mogli dać odpowiedź i w ten sposób kontynuować dyskusję pomiędzy osadami i rządem, nawet w samym środku wojny światowej.

Trudno było jednak osadnikom poddawać się taktyce Nunesa za każdym razem, gdy on lub jego zwierzchnicy na górze zdecydowali, że nadeszła najlepsza pora na indoktrynację, szczególnie wtedy gdy pora ta wypadła w czasie przeznaczonym na sen. Nie mieli jednak innego wyjścia.

Nickowi sugerowano (natychmiast zresztą, zupełnie świadomie i z wielkim wysiłkiem zapomniał na śmierć nazwisk tych, którzy do niego przyszedli z tą inicjatywą), by którejs nocy niepostrzeżenie pozbyć się komisarza politycznego. Nicholas się nie zgodził. Nie miało to sensu. Przecież i tak przysłaliby następnego. A Dale Nunes jest człowiekiem, a nie władzą. Nikt nie chciałby przecież mieć do czynienia z władzą na ekranie telewizyjnym, którą można zobaczyć i usłyszeć, ale do której nie można mówić.

Niezależnie więc od tego, jak niemiło współpracowało się z komisarzem Nunesem, Nicholas akceptował jego obecność w Tom Mix. Radykalni osadnicy, którzy pewnego wieczora przyszedli do Nicka z pomysłem rozwiązania problemu komisarza, zostali przekonani o bezsensowności

tego projektu. Nick miał w każdym razie taką nadzieję.

Tymczasem Nunes nadal żył. Najwyraźniej więc rozmowa z radykałami przyniosła spodziewany efekt, ponieważ od czasu gdy przyszli do prezydenta trzy lata temu, kiedy Nunes po raz pierwszy pojawił się na dole, komisarzowi nic się nie przydarzyło.

Zastanawiał się, czy Dale Nunes nigdy się nie domyślał. Czy nie podejrzewał, że znajdował się o włos od śmierci i kto go ocalił.

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby się dowiedział. Czy byłby wdzięczny?

Czy raczej... zadowolony?

W tym momencie Carol skinęła na Nicka. W czasie gdy Dale Nunes rozglądał się po rzędach w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby odpowiedzieć na jego pytanie, Carol dawała Nicholasowi znaki, żeby wyszedł z nią na zewnątrz.

Oprócz niego gest dostrzegła żona Nicka, Rita. Natychmiast jednak odwróciła wzrok i tępo wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, udając, że niczego nie zauważyła. W końcu również Dale Nunes dostrzegł tajemnicze znaki Carol i zmarszczył brwi.

Nie bacząc na to, Nicholas posłusznie podążył za Carol do drzwi i wyszedł na pograżony w ciszy korytarz.

– Co się dzieje, na Boga? – spytał ją, kiedy wreszcie stanęli. Po sposobie, w jaki Nunes patrzył na niego, kiedy wychodzili, wiedział, że wkrótce może spodziewać się reprimendy.

– Chcę, żebyś podpisał akt zgonu – odparła Carol, po czym ruszyła w kierunku windy. – Biednego Maury'ego...

– I nie mogłaś wybrać lepszego momentu? – Nick dobrze widział, że chodzi o coś więcej.

Carol nie odpowiedziała. W drodze do kliniki, do zamrażalni, gdzie trzymali ciała rokujące nadzieję na ożywienie, obydwójce milczeli. Po dotarciu na miejsce Nicholas zajrzał pod plastikową folię, po czym wyszedł z zamrażalni i podpisał podane mu przez Carol papiery w pięciu kopiach, pięknie wydrukowane i gotowe do wysłania przez wideolinie do biurokratów siedzących na górze.

Następnie lekarka wyjęła spomiędzy guzików swojego białego fartucha małe urządzenie elektroniczne, które według rozeznania Nicka było audiorejestratorem. Carol wyciągnęła z niego taśmę, otworzyła niewielką metalową szufladę w komodzie, która, jak się wydawało, zawierała zapasy leków, i oczom Nicka przez chwilę ukazały się inne taśmy i urządzenia elektroniczne, najwyraźniej w żaden sposób niezwiązane z wykonywanym przez Carol zawodem.

– Co tu się dzieje? – spytał, tym razem spokojniej. Najwyraźniej lekarka chciała mu pokazać audiorejestrator i zbiór taśm, które trzymała w ukryciu przed innymi. Mimo że Nick znał ją tylko trochę lepiej niż inni ludzie w Tom Mix, to właśnie jemu zawierzyła.

– Nagrałam przemówienie Yansa. Przynajmniej tę część, na którą zdążyłam.

– A te inne taśmy, które trzymasz w komodzie?

– Wszystko mowy Yansa. Oficjalne komunikaty. Z całego zeszłego roku.

– Czy to nie jest nielegalne?

Carol zebrała pięć kopii aktu zgonu Maury'ego Souzy i włożyła je w otwór transmitera, który zaczął przesyłać je do archiwów w Estes Park.

– Nie. Sprawdziłam to – odparła.

Nick odetchnął.

– Czasami wydaje mi się, że ci odbiło.

Jej myśli dryfowały zawsze w jakimś nieznanym kierunku, co niezmiennie intrygowało Nicka. Nie nadażał za nią i dlatego jego podziw dla niej wciąż rósł.

– Mogłabyś mi to wytłumaczyć?

– Czy zauważyłeś że w swoich przemówieniach pod koniec lutego, kiedy to Yans używał wyrażenia *coup de grâce*, wymawiał to jako *gras*? A w marcu mówił już... – Wyjęła z metalowej komody jakąś tabelkę i uważnie jej się przyjrzała. – Dwunastego marca. Mówił *ku de grah*. Z kolei w kwietniu, piętnastego, znowu przerzucił się na *gras*. – Spojrzała z tryumfem na Nicholasa.

Prezydent z irytacją wzruszył ramionami.

– Czy mogę już iść do łóżka? Porozmawiamy o tym...

– Później – ciągnęła nieugięcie Carol – trzeciego maja w swoim przemówieniu jeszcze raz użył tego wyrażenia. To było to pamiętne przemówienie, w którym opowiadał nam o zniszczeniu Leningradu... – Spojrzała znad swojej tabelki na Nicholasa. – Znowu powiedział *ku de grah*. – Włożyła tabelkę z powrotem do szuflady i zamknęła komodę. Nick zauważył, że aby ją zamknąć, Carol posłużyła się nie tylko metalowym kluczem, lecz także przycisnęła palec do specjalnego czytnika linii papilarnych. Posiadanie samego klucza na nic by więc się nie zdało. Komodę mogła otworzyć tylko Carol.

– I co z tego?

– Nie wiem – przyznała szczerze Carol. – Ale to na pewno coś znaczy. Kto walczy na wojnie, na powierzchni?

– Błaszaki.

– A gdzie są ludzie?

– Co to ma być, bawisz się w komisarza Nunesa? Przesłuchujesz ludzi w porze snu, kiedy powinni dawno...

– Ludzie są w podziemnych osadach – odpowiedziała sama sobie Carol. – Tak jak my. Kiedy składasz podanie o sztuczny narząd, otrzymujesz odpowiedź, że są one przeznaczone jedynie dla szpitali wojskowych, które prawdopodobnie mieszczą się na powierzchni.

– Nie wiem – odparł na wszelki wypadek Nick – i nie obchodzi mnie, gdzie znajdują się szpitale wojskowe. Jedno jest pewne: to one mają pierwszeństwo, a nie my.

– Jeśli na wojnie walczą blaszaki, to kto leży w szpitalach wojskowych? Blaszaki? Nie. Przecież uszkodzone blaszaki przesyłane są do zakładów takich jak nasz, znajdujących się pod ziemią. Poza tym blaszak jest, jak sama nazwa wskazuje, konstrukcją metalową i nie ma trzustki. Oczywiście na powierzchni musi znajdować się trochę ludzi. Na przykład rząd w Estes Park. No i rzecz jasna władze Demokracji Ludowych. Czy wszystkie trzustki przeznaczone są dla nich?

Nick nic nie odpowiedział. Carol go zaskoczyła.

– Coś jest nie tak – ciągnęła lekarka. – Nie mogą istnieć szpitale wojskowe, bo nie ma rannych cywilów ani żołnierzy. A mimo to nie dają nam sztucznych narządów. Tak jak na przykład tej trzustki dla Souzy. Mimo że wiedzą, iż bez Souzy długo nie przetrwamy. Pomyśl o tym Nick.

– Hmm – wydusił z siebie w charakterze odpowiedzi prezydent.

– Chyba będziesz musiał wymyślić coś lepszego niż „hmm”, Nick. I to szybko.

Następnego ranka, kiedy tylko Nick się obudził, Rita rzekła:

– Widziałam, jak wczoraj wieczorem wychodziłeś z tą kobietą, z tą Carol Tigh. Dokąd poszliście?

Nicholas, na wpół jeszcze śpiący i zaskoczony, nie mając szansy ochlapać twarzy zimną wodą ani wymyć zębów, wymamrotał w odpowiedzi:

– Chodziło o akt zgonu Souzy. Sprawa czysto służbowa.

Począł do łazienki, którą on i Rita dzielili z kabiną po prawej stronie. Tam stwierdził, że niestety drzwi są zamknięte.

– Dobra, Stu – rzekł głośno. – Kończ golenie i otwieraj drzwi.

Drzwi się otworzyły. We wnętrzu znajdował się młodszy brat Nicka golący się przy lustrze.

– Nie przeszkadzaj sobie – rzekł Stu. – Możesz śmiało...

– Dziś my byliśmy pierwsi – przerwała mu piskliwie żona brata, Edie. – Twoja żona wczoraj wieczorem przez godzinę siedziała w łazience pod prysznicem. Dzisiaj wy poczekacie.

Nick dał za wygraną i zamknął drzwi. Powlókł się do kuchni, której wyjątkowo z nikim nie dzielili – ani z sąsiadem z lewej, ani prawej strony – i postawił dzbanek z kawą na piecu. Podgrzewał tylko wczorajszą kawę, bo nie miał siły zaparzyć świeżej. Poza tym ich zapas syntetycznych ziaren nie był zbyt duży. Na pewno wyczerpie się przed końcem miesiąca i znów trzeba będzie częstować się u innych, pożyczać lub wymieniać na coś innego, na przykład cukier.

Ani on, ani Rita nie używali zbyt dużo cukru, mogli więc z powodzeniem od czasu do czasu wymienić pewną jego ilość na małe, brązowe ziarenka syntetycznej kawy.

Kawy natomiast mógłbym zużyć ogromną ilość, pomyślał Nick. Ale czy w ogóle istnieje gdzieś miejsce, gdzie kawy jest pod dostatkiem? Przecież, podobnie zresztą jak wszystko inne, syn-zrn-kaw (jak pisano na formularzach zamówień) były przydzielane w niewielkich ilościach. Po tylu latach traktował to jako zło konieczne. Jego ciało jednak nadal nie chciało się pogodzić z tym faktem.

Pamiętał jeszcze, jak w czasach przedwojennych smakowała prawdziwa kawa. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Był na pierwszym roku studiów i zaczął pić kawę zamiast mleka. Właśnie zaczynała się jego młodość, kiedy nagle...

Jednakże, jak mawiał Talbot Yans, uśmiechając się lub marszcząc brwi: „Przynajmniej nie zostaliśmy zmieceni z powierzchni Ziemi, tak jak się tego obawialiśmy. Mieliśmy rok na przygotowanie się do zejścia pod ziemię i nie wolno nam o tym zapominać”. Nicholas nie zapomniał. Stojąc i odgrzewając wczorajszą syntetyczną kawę, myślał, co by się stało, gdyby piętnaście lat temu został zmieciony z powierzchni ziemi albo gdyby cholinoesteraza w jego

organizmie została zniszczona przez śmiertelny gaz paralizujący, najbardziej przerażający spośród wszystkich, jakie dotychczas zostały wymyślone przez kretynów na wysokich stołkach w miejscu, które kiedyś było Waszyngtonem. Oczywiście oni sami mają antidotum – atropinę – i są bezpieczni. Nie muszą się obawiać gazu produkowanego w Zakładach Newport Chemical, w zachodniej części Indiany, tak jak to zostało zakontraktowane przez znaną firmę FMC Corporation. Nic jednak nie może ochronić ich przed raketami Związku Radzieckiego. Doceniał to i cieszył się na myśl, że jest tutaj, żyje i pije ten syntetyczny napój, niezależnie od tego jak wstrętny może się on wydawać.

Drzwi od łazienki otworzyły się i Stu zakomunikował.

– Skończyłem.

Nicholas ruszył do łazienki. W tej samej chwili usłyszał pukanie do drzwi wejściowych.

Z powodu funkcji, jaką pełnił, musiał otworzyć. Nicholas zauważył, że stoi przed nim coś na kształt komitetu obywatelskiego. Jorgenson, Haller, Flanders, miejscowi aktywiści, a za nimi Peterson, Grandi, Martino, Giller i Christenson, ich poplecznicy. Nick westchnął i wpuścił ich do środka.

Grupa bez słowa wpakowała się do kabiny, wypełniając prawie całe pomieszczenie. Gdy tylko drzwi na korytarz się zamknęły, Jorgenson rzekł:

– Oto w jaki sposób załatwimy sprawę, panie prezydencie. Ubiegłej nocy siedzieliśmy do czwartej, żeby uzgodnić wszystkie szczegóły. – Jego głos brzmiał twardo i zdecydowanie.

– Jakie szczegóły? – spytał na wszelki wypadek Nicholas, dobrze jednak wiedząc, co się święci.

– Oszukamy tego cholernego pol-koma, tego Nunesa. Zainscenizujemy bójkę na dwudziestym poziomie. Dostęp do dwudziestego poziomu jest dość trudny, bo leży tam cała masa porozkładanych na części blaszaków. Dotarcie tam i rozdzielenie walczących zajmie mu co najmniej pół godziny. Będzie więc pan miał wystarczająco dużo czasu.

– Kawy? – spytał Nicholas, wracając do kuchni.

– Dziś – dodał Jorgenson.

Nicholas w milczeniu wypił swoją kawę. Żałował, że nie jest w łazience. Zamknąłby się i nikt, ani jego żona, ani brat, ani żona brata, ani cały ten komitet nie mogliby się do niego dostać. Nawet Carol, pomyślał. Żałował, że nie może, choćby na chwilę, odizolować się od nich. Posiedzieć w ciszy i spokoju w łazience.

Gdyby dali mu przez chwilę побыć samemu, to może mógłby wreszcie pomyśleć. Odnaleźć siebie. Nie Nicholasa St. Jamesa, prezydenta osady Tom Mix, ale siebie jako człowieka. Wtedy w końcu wiedziałby, czy komisarz Nunes ma rację i czy prawo jest prawem. Albo czy Carol Tigh ma słuszość i rzeczywiście dzieje się coś dziwnego, coś, na co trafiła, słuchając swoich nagrań przemówień Yansa z całego zeszłego roku. *Coup de grâce*, przypomniał sobie.

Z kubkiem kawy w rękę obrócił się, by stawić czoło komitetowi aktywistów.

– Dziś – powtórzył, przedrzeźniając Jorgensona, którego specjalnie nie lubił. Jorgenson był czerwono nosym typkiem od precla i kufla z piwem.

– Wiemy, że trzeba się spieszyć – odezwał się cicho Haller, mając świadomość, że Rita, stojąca właśnie przy lustrze i układająca włosy, mogłaby go usłyszeć. Wyglądał na zdenerwowanego, podobnie zresztą jak cały komitet. Oczywiście bali się pol-koma. Ale mimo to przyszli.

– Pozwólcie, że opowiem wam, jak wygląda sytuacja ze sztucznymi narządami – zaczął Nicholas, ale Flanders nie dał mu skończyć.

– Wiemy wszystko, co powinniśmy wiedzieć. Wszystko, co chcemy wiedzieć. Niech pan posłucha, panie prezydencie. Wiemy, co kombinują. – Sześciu czy siedmiu członków komitetu spoglądało na niego ze zdenerwowaniem i w napięciu. W małej albo raczej standardowych rozmiarów kabinie, w której mieszkał Nicholas, zapanowała kłopotliwa cisza.

– Kto? – spytał.

– Grube ryby w Estes Park – odparł Jorgenson. – Ci, którzy wszystkim kręcą. Mówią swoim małym gnojkom, takim jak Nunes, kogo trzeba postawić pod mur.

– I co też oni kombinują?

– Ma-mają mało żywności – wyjaśnił Flanders, jękając się ze zdenerwowania – i potrzebują pretekstu, żeby unicestwić parę osad. Nie wiadomo, ile osad chcą wykończyć, wyrzucając mieszkańców na powierzchnię, gdzie na mur-beton się wykończą. Może kilka, może więcej... zależy jak bardzo potrzebują żywności.

– Widzi pan – ciągnął błagalnie Haller, podnosząc głos (stojący obok niego mężczyzna dał mu kuksańca w żebra i Haller wrócił do szeptu) – potrzebują pretekstu. A będą go mieli, jeśli tylko nie uda nam się wyrobić miesięcznej normy blaszaków. Wczoraj wieczorem, po filmie o Detroit, Yans powiedział, że normy zostaną podniesione... Stąd się domyśliliśmy. Podniosą normy i wszystkie osady, które się nie wyrobią, zostaną zamknięte. Między innymi my. A tam, na górze... – Wskazał palcem na sufit. – Zdechniemy.

Stojąca przy lustrze Rita rzuciła ostro:

– A nie pomyśleliście, że on może zginąć, kiedy pójdzie po tę trzustkę?

Haller obrócił się i odparł:

– Pani St. James, on jest naszym prezydentem. Wybraliśmy go... właśnie po to... żeby... nam pomagał.

– Nick nie jest twoim ojcem – odparła Rita. – Ani magikiem. Ani trybem w maszynie w Estes Park. Nie umie produkować sztucznych narządów. Nie może...

– Oto pieniądze – rzekł Jorgenson, podając Nicholasowi grubą, białą kopertę. – Same pięćdziesiątki. W sumie czterysta. Dwadzieścia tysięcy dolarów ZachDemu. Wczoraj w nocy,

kiedy Nunes spał, przeszliśmy po całej osadzie i zebraliśmy.

Suma ta równała się zarobkom połowy osady w czasie... W tym stresie nie mógł policzyć. Ale z pewnością był to bardzo długi czas. Komitet musiał bardzo ciężko pracować.

– To wy to zróbcie – poradziła szorstko Rita. – Wy zebraliście pieniądze. Losujcie. Nie mieszajcie do tego mojego męża. – Jej głos złagodniał. – Jest bardziej prawdopodobne, że Nunes nie zauważy nieobecności któregoś z was. Możecie nie wracać nawet przez parę dni. A jeśli Nick pójdzie, Nunes dowie się i...

– I co, pani St. James? – przerwał jej z determinacją, choć spokojnie Haller. – Nunes nie może nic zrobić, jeśli Prezydent St. James będzie na górze.

– Ale kiedy wróci, Nunes wykona na nim egzekucję. Jorgenson, najwyraźniej celowo nie spiesząc się, włożył rękę do kieszeni kurtki swojego kombinezonu robotniczego i wyciągnął z niej mały, płaski przedmiot przypominający pudełko na cygara.

– Panie prezydencie – rzekł formalnym, podniosłym tonem osoby przynoszącej oficjalne wiadomości. – Czy wie pan, co to jest?

Pewnie, pomyślał Nicholas. Bomba domowej roboty. A jeśli nie pójdę, i to jeszcze dzisiaj, umocujecie ją gdzieś tutaj, w mojej kabinie lub w moim biurze, nastawicie na odpowiedni czas albo podłączycie odpowiednie czujniki. Potem wylecę w powietrze, podobnie zresztą jak moja żona, mój brat, jego żona i każdy, kto będzie w moim biurze, jeśli oczywiście bomba zostanie zainstalowana w biurze. Jesteście przecież elektrykami. No, może nie wszyscy, ale kilku z was. Profesjonalni monterzy kabli i części elektrycznych. Wiecie, jak to podłączyć, więc moje szanse wyglądają dość mizernie. Dlatego też, jeśli nie wyjdę na powierzchnię, wasz komitet nieodwołalnie i stuprocentowo zniszczy mnie... Prawdopodobnie także inne niewinne osoby znajdujące się w pobliżu. Jeśli natomiast pójdę, Nunes zostanie o tym powiadomiony przez jednego nadgorliwca spośród tysiąca pięciuset osadników i zastrzeli mnie, kiedy będę w połowie drogi podczas nielegalnej – a mamy przecież wojnę i obowiązują prawa wojenne – wyprawy na powierzchnię.

– Niech pan posłucha, panie prezydencie – zaczął Flanders. – Wydaje się pewnie panu, że będzie pan musiał wdrapać się korytarzem, którym non stop łażą blaszaki, podrzucając nam od czasu do czasu jakiegoś kumpla do naprawy... ale niech pan posłucha.

– Tunel – domyślił się Nicholas.

– Tak. Wywierciliśmy go dziś rano, kiedy hałas był wystarczająco duży, żeby zagłuszyć pracę koparki i innych maszyn, które musieliśmy wykorzystać. Idzie pionowo w górę. Prawdziwe arcydzieło.

– Zaczyna się w suficie kabiny BAA na pierwszym poziomie. To magazyn przekładni redukcyjnych dla blaszaków typu II. Biegający nim łańcuch jest mocno przymocowany na górze. Daję słowo, umocowałem go na powierzchni, pomiędzy...

– Kłamstwa – uciął Nicholas.

Jorgenson zamrugął oczyma i rzekł zdziwiony:

– Nie, naprawdę...

– Nie mogliście wywiercić pionowego tunelu na powierzchnię w ciągu dwóch godzin. – Nicholas się zaśmiał. – Chcecie mi wcisnąć jakiś kit?

Po długiej, pełnej konsternacji ciszy Flanders wymamrotał smętnie:

– Właściwie dopiero zaczęliśmy kopać. Wywierciliśmy jakieś czterdzieści stóp. Tam umocowaliśmy przenośną koparkę. Pomyśleliśmy, że zaprowadzimy pana do tunelu, oczywiście z aparatem tlenowym, a potem zakleimy dziurę na dole, żeby odciąć hałas i wstrząsy.

– I dalej poradzę już sobie sam? – Nicholas pokiwiał głową. – Czy zastanawialiście się, ile czasu zajęłoby mi dokończenie tunelu, jeśli pracowałbym sam, i to tylko przy użyciu przenośnej koparki?

Po chwili milczenia któryś z członków komitetu mruknął:

– Dwa dni. Przygotowaliśmy już żywność i wodę. Mamy też jeden z tych kombinezonów astronautów, których używano kiedyś do podróży na Marsa. Wie pan, taki z wyrównaniem wilgotności, zbiornikiem odchodów... wszystkim, czego dusza zapagnie. To i tak lepsze niż pchanie się korytarzem, który na pewno obstawiony jest u góry przez blaszaki.

– A u dołu przez Nunesa – dodał Nicholas.

– Nunes będzie rozdzielał bijących się na poziomie...

– Dobra – przerwał Nicholas. – Zrobię to.

Wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem. Rita załkała w desperacji.

– Lepsze to niż wylecieć w powietrze. A oni nie żartują – pocieszał ją Nicholas, wskazując małe zawiniątko, które trzymał Jorgenson. *Ipsa dixit*, pomyślał Nicholas. Przynajmniej na tyle znam języki obce. Postawiona, ale nie udowodniona teza. Ale w tym wypadku nie chcę, żeby ją udowadniali. Nawet pol-kom Nunes byłby pod wrażeniem siły przekonywania, jakie ma to urządzenie.

Przeszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, ryglując je. Na chwilę, niestety dość krótką, miał spokój. Przez moment był tylko zwykłym organizmem biochemicznym, a nie prezydentem St. Jamesem z podziemnej osady komunalnej Tom Mix, założonej przed III wojną światową, w roku pańskim 2010. To był długi rok, przypomniał sobie Nick. Bardzo odległy od narodzenia Chrystusa.

Powinienem przynieść wam nie sztuczną trzustkę, ale Czarną Zarazę. Podzieliłbym się nią z każdym z was.

Gorycz, jaka się w nim zgromadziła, zaskoczyła go. Jednak nie była to prawdziwa gorycz. Bo przecież – zrozumiał to, kiedy odkręcił gorącą wodę, żeby się ogolić – prawda jest taka, że to ja się boję. Nie chcę wpakować się w ten pionowy chodnik na czterdzieści osiem godzin, słyszeć

za sobą kroków Nunesa i zastanawiać się, czy drużyna blaszaków Brose'a czeka już na mnie na górze. Zresztą nawet jeśli będę miał szczęście, to przebiję się na powierzchnię, gdzie istnieje tylko radioaktywność, gruzy i wojna. Na śmiertelnie niebezpieczną powierzchnię, z której uciekliśmy. Nie chcę wychodzić na górę, nawet jeśli jest ku temu bardzo poważny powód!

Pogardzał swoim zachowaniem. Kiedy zaczął nakładać pianę na policzki, trudno mu było patrzeć na własne odbicie w lustrze. Właściwie, było to wręcz niemożliwe. Otworzył więc drzwi łazienki po stronie Stu i Edie i krzyknął:

– Hej, mogę pożyczyć waszą maszynkę elektryczną?

– Pewnie – odparł Stu, podając mu urządzenie.

– O co chodzi, Nick? – zdziwiła się Edie, wykazując niemalże troskę o zdrowie Nicholasa, co było u niej niezwykle. – O Boże, wyglądasz beznadziejnie.

– Jestem beznadziejny – odparł Nicholas, siadając na ich skotłowanym łóżku i zaczynając się golić. – Muszę być silny, żeby dokonywać właściwych wyborów. – Nie miał jednak ochoty o tym rozmawiać. Golił się więc dalej pogrążony w introwertycznej ciszy.

Joseph Adams leciał fruwadłem ponad zielonym krajobrazem, polami, łąkami, otwartym światem lasów Ameryki Północnej z pojawiającymi się od czasu do czasu budynkami oraz posiadłościami położonymi w najmniej spodziewanych miejscach. Opuścił właśnie swoją posiadłość znajdującą się na Pacyfiku, której był panem, i leciał do Agencji w Nowym Jorku, gdzie pracował jako jeden z wielu Yansowców. Dzień pracy, długo oczekiwany poniedziałek nareszcie nadszedł.

Obok niego na siedzeniu leżał skórzany nesoser ze złotymi inicjałami JWA, zawierający napisane ręcznie przemówienie. Za nim natomiast siedziały, tłocząc się na tylnym siedzeniu, cztery blaszaki z jego osobistej świty.

Adams rozmawiał właśnie przez wideofon o interesach ze swoim współpracownikiem z Agencji, Verne'em Lindblomem. Verne, nie będący pomysłodawcą ani krasomówcą, był przykładem artysty w sensie wizualnym. Wiedział on dokładniej niż Joseph Adams, co ich przełożony Ernest Eisenbludt w Moskwie planuje w studio.

– Następne będzie San Francisco – rzekł Lindblom. – Właśnie je buduję.

– W jakiej skali? – spytał Adams.

– W żadnej.

– Wielkość naturalna? – zdziwił się Adams. – I Brose to zatwierdził? Eisenbludt znowu przeprowadził burzę mózgów kreatywnej...

– Tylko jedna dzielnica. Wzgórze Nob i widok na zatokę. Budowa zajmie jakiś miesiąc, nie ma pośpiechu. Do diabła, przecież dopiero co nakręcili tę sekwencję z Detroit. – Lindblom wydawał się zadowolony. Jako dobry rzemieślnik miał prawo tak się czuć. Prawdziwi fabrykatorzy byli zamkniętym cechem, którego nawet Brose ze swoimi agentami nie infiltrowali. Byli jak producenci czerwonego szkła we Francji w trzynastym wieku. Gdyby wyginęli, zabraliby tajemnice swojej technologii do grobu.

– Chcesz posłuchać mojego nowego przemówienia?

– O Boże, nie – odparł wesoło Lindblom.

– Sam je napisałem – rzekł skromnie Adams. – Wywaliłem tę zabawkę. Wpędzała mnie w rutynę.

– Słuchaj – rzekł nagle poważnie Lindblom. – Słyszałem plotki. Masz zostać odsunięty od przemówień i przeniesiony do pracy nad projektem specjalnym. Nie pytaj mnie jakim. Tego moje źródła nie podają. Wiem to wszystko od pewnego footemana – dodał na koniec.

– Hmm... – Adams starał się mówić spokojnie, chciał pokazać, że umie się kontrolować. Czuł jednak wewnętrzny niepokój. Sprawa najwyraźniej była ważniejsza od jego dotychczasowej pracy, bez wątpienia pomysł musiał nadejść z biura Brose'a. A Adams nie

przepadał za Brose'em i jego projektami specjalnymi. Chociaż co to mogło...

– Chyba ci się spodoba – ciągnął Lindblom. – Ma coś wspólnego z archeologią.

Adams uśmiechnął się szeroko.

– Jasne. Radzieckie pociski zniszczą Kartaginę.

– A ty zaprogramujesz Hektora, Priama i pozostałych. Wyciągaj swojego Sofoklesa.

– Moi przyjaciele – zaintonował Adams, podniosło parodiując Yansa – mam dla was złe wiadomości. Nie martwcie się jednak, bo nic nie zdoła nas zniszczyć. Nowy radziecki pocisk ICBM Hatcheck Girl A-3 z głowicą chemiczną rozrzucił radioaktywną sól kuchenną nad obszarem pięćdziesięciu mil kwadratowych, otaczającym Kartaginę. W ten sposób jednak... – Adams przerwał. – Co właściwie produkowano w Kartaginie? Wazy? – Co za różnica, to już problem Lindbloma. Ukazane zostaną skorupy zeskanowane przez system obiektywów znajdujących się w kamerach telewizyjnych w ogromnym, wyposażonym w skomplikowane urządzenia i pracującym na pełnych obrotach studiu Eisenbludta w Moskwie. – Oto, moi dobrzy ludzie i przyjaciele, jest wszystko, co pozostało, ale generał Holt poinformował mnie, że nasze uderzenie, wykorzystujące nowo wynalezioną broń terroru masowego, wyrzuci ziaren groszku Polyphemus X0B zdziesiątkowało flotę wojenną Ateńczyków. Z pomocą Boga...

– Ciekawe – rzekł powoli Lindblom przez mały głośnik wideofonu fruwadła. – Co byś powiedział, gdyby się okazało, że któryś z ludzi Brose'a przysłuchuje się tej rozmowie.

Pod fruwadłem szeroka rzeka jak mokre srebro wiała się z północy na południe. Joseph Adams wychylił się, by przyjrzeć się Missisipi i przez chwilę podziwiał jej piękno. Żadna z ekip projektanckich nie mogła tego podrobić. To, co pobłyskiwało w porannym świetle, było elementem oryginalnego świata, który nie musiał być odtwarzany ani rekonstruowany, gdyż nigdy nie został zniszczony. Widok ten, podobnie jak widok Pacyfiku, zawsze sprowadzał go na ziemię, gdyż oznaczał, że coś okazywało się silniejsze, umykało jego uwadze.

– A niechaj sobie słucha – odparł Adams z werwą. Jego siła brała się z falującej, srebrnej linii pod fruwadłem i pozwalała mu w każdej chwili rozłączyć się, na wypadek gdyby Brose rzeczywiście przysłuchiwał się rozmowie.

Za Missisipi Adams ujrzał strzeliste bryły wzniesione ręką człowieka, które również sprawiały, że czuł się dziwnie. Były to wielkie budowle wzniesione przez wytrwałego budowniczego, Louisa Runcible'a. Jego armia mrówek w czasie wypraw nie zżerała wszystkiego, ale budowała metalowymi ramionami gigantyczne budowle, wyposażone w place zabaw dla dzieci, baseny, stoły do ping-ponga i tablice do gry w rzutki.

Poznasz prawdę, dzięki której będziesz ujarzmiac, pomyślał Adams. Albo, jak by to powiedział Yans: „Moi drodzy Amerykanie, mam przed sobą dokument tak święty i doniosły, że zamierzam prosić was o”... – i tak dalej. Czuł się zmęczony, a nie dotarł jeszcze nawet na Piątą Aleję numer 580, gdzie mieściła się jego Agencja, i nie rozpoczął dnia pracy. Przebywając

samotnie na terenie swojej posiadłości na Pacyfiku, czuł jak z dnia na dzień do jego serca coraz bardziej wdzierają się niewyraźna, wirująca mgła samotności, która zaciska mu szpony na gardle. Lecąc nad znajomymi i jeszcze nie poznanymi obszarami, czuł dręczący wstyd. Miał poczucie winy, nie dlatego że poznanie było złe, ale ponieważ to było złe, a on zdawał sobie sprawę, kim i czym to było.

Chciałbym, żeby został chociaż jeden pocisk, pomyślał. Gdzieś na orbicie. Moglibyśmy nacisnąć jeden z tych dziwnych starych guzików, które duże ryby miały do swojej dyspozycji, a pocisk zrobiłby wielkie buuuuum! W Genewie. Tam gdzie mieszka Stanton Brose.

Na Boga, pomyślał Adams, może pewnego dnia zaprogramuję Megawaka nie na przemówienie, nawet tak dobre jak to, które udało mi się w końcu wczoraj przygotować, ale bardzo proste, spokojne oświadczenie. Prześlę je z Megawaka prosto na sima, potem na taśmę audio i wideo. Ponieważ jest autonomia, nikt nie będzie mógł go ocenzurować. Chyba że Eisenbludt na nie wpadnie... ale nawet on nie ma prawa zmieniać słowa pisanego.

A potem zawali się niebo.

To byłoby ciekawe, zadumał się Adams. Oczywiście, gdyby udało mi się uciec stąd tak daleko, żebym mógł to obserwować.

A jeżeli na przykład zaprogramuję Megawaka 6-V. A wszystkie te śmieszne, malutkie trybiki, które mieszczą się w Megawaku, zawierają, po czym sim wypłyje zmienione już oświadczenie. Proste słowa zostaną okraszone pięknymi epitetami, które zapewnią pozory rzeczywistości czemuś, co – trzeba to powiedzieć z całą stanowczością – normalnie byłoby zupełnie nieprzekonujące i głupie. Coś, co zostało wrzucone do Megawaka jako zwykłe slogany, wychodziło przed kamerami telewizyjnymi i mikrofonami w formie słów, których żaden trzeźwo myślący umysł, szczególnie od piętnastu lat siedzący pod powierzchnią ziemi, nie mógł zakwestionować. Byłby to jednak paradoks, ponieważ celebrował by je Yans. Jak w starym powiedzeniu: „Wszystko, co mówię, jest kłamstwem”. W jednej chwili ukochany przez wszystkich Yans zamieniłby się w przerażającego potwora.

Co bym w ten sposób osiągnął? – zastanawiał się Adams. Specjalnie bym się nie ubawił. Przecież, tak czy inaczej, Genewa natychmiast by zareagowała na wypowiedź postaci, która stworzona została wiele lat temu. Superego, jak nazywali to przedwojenni intelektualiści.

Sumienie.

Stanton Brose, ukrywający się w Genewie, w twierdzy podobnej do zamku zupełnie jak średniowieczny alchemik, zepsuty, podupadły, ale wciąż groźny. Świecący bladeścią morskiej ryby, jak martwa makrela z przysłoniętymi mgłą oczyma... Czy Brose rzeczywiście tak wyglądał?

Joseph Adams widział Brose'a tylko dwa razy w życiu. Brose był stary. Ile to miał? Osiemdziesiąt dwa lata? Ale nie był chudy. Nie wyglądał jak tyczka otoczona płachtą wędzonej,

wysuszonej skóry. W wieku osiemdziesięciu dwóch lat Brose ważył chyba z tonę, chodził, kołysząc się na boki jak kaczka, rzucał, czym popadnie, a z nosa i ust ciekło mu niemilosiernie... Mimo to jego serce nadal biło, ponieważ, rzecz jasna, było to sztuczne serce, tak jak sztuczna śledziona i inne narządy.

Mimo to autentyczny Brose nadal żył. Ponieważ jego mózg nie był sztuczny. Coś takiego w ogóle nie istniało. Żeby stworzyć sztuczny mózg, co było możliwe, kiedy istniała firma Synt-Orga Corporation z Phoenix, jeszcze przed wojną, trzeba było wejść w coś, co Adams nazywał interesem w „genialnie podrabianym srebrze”. Był to termin oznaczający nowość, która jednakże miała dość pokaźny udział w panoramie natury ze złożonością jej form istnienia: wszechświat doskonałych podróbek.

A wszechświat ten, rozmyślał Adams, do którego, jak się wydaje, można by było wejść i wyjść, spędzając w nim około dwóch minut, podobnie jak rekwizyty Eisenbludta w studiu telewizyjnym w Moskwie, był nieskończony. Pokój za pokojem. Drzwi wyjściowe z jednego pokoju były drzwiami wejściowymi drugiego.

A teraz, jeśli Verne Lindblom miał rację, jeśli człowiek z prywatnej firmy detektywistycznej Webster Foote Limited w Londynie się nie mylił, otworzyły się nowe drzwi wejściowe, pchnięte trzęsącą się ręką staruszka, sięgającą aż z Genewy. Ta metafora wydawała się Adamsowi coraz bardziej rzeczywista i przerażająca. Prawie czuł przed sobą drzwi, widział ciemność za nimi. W pokoju, do którego już za chwilę miał wejść i gdzie stanie przed Bóg wie jakim zadaniem, brakowało jakiegokolwiek źródła światła. Nie był to nocny koszmar, nie przypominało to czarnej, apatycznej, bezkształtnej mgły, która nadchodziła z zewnątrz i od wewnątrz, ale był to raczej...

To było coś zupełnie innego. Ciemność pochodziła z graficznie niedwuznacznych słów, notatki sporządzonej w tej cholernej jaskini potwora, w Genewie. Generał Holt, a nawet marszałek Harenzany, który był przecież bądź co bądź oficerem Armii Czerwonej, a nie jakimś żółtodziobem, czasami słuchali. Ale kołyszący się na nogach, zaśliniony i przewracający oczyma stary worek protez, Brose, który z przyjemnością pochłaniał jedną za drugą, protezy małego i wciąż kurczącego się zapasu światowego, był kompletnie głuchy. Naprawdę. Już wiele lat temu zapas protez narządu słuchu został wyczerpany. Ale Brose nie protestował. Wręcz podobało mu się, że nie słyszał.

Przeglądając taśmy z przemówieniami Yansa, nie słuchał ich. Adamsowi wydawało się wynaturzeniem, że tłusty, na wpół martwy organizm odbiera ścieżkę dźwiękową dzięki bezpośredniemu podłączeniu. Dzięki elektrodom z precyzją wszczepionym już dawno temu w odpowiednią część jego starzejącego się mózgu, jedyne oryginalnego narządu, który rzeczywiście należał do Brose'a. Cała reszta została wyprodukowana przez Arti-Gan Corporation i była sztuczna, skomplikowana i niezawodna (przed wojną firma dawała gwarancję

„na całe życie”, i nikt nie pytał, czy określenie to odnosi się do narządu, czy do osoby, której został wszczepiony). Prawo do sztucznych narządów mieli wszyscy Yansowcy. Całe zapasy protez znajdujące się w podziemnych magazynach umiejscowionych pod Estes Park należały więc do klasy Yansowców, a nie do samego Brose’a.

Niestety, rzeczywistość wyglądała inaczej. Kiedy komuś nawalała nerka, tak jak na przykład Shelby’emu Lane’owi, którego posiadłość w Oregonie Adams kiedyś często odwiedzał, nie znalazł się dla niego sztuczny narząd, mimo iż wiadomo było, że w magazynach są jeszcze co najmniej trzy sztuki. Wyglądało na to, że Lane’a nie przekonała argumentacja, jakoby narządów nagle zabrakło. A kiedy leżał w wielkiej sypialni w swej posiadłości, otoczony przez należące do niego, zamartwiające się blaszaki, Brose położył już łapę na tych protezach, co w terminologii prawniczej nazwano przypisaniem. Tak więc narządy leżały w magazynie i nie mogły być użyte, ponieważ Brose jakby złożył zamówienie z wyprzedzeniem i nie pozwalał nikomu tknąć nerek... Lane, próbując jeszcze walczyć, wniósł sprawę przed Trybunał, który obradował na okrągło w Mexico City, wydając orzeczenia w sprawach sporów dotyczących granic posiadłości. W Trybunale zasiadały blaszaki każdej generacji. Nie można powiedzieć, że Lane przegrał, ale z pewnością nie będzie błędem twierdzenie, iż nie wygrał, ponieważ nie doczekał się werdyktu i zmarł. A Brose wciąż żył i w dodatku miał świadomość, że niezagrożony przeżyje jeszcze trzykrotne zatrzymanie akcji nerek. A każdy, kto zechce wnieść sprawę przed Trybunał, z pewnością umrze, nie doczekawszy się sprawiedliwego werdyktu. W ten sposób sprawa ulegnie przedawnieniu i Brose dalej będzie mógł dysponować narządami.

Tłusta, stara wesz, pomyślał Adams i w tym momencie ujrzał przed sobą Nowy Jork, strzeliste dachy, powojenne, wysokie budynki, rampy i tunele, przelatujące fruwadła, które przewoziły Yansowców do ich biur.

Chwilę później Adams zawisł nad szczególnie wysokim, dostojnym budynkiem przy Piątej Alei 580, stanowiącym własność Agencji.

Oczywiście całe miasto stanowiło własność Agencji. Wszystkie stojące tutaj budynki były równie ważne jak ten, nad którym unosił się Adams. Ale w tym akurat znajdowało się biuro Joego. Tutaj każdego dnia pracy rywalizował z innymi przedstawicielami klasy Yansowców. Piastował bardzo ważne stanowisko... a w teczce, którą podniósł teraz z podłogi, znajdowało się szczególnej wartości przemówienie.

Może Lindblom miał rację. Może Rosjanie mieli zamiar zniszczyć Kartaginę.

Dotarł do rampy prowadzącej z dachu do biur, wcisnął przycisk przyspieszenia i z szybkością błyskawicy znalazł się na właściwym piętrze.

Kiedy wszedł z teczką w rękę do swego biura, zauważył masę sztucznej materii, mrugającą i zerkającą spod oka, niczym foka machająca odnóżami i gapiąca się na niego, jej wąskie usta rozwierały się w czymś na kształt uśmiechu, którym najwyraźniej zamierzała powitać Adamsa.

Jednak widok tego monstrum wprawił nadchodzącego właściciela biura w przerażenie, i to zarówno z powodu ohydneho widoku, jaki przedstawiało sobą to coś, jak i faktu, kim było.

– Pan Adams. Chciałem z panem porozmawiać.

Istota, która jakimś cudem wcisnęła się w fotel Adamsa, nazywała się Stanton Brose.

Ależ oczywiście, panie Brose – rzekł Joseph Adams, który nagle poczuł skurcz w gardle. Odwrócił się i postawił walizkę na ziemi. Zadziwiła go ta reakcja somatyczna, spowodowana spotkaniem Brose’a we własnym biurze. Nie bał się, nie przejmował, nawet nie denerwował się tym, że Brose zdołał tu wejść pomimo skomplikowanego systemu zamków. Nie liczyło się to z tej prostej przyczyny, że spowodowane chorobą konwulsje jego ciała zabijały w zarodku samą możliwość wystąpienia jakichkolwiek innych reakcji.

– Potrzebuje pan chwili na pozbieranie się, panie Adams? – Przymilny, cienki głos przypominał skrzyp suchej kredy po tablicy.

– T-tak – odparł Adams.

– Słucham? Wie pan przecież, że nie słyszę. Muszę czytać z pańskich ust.

Z moich ust, pomyślał Adams. Obrócił się z powrotem do Brose’a.

– Potrzebuję tylko chwili – powtórzył. – Miałem problem z fruwadłem. – W tym momencie przypomniał sobie, że w zaparkowanym fruwadle zostawił czterech lojalnych towarzyszy, cztery zaprawione w bojach blaszaki. – Zechciałby pan... – zaczął, ale Brose mu przerwał, nie niegrzecznie, ale tak jakby nikt nie mówił.

– Powstał pewien nowy projekt, który jest dla nas dość istotny – ciągnął Brose swoim irytującym głosem. – W związku z tym powinien pan przygotować przemówienie. Chodzi o to... – Tu Brose na chwilę przerwał, wyciągnął wielką, ohydłą chustkę do nosa, w którą zanurzył twarz, jakby modelując skórę do odpowiedniego kształtu. – Nie powinny istnieć żadne dokumenty pisemne ani transmisje opisujące ten projekt. Nie chcemy żadnych dowodów. Wszystko ma polegać na ustnych przekazach pomiędzy szefami, mną, panem i Lindblomem, który zbuduje artefakty.

Aha, pomyślał Adams z tryumfem. Webster Foote Limited, ogólnoswiatowa prywatna firma dochodzeniowa mająca siedzibę w Londynie już wyczuła sprawę. Pomimo swojej paranoicznej obsesji na punkcie bezpieczeństwa Brose przegrał, zanim jeszcze na dobre zaczął. Nic nie mogło sprawić Adamsowi większej przyjemności. Kiedy zapalał cygaro, czuł, jak nudności bezpowrotnie ustępują. Wstał, przeszedł się po pokoju, kiwając ze zrozumieniem głową, i w końcu rzekł, potwierdzając chęć swojego udziału w tym tajnym przedsięwzięciu:

– Tak, sir.

– Zna pan Louisa Runcible’a?

– Zdolny budowniczy – odparł Adams.

– Niech pan patrzy w moją stronę, Adams.

Patrząc w stronę Brose’a Adams powtórzył:

– Przelatywałem dziś nad jednym z jego centrów. Nad lochami.

– Cóż – mruknął Brose – zdecydowali się wyjść na powierzchnię. Nie mogli się do nas przyłączyć, a my nie potrafiliśmy wykorzystać ich umiejętności.

– Moją posiadłość dzieli od biura odległość trzech tysięcy mil. Codziennie muszę dwukrotnie pokonywać tę trasę. Czasami zastanawiam się, jak to było, zanim zaczęła się wojna i zanim ludzie musieli zejść pod ziemię.

– Gdyby nie zeszli, już by teraz nie żyli – odparł Brose.

– Och – zaczął powoli Adams – wiem, że by nie żyli. Zostałby po nich popiół, którego blaszaki używałyby do produkcji cementu. Tak tylko czasami wspominam sobie szosę numer sześćdziesiąt sześć.

– A cóż to takiego, Adams?

– Droga łącząca miasta.

– Autostrada!

– Nie, sir. Po prostu droga. – Przez chwilę poczuł tak silne znużenie, że zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to atak serca albo jakaś inna poważna przypadłość. Przestał wciągać dym z cygara i usiadł w fotelu za biurkiem. Zamrugał oczyma, odetchnął głęboko i zastanawiał się, co się stało.

– Dobra – kontynuował po chwili. – Znam Runcible’a. Wygrzewa się w Kapsztadzie i, z tego co wiem, robi wszystko, żeby zapewnić pojawiającym się na powierzchni osadnikom dostatnie życie. Mają tam kuchenki elektryczne, wyściełane skórą ściany, trójwymiarową telewizję, na każdą dziesiątkę przypada blaszak, który zajmuje się pracami domowymi, takimi jak sprzątanie... O co chodzi, panie Brose? – spytał, wyczekując z przestrawieniem.

– W ostatnim czasie na terenie południowego Utah, w okolicy St. George spadła radioaktywność jednego z gorących dotąd miejsc. Mapy nie zostały jeszcze uaktualnione. Tuż przy granicy z Arizoną. Mierniki Runcible’a pierwsze wykryły spadek radioaktywności, więc natychmiast się tam wpakował i zajął teren. – Brose machnął lekceważąco ręką i dodał z rezygnacją: – W ciągu kilku dni zamierza wysłać tam swoje buldożery, które rozpoczną przygotowania do budowy nowych konstrukcji. Ma pełno tych wielkich, prymitywnych i topornych urządzeń budowlanych, które rozwozi po całym świecie.

– Potrzebujecie ich do wznoszenia swoich budowli. – Adams pokiwał głową. – A trzeba przyznać, że jak już zacznie, to robota szybko posuwa się naprzód.

– No cóż – chrząknął Brose – ale my potrzebujemy tego terenu.

Ty łgarzu, pomyślał Adams. Wstał, obrócił się plecami do Brose’a i rzekł głośno:

– Ty łgarzu!

– Nie słyszę – zaskrzeczał Brose.

Adams obrócił się i powiedział tak, aby Brose mógł odczytać słowa z ruchu warg:

– Przecież tam są same skały. Kto by chciał się tam osiedlać? Mój Boże, przecież niektórzy

z nas mają posiadłości wielkości miliona akrów! – Patrzył na Brose'a. To niemożliwe, rzekł w duchu. Runcible był tam pierwszy, bo nikomu aż tak nie zależało na tym terenie, żeby notować na bieżąco odczyty z mierników. Nikt nie zapłacił firmie Webster Foote za wysłanie tam ludzi, którzy otoczyliby teren specjalną taśmą, Runcible zajął więc teren bez walki. Nie próbuj więc mi tu wciskać kitu, myślał Adams, ogarnięty nienawiścią do Brose'a. Nie czuł teraz nudności, lecz prawdziwą wściekłość.

Najwyraźniej Brose domyślił się czegoś z wyrazu twarzy Adamsa.

– O ile wiem, ziemia ta nie należy do najlepszych – przyznał. – Niezależnie od tego, czy jest wojna, czy nie.

– Jeśli chce pan, żebym zajął się propagandową stroną projektu – zaczął Adams i sam się zdziwił, że potrafi powiedzieć to Brose'owi prosto w twarz – to lepiej będzie, jeśli powie mi pan całą prawdę. Bo nie czuję się najlepiej. Całą noc nie spałem. Pisałem odręcznie przemówienie. Przeszkadzała mi ta mgła. Ona zawsze mnie denerwuje. Nie powinienem wybierać sobie posiadłości nad Pacyfikiem, na południe od San Francisco. Trzeba było już raczej znaleźć coś w okolicach San Diego.

– Dobrze więc – zgodził się Brose. – Zupełnie nas nie obchodzi ta nieurodzajna ziemia położona na granicy Utah i Arizony. Niech pan popatrzy na to. – Zdołał podnieść podobne do nibynóżek pletwy i objął nimi teczkę, którą przyniósł ze sobą. Znajdujący się w niej dokument został rozłożony na stole niczym próbka tapety.

Adams ujrzał piękne szkice, przypominające orientalne rysunki na zwojach jedwabiu pochodzących z... przyszłości? Zauważył teraz, że przedstawione na rysunkach obiekty są nierzeczywiste. Dziwne pistolety z wymyślnymi kurkami i ozdobami. Urządzenia elektroniczne, które – jak intuicyjnie czuł – niczemu nie służyły.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu.

– To artefakty – wyjaśnił Brose – które zrobi dla nas pan Lindblom. Jest tak wspaniałym rzemieślnikiem, że z pewnością nie będzie miał najmniejszych problemów.

– Ale po co? – spytał Adams, czując, że już chyba rozumie. Były to okazy nieprawdziwej broni. Pozostałe rysunki natomiast przedstawiały jeszcze inne świadectwa wojny.

Czaszki.

Niektóre należące do *Homo sapiens*.

Inne nie.

– To wszystko zrobi dla nas Lindblom – kontynuował Brose. – Ale wcześniej chcieliśmy to z panem skonsultować. Ponieważ przed ich odnalezieniem...

– Odnalezieniem!

– Po wytworzeniu przez Lindbloma w studiu w Moskwie przedmioty te zostaną zakopane w ziemi, w miejscu, gdzie Runcible zamierza właśnie rozpocząć budowę. Wcześniej musimy się

jednak upewnić, że będą wyglądały na oryginały o nieocenionej wartości archeologicznej. W serii artykułów w przedwojennym piśmie naukowym „Świat Natury”, które jak pan wie, czytane było kiedyś przez każdego edukowanego człowieka na świecie, powinno się przeanalizować te znaleziska i ocenić je jako...

Drzwi do biura się otworzyły. Zaniepokojony Verne Lindblom wszedł do pokoju i patrząc na Brose'a, rzekł:

– Przekazano mi, że mam się tutaj stawić. – Odwrócił wzrok i spojrzał teraz na Adamsa. Nic jednak więcej nie powiedział. Mimo to obydwaj zrozumieli, że ich rozmowa wideofoniczna nie była powodem spotkania.

– Masz tutaj rysunki przedmiotów, które dla nas wyprodukujesz. – Brose podał mu szkice. – Przedmioty te zostaną następnie zakopane na terenie południowego Utah. W odpowiedniej warstwie geologicznej. – Rozwinął jeden z rysunków. Verne spojrzał krótko, okiem profesjonalisty i nic nie odparł. – Oczywiście bardzo nam się spieszy, ale nie wątpię, że uda ci się zdążyć na czas. Przecież nie musi się na nie natknąć od razu pierwszy buldożer. Chcemy tylko, żeby ujrzały światło dzienne, zanim zakończy się kopanie i zacznie budowa.

– Macie kogoś w ekipie Runcible'a, kto w odpowiednim momencie dokona odkrycia? – raczej stwierdził, niż spytał Lindblom.

– Gdyby inni tego nie zauważyli? – Adamsowi wydawało się, że Lindblom pojmuje, o co tak naprawdę chodzi w projekcie. Ktoś musiał mu już coś zdradzić. On natomiast był raczej zbity z tropu. Robił jednak dobrą minę do złej gry, przyglądając się profesjonalnym, niezwykle dokładnym rysunkom

– Oczywiście – potwierdził Brose. – Inżynier Robert... – Usiłował przypomnieć sobie nazwisko, ale stary, osiemdziesięciodwuletni mózg działał już nie najlepiej. – Hig – przypomniał sobie w końcu. – Bob Hig. Znajdzie je, jeśli nikt inny tego nie uczyni. A więc możesz zaczynać, Lindblom? Eisenbludt wie, że ma ci udostępnić każde narzędzie i urządzenie znajdujące się w studio. Nie wie jednak dlaczego, i chciałbym, żeby tak pozostało. O tym projekcie powinno wiedzieć jak najmniej osób.

– Hig je znajdzie – głośno zastanawiał się Lindblom – i powiadomi Runcible'a. W tym samym czasie – spojrzał na Adamsa – wypuścicie serię artykułów w przedwojennym „Świecie Natury”. Artykuły napisane przez jakiegoś znanego na całym świecie archeologa dotyczyć będą tego rodzaju artefaktów.

– Rozumiem – wtrącił się Adams i rzeczywiście teraz już rozumiał. Artykuły, które napisze, zostaną wydrukowane w czasopiśmie z wcześniejszą datą. Egzemplarze zostaną sztucznie postarzone tak, aby wyglądały na autentyczne, przedwojenne numery. Na podstawie tych właśnie artykułów, prezentujących powszechnie przyjęte opinie naukowców, rząd w Estes Park stwierdzi, że znaleziska mają nieocenioną wartość archeologiczną. Przedmioty znajdą się przed

Trybunałem w Mexico City, najwyższym sądem stojącym ponad Zach-Demem i DemoLudem, każdym Yansowcem, gdziekolwiek by żył, oraz Louistem Runciblem'em, bogatym i wpływowym budowniczym. Na podstawie tych podrobionych artykułów Trybunał określi, że rząd w Estes Park ma rację. W ten sposób artefakty o tak dużej wartości sprawiają, że ziemia zostanie automatycznie przekazana w ręce rządu.

Ale Brose'owi nie zależało na ziemi. W całej układance brakowało więc jeszcze jakiegoś istotnego szczegółu.

– Właśnie, że nic pan nie rozumie. – Brose pokiwał głową, widząc wyraz twarzy Adamsa. – Lindblom, wyjaśnij mu to.

– Wszystko rozegra się w następujący sposób – zaczął przedstawiać sytuację Lindblom. – Hig albo ktoś inny, nadzorujący pracę blaszaków i wielkich maszyn, odkryje artefakty i powie o nich Runcible'owi. Niezależnie od ich wartości prawo Stanów Zjednoczonych stanowi...

– O mój Boże – przerwał mu Adams. Runcible wie, że jeśli powiadomi o znalezisku rząd w Estes Park, będzie go to kosztować utratę ziemi. – Ukryje znalezisko – jęknął Adams.

– Oczywiście – Zachwycony Brose kiwnął głową. – Pani Morgen w Instytucie Psychiatrii Stosowanej w Berlinie przygotowała niezależny profil psychologiczny Runcible'a. Pani Morgen zgadza się z naszymi psychiatrami. Dlaczego? Bo przecież Runcible jest biznesmenem, szuka bogactw i władzy. Co dla niego znaczą bezcenne starożytne artefakty sporządzone przez pozaziemską cywilizację, której przedstawiciele wylądowali na terenie południowego Utah sześćset lat temu? Te czaszki, oczywiście nie należące do *Homo sapiens*. W pańskich artykułach pojawi się fotografia tego rysunku. Będzie pan snuć przypuszczenia, że istoty te wylądowały na Ziemi, opisz pan ich prawdopodobny wygląd, określony na podstawie rozmiarów znalezionych kości i artefaktów, i wreszcie stwierdzi, że prawdopodobnie wdały się one w walki z Indianami i przegrały. Nie skolonizowały Ziemi. Wszystko to oczywiście przypuszczenia, na których udowodnienie w momencie pisania artykułu, trzydzieści lat temu, nie było dostatecznie wielu dowodów. Będzie pan miał jednak nadzieję, że w najbliższym czasie uda się dokonać dalszych odkryć archeologicznych. I to będzie właśnie takie odkrycie.

– A więc teraz – podjął Adams – mamy wreszcie w pełni reprezentatywne kości i okazy broni. W końcu. Przypuszczenia wysnute trzydzieści lat temu zostały potwierdzone. Jest to moment o ogromnym znaczeniu naukowym. – Adams podszedł do okna i udał, że wygląda na zewnątrz. Kiedy wielki budowniczy Louis Runcible zostanie powiadomiony o znalezisku, pomyśli, że przedmioty te zostały zakopane na tym terenie, aby stworzyć pretekst do zabrania mu tej ziemi. Tak więc ukryje znalezisko i będzie kontynuował prace budowlane.

Podczas gdy...

Przejęty bardziej lojalnością w stosunku do nauki niż swego przełożonego i jego chciwości, Robert Hig „pełen rozterki” powiadomi o znalezisku rząd w Estes Park.

Dzięki czemu Runcible zostanie uznany za przestępcę. Ponieważ istniało prawo, ustanowione z powodu coraz bardziej agresywnego przeszukiwania terenów przez wszystkich Yansowców, a właściwie przez ich blaszaki. Prawo to mówiło, że każdy przedmiot znaleziony przez właściciela posiadłości lub przez jego blaszaki należy do niego, chyba że jest to przedmiot o dużej wartości archeologicznej.

A Louisowi Runcible'owi, stojącemu przed Trybunałem w Mexico City, trudno będzie wyjaśnić, dlaczego ukrył fakt odnalezienia szczątków rasy, która wylądowała na Ziemi sześćset lat temu, stoczyła walkę z ówczesnie żyjącymi na tym terenie Indianami i przegrała, po czym uciekła. Gdyby nawet najął najlepszych adwokatów, nie będzie miał najmniejszych szans na wygranie tej sprawy.

Runcible nie tylko straci swoją ziemię.

Dostanie wyrok, jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt lat, w zależności od przygotowania adwokatów z Estes Park. Ordynacja o Bezcennych Reliktach, jak ją nazywano, została już wielokrotnie sprawdzona w przypadku Yansowców, którzy z premedytacją ukrywali odnalezione przez siebie przedmioty. Teraz też Trybunał nie będzie się zastanawiał nad wyrokiem. Imperium gospodarcze zbudowane przez Runcible'a legnie w gruzach. Jego budowle rozsiane po całym świecie staną się własnością publiczną, gdyż tak stanowiła klauzula penitencjarna Ordynacji o Bezcennych Reliktach. Klauzula, dzięki której prawo to było tak okrutne. Osoba uznana za winną złamania Ordynacji nie tylko szła do więzienia, ale przekazywała również cały swój majątek rządowi.

Teraz to jest logiczne, pomyślał Adams. Wiedział już, co powinien napisać w swoich artykułach sprzed trzydziestu lat opublikowanych w „Świecie Natury”.

Jedna tylko rzecz nie dawała mu spokoju i sprawiała, że z konsternacją patrzył to na Brose'a, to na Lindbloma, którzy najwyraźniej byli dokładniej poinformowani.

Czemu właściwie rząd w Estes Park chce zniszczyć Runcible'a? Na czym polegała jego wina albo czemu był on taki groźny?

Louis Runcible buduje mieszkania dla podziemnych osadników wychodzących na powierzchnię, którzy spodziewają się, iż toczy się wojna, a stwierdzają ze zdumieniem, że walki skończyły się dawno temu, powierzchnia zaś jest wielkim parkiem z willami i posiadłościami należącymi do elity wybranych... Czemu, zadawał sobie pytanie Adams, należy człowieka tego skazać i zniszczyć, jeśli jedyną jego winą jest to, że sumiennie wykonuje swoją pracę? Nie tylko dla osadników, którzy wychodzą na powierzchnię i muszą gdzieś żyć, ale także dla nas, Yansowców. Bo przecież wszyscy wiedzą – nie bójmy się tego powiedzieć – osadnicy mieszkający w budowlach Runcible'a są więźniami zamkniętymi w czymś w rodzaju rezerwatu. Istnieje również bardziej współczesne słowo na określenie sposobu przetrzymywania osadników – obóz koncentracyjny. Lepsze to może nieco od podziemnych osad, ale i tak ze swoich

mieszkań osadnicy nie mogą się nigdzie wydostać, przynajmniej legalnie. A jeśli już komuś uda się uciec, armia generała Holta tutaj, w ZachDemie, lub armia marszałka Harenzanyego w DemoLudzie, czyli tak czy inaczej armia wyszkolonych, zaprawionych w bojach blaszaków, goni ich i przyprowadza z powrotem do ich basenów, trójwymiarowych telewizorów i wyściełanych skórami mieszkań.

W końcu Adams odezwał się do Lindbloma:

– Słuchaj, stoję plecami do Brose’a, więc nie może mnie usłyszeć. Ty też niby przypadkiem się od niego odwróć, ale nie podchodź w moją stronę. Stań tak, żeby twoja twarz skierowana była w moją stronę, a nie w jego... A teraz powiedz mi, na miłość boską, dlaczego.

Po chwili usłyszał, jak Lindblom się przesuwają, a potem mówi:

– Dlaczego co, Joe?

– Dlaczego chcą wykończyć Runcible’a?

– To ty nie wiesz? – zdziwił się Lindblom.

Siedzący przy biurku Brose się zdenerwował.

– Może byście się tak odwrócili w moją stronę. Musimy kontynuować omawianie projektu.

– No więc czemu? – dopytywał się Adams, gapiąc się przez okno na inne budynki Agencji.

– Wydaje im się, że Runcible systematycznie podburza jedną osadę za drugą – zdradził mu Lindblom. – Mówi im, że wojna się już skończyła. Ktoś rzeczywiście to robi. To już wiadomo. Webster Foote i jego ludzie odkryli to w czasie rutynowych przesłuchań grupy osadników, którzy wyszli na powierzchnię jakiś miesiąc temu.

– Co się dzieje?! Dlaczego rozmawiacie za moimi plecami? – narzekał Brose z rosnącym zdenerwowaniem.

W tym momencie Adams odwrócił się od okna i spojrzął na Brose’a. Również Lindblom odwrócił się do monstrualnego starca, który jakimś sposobem wpełznął się w fotel za biurkiem.

– Nie rozmawiamy – wyjaśnił Adams Brose’owi. – My tylko medytujemy.

Twarc Lindbloma nic nie wyrażała. Jedynie kamienną obojętność. Zostało mu przydzielone zadanie, które miał zamiar wykonać. Swoim zachowaniem sugerował Adamsowi, żeby również zajął się swoją działką.

A jeśli to nie był Runcible? Jeśli to ktoś inny.

W takim wypadku cały projekt, wszystkie artefakty, artykuły w „Świecie Natury”, „przeciek” dotyczący znaleziska, sprawa przed Trybunałem, zniszczenie imperium gospodarczego Runcible’a i jego uwięzienie na nic się nie zdają.

Joseph Adams zadrżał. Ponieważ w przeciwieństwie do Brose’a, Verne’a Lindbloma i prawdopodobnie Roberta Higa oraz wszystkich ludzi związanych z tym projektem był przekonany, że popełniają błąd.

Ale jego intuicja nie wystarczała, by doprowadzić do wstrzymania projektu.

Nawet w najmniejszym stopniu.

Odwracając się ponownie plecami do Brose'a, Adams rzekł:

– Lindblom, oni się mylą. Wątpię, żeby to był Runcible.

Nie usłyszał jednak odpowiedzi. Lindblom nie mógł nic powiedzieć, bo w tym momencie stał przodem do Brose'a, który wstał i kołysząc się, po omacku, wspierając się na metalowych kulach szedł w stronę drzwi, mruczając coś pod nosem.

– Daję słowo – rzekł Adams, patrząc z uporem na jakiś wymyślony punkt za oknem – napiszę te artykuły, ale jeśli okaże się, że to nie Runcible, to nie daruję mu tego.

Spojrzał w stronę Lindbloma, starając się odczytać jego reakcję.

Jednak żadnej reakcji nie dostrzegł, choć Lindblom z pewnością usłyszał to zapewnienie.

Wcześniej czy później będzie musiał zareagować. Joseph Adams znał tego człowieka, swego bliskiego przyjaciela, z którym przepracował już tyle czasu, że mógł wiedzieć, czego się po nim spodziewać.

Reakcja na pewno będzie gwałtowna. Po dłuższych przemyśleniach Verne Lindblom z pewnością zgodzi się i pomoże mu znaleźć sposób uwolnienia Runcible'a w taki sposób, żeby agenci Brose'a nie dowiedzieli się, kto to zrobił. Agenci Brose'a i wynajęci prywatnie footemani, którzy z nimi współdziałali. Z drugiej jednak strony...

Nie należało zapominać, że Verne Lindblom jest przede wszystkim Yansowcem. Niezależnie od swoich sympatii. Może więc równie dobrze przekazać oświadczenie Adamsa Brose'owi. W takim wypadku agenci Brose'a pojawią się w ciągu kilku minut na terenie posiadłości Adamsa i zabiją go. Prosta sprawa.

W tym momencie jednak nie było sposobu na to, aby przewidzieć, co zrobi jego wieloletni przyjaciel Lindblom. Adams w przeciwieństwie do Brose'a nie miał na swoich usługach międzynarodowej organizacji, wykonującej profile psychologiczne.

Mógł więc tylko czekać. I modlić się.

A modlitwa, pomyślał, praktykowana była od wielu lat, robiono to także przed wojną.

Technik operacyjny prywatnej korporacji policyjnej Webster Foote Limited wgramolił się do swojego ciasnego bunkra i rzekł do audiofonu, który uzyskał właśnie połączenie z siedzibą w Londynie:

– Sir, zarejestrowałem rozmowę dwukierunkową.

– Na ten sam temat, o którym ostatnio rozmawialiśmy? – dobiegł go odległy głos Webstera Foote'a.

– Najwyraźniej.

– W porządku. Wiesz, kto zajmuje się Louistem Runciblem'em. Prześlij mu taśmę.

– Przykro mi to mówić, ale...

– Prześlij to tak czy inaczej. Robimy, co możemy, z pomocą tego, co mamy. – Odległy głos Webstera Foote’a brzmiał dość autorytatywnie. Zawsze w ten sposób wydawał polecenia i oceniał pracowników.

– Tak jest, panie Foote. Natychmiast.

– Właśnie – zgodził się Webster Foote. – Natychmiast. – I rozłączył się.

Technik operacyjny firmy Webster Foote Limited odwrócił się natychmiast do swoich detektorów i urządzeń rejestrujących, działających ekonomicznie przy małym wzmocnieniu, które jednak dawało zadowalający sygnał. Sprawdził taśmę wideo, na której rejestrował rozmowę, i upewnił się, czy w czasie rozmowy przez audio-fon ze swoim przełożonym niczego nie stracił. Bo nie była to odpowiednia chwila na zaniedbania.

Na szczęście jednak wszystko zostało zarejestrowane.

W tym samym czasie wspaniałe, napisane odręcznie przez Josepha Adamsa przemówienie spoczywało nadal w jego teczce. Lindblom jeszcze nie wyszedł. Trzęsącą się ręką zapalał papierosa i starał się nie angażować w dalszą rozmowę. Był zbyt wyczerpany, żeby wyjść.

– Możesz teraz w każdej chwili mnie zadenuncjować – rzekł Adams, siadając za biurkiem i otwierając teczkę, żeby wyjąć przemówienie.

– Wiem – mruknął Lindblom.

Adams wstał i podszedł w stronę drzwi.

– Zamierzam przesłać to przez Megawaka do pamięci i na taśmę. Potem już mnie to nie obchodzi. Właściwie jak się ma nazywać ten nowy projekt polegający na stworzeniu fałszywych artefaktów i wsadzeniu za kratki człowieka, którego jedynym celem w życiu jest budowa przyzwoitych mieszkań...

– Naziści nie mieli żadnych pisemnych rozkazów dotyczących „ostatecznego rozwiązania” – przerwał mu Lindblom – czyli zagłady Żydów. Wszystko przekazywane było ustnie. Od przełożonego do podwładnego, z ust do ust.

– Chodźmy, wypijemy kawę – odparł Adams.

Lindblom wzruszył ramionami.

– A co tam, do diabła. Przecież to oni zdecydowali, że to Runcible. Dlaczego mielibyśmy twierdzić, że to nieprawda? Pokaż mi człowieka, który odniósłby większe korzyści z opróżniania podziemnych osad.

– Chętnie bym ci kogoś takiego wskazał – zapewnił go Adams. Zauważył, że Lindblom jest zmieszany. – Mógłby to być każdy z tysięcy osadników mieszkających w budowlach Runcible’a. Wystarczyłoby, żeby jeden z nich uciekł i nie został złapany przez agentów Brose’a czy Foote’a, po czym trafił z powrotem do swojej osady. Stamtąd mógłby skontaktować się z sąsiednią osadą, potem następną...

– Pewnie – zgodził się Lindblom. – Jasne. Czemu nie? Ale czy jego współosadnicy pozwoliliby mu wejść z powrotem? Myślisz, że nie pomyśleliby, że jest napromieniowany albo że przytrafiła mu się... Jak my to nazwalibyśmy? Czarna Zaraza? W takim wypadku zmasakrowaliby go od razu, gdyby go tylko ujrzeni. Bo wierzą we wszystkie bzdury, jakie im podtykamy w telewizji każdego dnia tygodnia i dodatkowo dwa razy w sobotni wieczór, tak na wszelki wypadek. Pomyśleliby, że to żywa bomba. Poza tym nie wiesz jeszcze czegoś. Powinieneś od czasu do czasu podrzucić parę docłów chłopakom od Foote’a. Usłyszałbyś trochę ciekawych informacji. Osadnicy, którzy dowiedzieli się o tym, co się tutaj dzieje, nie usłyszeli tego od nikogo, kogo by znali. Nie był to żaden z ich ludzi powracający z góry.

– Dobrze, osadnik nie mógł wrócić do siebie, więc zamiast tego...

– Dowiedzieli się przez kablówkę – uciął jego rozważania Lindblom.

Przez chwilę Adams nie mógł zrozumieć. Stał, wpatrując się w Lindbloma.

– Zgadza się – potwierdził Lindblom. – Usłyszeli to w telewizji. Sygnał docierał przez jakąś minutę i był bardzo słaby. Ale to wystarczyło.

– O mój Boże – jęknął Adams. Na dole ukrywają się miliony osadników. Co by się stało, gdyby ktoś podłączył się do głównego kabla prowadzącego z Estes Park do wszystkich osad? Gdyby tak na powierzchnię wylały się miliony ludzi uwieczonych przez piętnaście lat pod ziemią, wierzących w panujące na powierzchni skażenie radioaktywne, rakiety, bakterie, zniszczenia i walczące armie, system posiadłości w ciągu kilku minut ległby w gruzach, a wielki park, nad którym przelatywał dwa razy dziennie, stałby się ponownie gęsto zaludnionym miejscem. No, może nie aż tak gęsto jak przed wojną, ale podobnie. Znowu pojawiłyby się drogi i miasta. I w końcu, prędzej czy później, mielibyśmy nową wojnę, uzmysłowił sobie Adams.

Tak wyglądała prawda. Masy pchały swoich przywódców do wojny, i to zarówno w ZachDemie, jak i DemoLudzie. Kiedy jednak udało się wcisnąć je pod ziemię, do antyseptycznych osad, rządzące elity Wschodu i Zachodu zdołały zawrzeć układ... chociaż właściwie w pewnym sensie to wcale nie oni zawarli układ, nie Brose ani generał Holt, ani nawet marszałek Harenzany, najwyższy oficer w hierarchii radzieckiego państwa. Jednak to właśnie oni, Holt i Harenzany, wiedzieli, kiedy nadszedł czas na użycie pocisków (i uczynili to), a kiedy należało zaprzestać waśni, bez czego pokój nie byłby obecnie możliwy. Jednakże za tą współpracą dwóch najważniejszych wojskowych stało coś, co dla Adamsa było równie niezrozumiałe, jak i wzruszające.

Trybunał blaszaków w Mexico City/Amecameca pomagał przy zaprowadzaniu pokoju na planecie i jako ciało rządzące, ostateczny arbiter, nigdy nie został rozwiązany. Człowiek zbudował inteligentną broń. Po pewnym czasie przemysleń, dokładnie po dwóch latach, w ciągu których trwała masowa zagłada dwóch armii blaszaków zwartych w boju, dwóch wielkich, sztucznych armii pochodzących z dwóch różnych kontynentów... zaawansowane typy blaszaków, zaprojektowane z myślą o wykorzystaniu ich analitycznych mózgów przy planowaniu taktyki oraz całościowej strategii, te właśnie nowoczesne urządzenia X, XI i XII generacji wymyśliły, że najlepszą strategią jest coś, co Fenicjanie znali już pięć tysięcy lat temu. Wszystko zostało podsumowane w „Mikado”, pomyślał Adams. Jeśli samo stwierdzenie, że jakiś człowiek został zabity, wystarczyło, żeby wszyscy czuli się usatysfakcjonowani, to czemu nie poprzestać jedynie na takim stwierdzeniu i nie zabijać go? Dla nowoczesnych blaszaków rozwiązanie problemu wyglądało właśnie w ten sposób. Blaszkaki nie były fanami Gilberta i Sullivana, nie miały też zaprogramowanego libretta „Mikado” w pamięci. Doszły jednak do takiego właśnie wniosku i, co więcej, działały wedle tej zasady wraz z marszałkiem Harenzanym i generałem Holtem.

– Którzy jednak nie zauważali różnicy – dokończył na głos swoje rozmyślenia Adams.

– Słucham – zdziwił się Lindblom. Nadal był dość roztrzęsiony i nie miał chęci na dalszą dyskusję. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Trybunał nie zauważył wtedy – ciągnął dalej Adams – i nadal nie dostrzega, gdyż jego system percepcji i przetwarzania nie jest wyposażony w element libido, że maksyma: „Po co kogoś zabijać”...

– Zamknij się wreszcie – zdenerwował się Lindblom, po czym wyszedł z biura. Adams natomiast, nie dokończywszy zdania, stał z przemówieniem w ręku, podwójnie sfrustrowany.

Nie winił jednak Lindbloma za jego zdenerwowanie, ponieważ wszystkich Yansowców cechował egoizm. Sprawili, że świat stał się ich własnością, a miliony osadników pod ziemią pracowały dla ich wygody. To było złe. Yansowcy wiedzieli to i mieli poczucie winy, choć nie tak wielkie, żeby spowodować przewrót, odsunąć Brose'a od władzy i wyprowadzić osadników na powierzchnię. Uczucia nie pobudzały ich do czynu, lecz sprawiały, że każdego wieczora ogarniała ich druzgocąca samotność i pustka. Wiedzieli, że jeśli należałoby wybrać kogoś, kto najwięcej uczynił, by naprawić krzywdę polegającą na odebraniu planety jej prawowitym właścicielom, to byłby to Louis Runcible. Yansowcy korzystali na utrzymywaniu osadników pod ziemią, a on korzystał na wypuszczaniu ich na górę. Elita Yansowców stała w opozycji do Louisa Runcible'a, który miał nad nią moralną przewagę. Nie tchnęło to optymizmem, przynajmniej zdaniem Joego Adamsa, stojącego w swoim biurze ze wspaniałym przemówieniem, które za chwilę miało zostać wrzucone do Megawaka, przelane do pamięci i na taśmę, a potem wykastrowane przez Brose'a. Przemówienie to nie ujawniało prawdy, ale przynajmniej nie było zbiorem frazesów, kłamstw i eufemizmów...

Oraz mroczniejszych składników, które Adams dostrzegał w przemówieniach sporządzanych przez swoich ziomeków, Yansowców. Był przecież tylko jednym z wielu piszących przemówienia.

Niosąc swoją wypieszczoną przemowę, która wydawała mu się wspaniała, Adams wyszedł z biura i ekspresową windą dotarł na piętro, gdzie pracował Megawak 6-V. W czasie tych wielu lat Megawak był ciągle unowocześniany i ulepszany. W rezultacie zajmował teraz całe piętro i był ogromną maszyną. Sam sim jednak pozostał malutki.

Kiedy Adams wynurzył się z windy, zauważył dwóch osiłków w mundurach. Byli to specjalnie wybrani przez Brose'a, choć obecnie wyglądający na zmęczonych, żołnierze o twarzach recydywistów. Znali go. Wiedzieli, że jego obecność na piętrze Megawaka jest dozwolona z powodu pracy, jaką wykonuje.

Podszedł do klawiatury Megawaka i zauważył, że aktualnie urządzenie jest wykorzystywane. Inny, nieznanemu mu Yansowiec wystukiwał coś właśnie na klawiaturze jak pianista wirtuoz kończący utwór Franciszka Liszta, z furią uderzając w białe-czarne klawisze.

Obok Yansowca leżała kopia jego dokumentu. Adams poddał się impulsowi i podszedł, żeby przyjrzeć się tekstowi.

W tym momencie Yansowiec zaprzestał znęcania się nad klawiaturą.

– Przepraszam. – Adams się spieszył.

– Czy mogę zobaczyć pańskie upoważnienie? – Yansowiec, o dosyć ciemnej skórze, młody i niski, z włosami przypominającymi Meksykanina, wyciągnął stanowczo dłoń w jego kierunku.

Wzdychając, Adams wyjął z teczki notatkę z Genewy, z biura Brose’a, upoważniającą go do użycia Megawaka do tego konkretnego przemówienia. Dokument miał pieczęć z numerem kodowym podanym w notatce. Ciemny, mały Yansowiec porównał notatkę z tekstem i chyba usatysfakcjonowany oddał oba dokumenty Adamsowi.

– Skończę za jakieś czterdzieści minut. – Młodzieniec wrócił do pracy na klawiaturze. – Niech pan gdzieś idzie i zostawi mnie w spokoju – dokończył niegrzecznie.

– Podoba mi się pański styl – nie dawał za wygraną Adams. Szybko przejrzał dokument młodzieńca. Był bardzo dobrze napisany. Nadzwyczaj dobrze.

Yansowiec ponownie przerwał pisanie.

– Pan Adams, o ile się nie mylę. – Wyciągnął dłoń, tym razem w celu uściśnięcia dłoni Adamsa. Napięta atmosfera nieznacznie się rozluźniła. Kiedy spotykało się dwóch Yansowców, niezależnie od tego, czy w biurze Agencji, czy na terenie posiadłości, natychmiast wyzwalala się w nich żądza rywalizacji. Było to dość przykre, ale Adams najczęściej wychodził obronna ręką z tych potyczek. Zdawał sobie sprawę, że gdyby tak nie było dawno już zostałyby odsunięty. – Napisał pan kilka świetnych przemówień. Oglądałem taśmy. – Przyglądając mu się bystrymi, czarnymi, głęboko osadzonymi oczyma, młody Yansowiec mówił: – Ale wiele pańskich pomysłów jest wycinanych przez Genewę. Przynajmniej tak słyszałem.

– Cóż – odparł ze stoickim spokojem Adams – w tym interesie albo coś się obcina, albo emituje. Nie istnieje, niestety, coś takiego jak częściowa transmisja.

– Założy się pan? – Głos młodzieńca był wysoki, świdrujący. Denerwował Adamsa.

Zresztą nie było w tym nic dziwnego, bo prawdę mówiąc, obaj rywalizowali o tę samą nagrodę. Adams jednak musiał coś powiedzieć:

– No, oczywiście, nudne, wodniste przemówienie mogłoby zostać uznane...

– Coś panu pokażę. – Młodzieniec nie czekał na koniec zdania. Wstał i włączył główny obwód urządzenia tak, aby Megawak mógł rozpocząć obróbkę danych, które zostały już załadowane.

Adams i ciemny Yansowiec razem podeszli do sima.

Sim siedział przy dużym, dębowym biurku, za którym stała flaga Stanów Zjednoczonych. W Moskwie inny, identyczny sim siedział w pokoju identycznego Megawaka 6-V z flagą Związku Radzieckiego. Poza tym ubranie, siwe włosy, ojcowskie spojrzenie, wyraźnie

zarysowana szczeka, wszystko było identyczne. Obydwa simy były jednocześnie budowane w Niemczech przez najlepszych techników na świecie. Tutaj natomiast, na miejscu, specjalnie wyszkoleni skośnoocy konserwatorzy co dzień dokonywali przeglądu sima w poszukiwaniu najmniejszego objawu niesprawności, choćby ułamka sekundy wahania. Wszystkiego, co mogłoby obniżyć żadaną jakość, dającą wrażenie autentyczności. Ta gra pozorów, najbardziej przebiegła spośród wszystkich, w które zamieszani byli Yansowcy, wymagała największego podobieństwa do autentyczności.

Adams zdał sobie sprawę, że w tym wypadku nawet chwilowa niesprawność doprowadziłaby do katastrofy. Jak na przykład wtedy, gdy jego lewa ręka wyciągnęła się...

Na ścianie zapaliła się wielka, czerwona lampa ostrzegawcza. Dzwonek zabrzączał. Kilkunastu ludzi obsługi wyrosło nagle jak spod ziemi, by przyjrzeć się urządzeniu.

Groziła im katastrofa, taka jak wtedy gdy lewa, wyciągnięta ręka wpadła nagle w spazm pseudoparkinsonizmu, neuromotorycznych drgawek... co wskazywałoby na zdradliwy początek starości, gdyby transmisja była aktualnie w toku. W każdym razie prawdopodobnie tak wyglądałaby interpretacja osadników. „Starzeje się – mówiliby jeden do drugiego, siedząc w swoich salach, nadzorowanych przez pol-komów. – Patrz, trzęsie się”. „Ten wysiłek”. „Pamiętasz Roosevelta? Wysiłek związany z prowadzeniem wojny w końcu dał mu się we znaki”. „Protektor też kiedyś w końcu ulegnie. I co my wtedy zrobimy?”.

Na szczęście jednak wtedy transmisja nie była prowadzona. Osadnicy nigdy nie ujrzeli tej sekwencji. Sim został otwarty, całkowicie wymieniony, przetestowany, sprawdzony i zatwierdzony. Za sprawcę zamieszania uznano małą część elektroniczną. Jakiś mężczyzna pracujący za warsztatem w jednym z centrów Runcible'a został uwolniony od swoich dotychczasowych obowiązków, a także prawdopodobnie od życia... Nie dowiedziawszy się nawet dlaczego. Ponieważ przede wszystkim nie miał pojęcia, do czego służy mała cewka, dioda lub inna część, którą wykonał.

Sim zaczął się poruszać. Joseph Adams zamknął oczy, stojąc poza zasięgiem kamer, obok małego, ciemnego, bardzo młodego, ale najwyraźniej doświadczonego Yansowca, autora słów, które miały za chwilę popłynąć z ust sima. Może sim dostanie od tego pomieszania zmysłów, pomyślał z nadzieją Adams. Albo tak jak stare płyty, sim zacznie powtarzać w kółko to samo słowo...

– Moi drodzy Amerykanie – zaczął sim swoim pewnym, znanym, lekko zachrypniętym, choć kontrolowanym głosem.

Joseph Adams w myślach odpowiedział na tę inwokację. Tak jest, panie Yans. Tak, sir.

Joseph Adams słuchał przemówienia aż do momentu, w którym ciemny, młody Yansowiec zakończył wprowadzanie tekstu do Megawaka. Później, kiedy sim zamilkł, a kamery zakończyły rejestrację, Adams odwrócił się do młodzieńca i rzekł:

– No cóż, chylę czoło. Dobry jesteś. – Mimo że stał obok Megawaka, sam prawie dał się zwieść, przyglądając się wystąpieniu Protektora Talbota Yansa, który z absolutnie właściwą intonacją, w piękny sposób wyrecytował przetrawiony przez Megawaka tekst. Prawie wyczuwał, jak odpowiednie komendy przepływają z urzędnika do sima. Był świadkiem panowania prawdziwego źródła słów nad sztucznym urządzeniem siedzącym za dębowym biurkiem, za którym stała flaga amerykańska. Niesamowicie, pomyślał.

Ale dobre przemówienie to dobre przemówienie. Niezależnie od tego, z czyich ust wypływa. To tak, jak dzieciak w liceum recytujący Toma Paine’a. Materiał jest piękny, więc recytujący nie jąka się, nie waha i nie przekręca słów. Megawak i wszyscy technicy stojący wkoło niego są gwarancją, że nie wydarzy się nic, co mogłoby zakłócić przemówienie. My zresztą również, pomyślał Adams. Wiemy przecież, co robimy.

– Kim pan jest? – spytał niezwykle uzdolnionego młodzieńca.

– Dave jakiś tam. Zapomniałem – odparł chłopak, całkowicie pochłonięty przedstawieniem nawet teraz, kiedy sim już umilkł.

– Zapomniał pan swojego nazwiska? – Adams czekał przez chwilę zaskoczony, a później zdał sobie sprawę, że w ten sposób młodzieniec chciał dać mu coś do zrozumienia: był stosunkowo młodym Yansowcem, nie do końca umiejscowionym w hierarchii. – Lantano – rzekł Adams. – Nazywa się pan David Lantano i mieszka w radioaktywnej okolicy Cheyenne.

– No właśnie.

– Nic dziwnego, że jest pan czarny... – Wypalony promieniami, zdał sobie sprawę Adams. Młodzi, chcący jak najszybciej otrzymać swoje posiadłości, wprowadzali się zbyt szybko. Wszystkie plotki, które światowa elita opowiadała na okrągło w wieczorne godziny, okazały się prawdą: jest jeszcze o wiele za wcześnie i fizycznie młody David Lantano był tego przykładem.

– Ale żyję – odparł filozoficznie David.

– Niech pan tylko spojrzy na siebie. Co się dzieje z pańskim szpikiem?

– Badania wykazały, że nie spadła produkcja czerwonych krwinek. Mam nadzieję, że wyjdę z tego. Zresztą z dnia na dzień radioaktywność maleje. Najgorszą część mam już za sobą. – Z wymuszonym uśmiechem Lantano dodał: – Powinien pan kiedyś wpaść do mnie w odwiedzinę, Adams. Moje blaszaki pracują dzień i noc. Willa prawie gotowa.

– Nie pojechałbym tam za nic na świecie – odparł Adams. – Pańskie przemówienie jest najlepszym dowodem, jak wiele może pan nam pomóc. Dlaczego ryzykuje pan swoje życie

i zdrowie? Niech pan lepiej pomieszka trochę w Nowym Jorku, w budynku Agencji, aż do czasu kiedy...

– Kiedy za dziesięć czy piętnaście lat okolice Cheyenne przestaną być napromieniowane i ktoś wpakuje się tam przede mną – dokończył za niego Lantano. – Moją jedyną szansą jest zajęcie tego miejsca już teraz. Zresztą dawniej inni Yansowcy też tak robili. Co prawda te zbyt wczesne przeprowadzki do radioaktywnych posiadłości często kończyły się śmiercią, która, co gorsza, nie była szybka i spokojna, ale powolna i bolesna, czasami proces trwał wiele lat.

Patrząc na ciemnego, a właściwie poważnie okaleczonego młodzieńca, Adams zdał sobie sprawę, że sam miał szczęście. Miał szczęście. Miał swoją posiadłość, willa stała już od dawna, teren został zdrzewiony i pokryty trawą. Poza tym nabył tę ziemię, kiedy promieniotwórczość spadła do bezpiecznego poziomu. Polegał na raportach ludzi Foote'a i kupił ziemię za ciężkie pieniądze. Ale opłaciło się. Inaczej sprawa przedstawiała się z Lantano.

Lantano będzie w końcu miał swoją piękną willę zbudowaną z gruzu i cementu, które kiedyś stanowiły miasto Cheyenne. Ale prawdopodobnie jej nie ujrzy, bo będzie już martwy.

Wtedy, zgodnie z rozporządzeniem Trybunału, ziemia ponownie zostanie wystawiona na sprzedaż. Młodzi Yansowcy rzucą się, by jak najszybciej zagarnąć to, co pozostało z posiadłości Lantana. Dla Adamsa ironia była dość oczywista: willa zbudowana takim nakładem, za cenę życia Lantana, przejdzie w ręce kogoś, kto nie będzie musiał się wysilać i nadzorować wytężonej pracy blaszaków...

– Domyślam się – odezwał się w końcu Adams – że wyjeżdża pan z Cheyenne tak często, jak tylko zezwala prawo. – Zgodnie z rozporządzeniem Trybunału dwanaście z każdych dwudziestu czterech godzin musiało być spędzone na terenie posiadłości.

– Przyjeżdżam tutaj. Pracuję, jak pan zresztą widzi. – Lantano wrócił do klawiatury Megawaka-6V. Adams potruchtał za nim. – Jak pan wie, mam robotę. Mam nadzieję, że dożyję jej końca. – Lantano zasiadł za klawiaturą, przed napisanym przez siebie przemówieniem.

– No cóż, przynajmniej pański mózg jest w porządku – rzekł Adams.

– Dzięki – odpowiedział z uśmiechem Lantano.

Przez godzinę Joseph Adams stał nad Lantanem, który wprowadzał przemówienie do Megawaka. Po wprowadzeniu całości i przesłaniu tekstu do sima wysłuchali, jak dystyngowany, siwy i tatusiowaty Talbot Yans poważnym tonem wygłasza przemówienie, najwyraźniej wyczuwając bezsensowność swoich słów. Cóż za okropny kontrast.

Tekst, który Adams ma w swojej teczce, będzie brzmiał przy tym jak paplanina żółtodzioba. Wolałby się teraz zapaść pod ziemię.

Adams zadawał sobie w duchu pytanie, skąd ten przypieczony promieniowaniem, nowo przyjęty Yansowiec bierze takie pomysły. Skąd bierze się umiejętność wysławiania się? A poza tym skąd wie tak dokładnie, w jaki sposób tekst będzie wyglądał po przetrawieniu go przez

Megawaka, jakie słowa zostaną wypowiedziane przez sima przed kamerami? Czy żeby osiąść taką wiedzę, nie trzeba przez lata harować nad tekstami? Jemu przecież zajęło wiele lat, zanim osiągnął swoje obecne umiejętności, które, po napisaniu zdania, pozwalały mu z pewnym prawdopodobieństwem przewidzieć, jak będzie brzmiała ostateczna wypowiedź sima. Innymi słowy, co pojawi się na milionach ekranów telewizyjnych osadników mieszkających pod powierzchnią ziemi, którzy oglądali i wierzyli w to, co z pewną dozą zarozumiałości nazywano słowem mówionym.

Dość ładny termin, zauważył Adams, jak na określenie formy bez treści. Ale nie była to do końca prawda, gdyż na przykład przemówienia młodego Dave'a Lantano nie można było zaliczyć do tego samego gatunku. Przemówienie to podtrzymywało przy życiu najbardziej podstawową iluzję. Prawdę mówiąc, Adams musiał to niechętnie przyznać, dzięki Dave'owi Lantano iluzja rzeczywistości Yansa była nawet lepsza. Ale...

– Pańskie przemówienie – rzekł do Lantano – po prostu nie jest sprytne. Jest w nim mądrość. Jak w mowach Cyserona. – Sam też zaczął poszukiwać w swoim przemówieniu odwołań do starożytnych źródeł, do Cyserona i Seneki, a także do tekstów Szekspira i Toma Paine'a.

Wkładając przemówienie z powrotem do teczki, David Lantano rzekł z powagą:

– Doceniam tę pochwałę, panie Adams. Takie słowa, szczególnie z pańskich ust, wiele dla mnie znaczą.

– Dlaczego akurat z moich ust?

– Ponieważ – odparł Lantano z namysłem – wiem, że mimo pańskich ograniczeń – spojrzał na Adama przenikliwie – naprawdę pan się stara. Chyba wie pan, o co mi chodzi. Są takie złe słowa, które łatwo wypowiedzieć, a trudno potem cofnąć. Pan ich skrupulatnie unikał. Przyglądałem się panu przez kilka lat i zawsze dostrzegałem różnicę między panem a całą resztą. Brose też zna tę różnicę i mimo faktu, że obcina większość pańskich pomysłów, szanuje pana. Musi pana szanować.

– Cóż... – Adams nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy kiedykolwiek przestraszył się pan, kiedy Genewa odrzuciła jakieś pańskie przemówienie? Po tym jak napracował się pan nad nim? Czy jest to dla pana frustrujące albo... – David Lantano przyjrzał mu się badawczo. – Tak, widzę, że tak.

Po chwili milczenia Adams odparł:

– Czasami się boję. Ale nie wtedy, gdy siedzę w Agencji, tylko nocą, kiedy jestem sam z blaszakami w mojej willi. Nigdy, kiedy piszę, wprowadzam tekst do Megawaka albo słucham przemówienia sima... nie tutaj, gdzie... jest taki ruch. Ale zawsze, kiedy siedzę sam w domu.

Ucichł. Zdziwił się, że potrafił z taką łatwością wyjawić młodemu nieznanemu swoje najgłębiej skrywane obawy. Zazwyczaj ludzie zwierzali się tylko swoim najbliższym. Wszelkie osobiste informacje mogły być wykorzystane przeciwko ich właścicielowi. W tej niekończącej

się rywalizacji każdy chciał być jedyną osobą piszącą przemówienia dla Yansa, gdyż w ten sposób stawał się jakby samym Yanssem.

– Tutaj, w Agencji w Nowym Jorku, możemy ze sobą rywalizować – ciągnął poważnym tonem Lantano – ale przecież tak naprawdę tworzymy jedną grupę. Wspólne ciało, jakie chrześcijanie nazywali dawniej kongregacją... To określenie tak wiele znaczy. Ale każdy z nas o szóstej po południu wsiada do własnego fruwadła, przemierza pustą przestrzeń i dociera do pustej warowni zamieszkaney przez metalowe maszyny, które poruszają się i mówią, ale są... – machnął ręką – zimne. Blaszaki, nawet najbardziej zaawansowanych generacji, zasiadające w Trybunale, są lodowato zimne. Weź swoją świętę, wszystkie blaszaki z twojej posiadłości, które uda ci się wcisnąć do fruwadła, i złóż komuś wizytę. Któregokolwiek wieczora.

– Wiem, że niektórzy Yansowcy tak robią. – Adams pokiwał głową. – Nigdy nie ma ich w domu. Ja też tak próbowałem. Przyjeżdżałem do siebie, jadłem kolację i od razu wylatywałem. – Pomyślał o Colleen i swoim sąsiedzie, Lanie. – Mam dziewczynę – rzucił nagle. – Ona też jest Yansowcem. Odwiedzamy się i rozmawiamy. Ale przez duże frontowe okno biblioteki w mojej posiadłości...

– Nie przypatruj się nigdy tej mgłę i skałom na wybrzeżu – poradził mu Lantano. – Ciągną się setki mil jeszcze za San Francisco. To jedne z najbardziej ponurych skał na Ziemi.

Adams zamrugał oczyma. Skąd Lantano tak dobrze wiedział, o co mu chodziło? Skąd wiedział, jak bardzo obawia się tej mgły? Czuł się tak, jakby chłopak czytał w jego najskrytszych myślach.

– Teraz ja chętnie posłucham twojego przemówienia. – Lantano się uśmiechnął. – Tak wnikliwie przestudiowałeś mój tekst, że czuję się zobowiązany. – Spojrzał na teczkę Adamsa.

– Nie, dzięki – odmówił Adams. Nie mógł przedstawić mu swojego przemówienia po tej stanowczej i śmiałej deklaracji, którą przed chwilą widział i słyszał.

Praca Davida Lantano, która dopiero co została wyrecytowana przez sima Yansa, opowiadała o niesprawiedliwości. Uderzała w samo sedno problemu osadników... Przynajmniej według tego, co Adams mógł zrozumieć z raportów pol-komów, które docierały do rządu w Estes Park. Raporty te były udostępniane w charakterze planów sytuacyjnych, wszystkim Yansowcom, szczególnie tym, którzy pisali przemówienia. Było to jedyne źródło informacji na temat efektu, jaki wywierała na osadników ich praca.

Raporty pol-komów dotyczące przemówienia Lantano, kiedy zostanie już ono nadane, będą z pewnością bardzo interesujące. Oczywiście minie co najmniej miesiąc, zanim tekst zostanie wyemitowany, ale Adams na wszelki wypadek zapisał oficjalny kod przemówienia i obiecał sobie przeglądać wszystkie świeżo otrzymane raporty z osad rozlokowanych na całym świecie... a przynajmniej na terenie ZachDemu. Jeśli oddźwięk będzie odpowiedni, Sowieci wezmą kopię taśmy z zaprogramowanym przemówieniem i użyją jej w swoim Megawaku w Moskwie, do

zaprogramowania swego sima. Poza tym Brose mógłby wziąć oryginalną taśmę, kazać ją skopiować i rozdawać w charakterze wzorca innym Yansowcom piszącym przemówienia. Tekst Lantana, jeśli był tak dobry, jak się Adamsowi wydawało, mógłby stać się jedną z tych niewielu „wiecznych” deklaracji, które na stałe zostały wcielone do ideologii. Co za zaszczyt. A ten chłopak był tak cholernie młody.

– Jak ci się to udaje? – spytał Adams ciemnego, nowego Yansowca, który nie miał jeszcze nawet własnej willi i mieszkał na terenie skażonym śmiertelnie radioaktywnością, umierając, smażąc się, cierpiąc, a mimo to odwalając kawał dobrej roboty. – Jak ty to robisz, że otwarcie mówisz o systematycznym pozbawianiu osadników wszystkiego, co im się prawnie należy? Przecież takie jest właśnie przesłanie twojej pracy. – Pamiętał dokładnie słowa Lantana, wypowiedziane wąskimi ustami Yansa. „To, co dostajecie, nie może wam wystarczać – mówił osadnikom Talbot Yans, syntetyczny i w pewnym sensie nieistniejący Protektor, albo raczej będzie mówił za parę tygodni, kiedy taśma przejdzie przez Genewę. – Wasze życie jest niepełne, w takim znaczeniu, w jakim mówił to Rousseau, kiedy opowiadał o człowieku, który zrodził się wolny, a potem został skuty kajdanami”. Urodzili się przecież na powierzchni, oddychali czystym powietrzem, patrzyli na słońce i wzgórza, oceany i potoki, kolory i krajobrazy, a teraz wszystko to zostało im zabrane. Zostali wciśnięci do małych nor i żyli w sztucznym świetle, oddychając oczyszczanym powietrzem. Słuchali puszczonej przez radiowęzeł muzyki i całymi dniami przesiadywali przy warsztatach, produkując blaszaki do celu, który... Tego nie mógł zdradzić nawet Lantano. Nie mógł przecież dokończyć: „W celu, którego nawet nie podejrzewacie. Dla nas, mieszkających nad powierzchnią i potrzebujących blaszaków po to, żeby na nas czekały, chodziły wszędzie z nami, kopały, budowały, drapały nas po plecach i wciąż nam się kłaniały. Dzięki wam jesteśmy baronami mieszkającymi w wielkopańskich zamkach. A wy jesteście Nibelungami, karłami harującymi w kopalniach. Pracujecie dla nas. W zamian dostajecie słowo mówione”. Oczywiście w przemówieniu nie mogły znaleźć się takie słowa. Niemniej tekst mówił prawdę, osadnicy mieli prawo do czegoś więcej, czegoś, czego im nie dano. Są ofiarami złodziei. Okradziono miliony osadników. Przez lata nie uzyskali oni zadośćuczynienia moralnego ani prawnego.

– Moi drodzy Amerykanie – mówił sim Talbota Yansa swoim srogim, stoickim, wojskowym, przywódczym, ojcowskim głosem (Adams nie mógł zapomnieć tego przemówienia) – istnieje dawna, chrześcijańska idea, którą być może znacie, mówiąca, że życie na Ziemi albo w waszym przypadku pod powierzchnią jest tylko etapem przejściowym. Epizodem pomiędzy życiem, które było wcześniej, i wiecznym istnieniem, które kiedyś osiągniecie. Kiedyś pogański król na Wyspach Brytyjskich został nawrócony na chrześcijaństwo dzięki metaforze życia, przedstawionego jako krótki lot nocnego ptaka, który wleciał przez okno ciepłej i oświetlonej sali jadalnej zamku i przez moment przemierzał komnatę pełną ruchu

i rozmów, czując przyjemność płynącą z przebywania z innymi. Potem jednak ptak wyleciał z oświetlonej jadalni przez inne okno. Znalazł się wówczas w pustej, czarnej, nieskończonej przestrzeni. Ptak ten już nigdy nie ujrzy tego światła, nie poczuje ciepła, ruchu i obecności innych istot. A – tutaj Yans, z całą swoją powagą i dostojnością, jakby wiedząc, że jego słowa docierają do tak wielu, wielu istot ludzkich w niezliczonych osadach na całym świecie, dodał: – wam, moi drodzy Amerykanie, w podziemnych schronach nie został nawet dany taki moment. Moment, który moglibyście z lubością wspominać i cieszyć się nim, ten krótki lot przez oświetloną salę jadalną. Macie prawo do tej chwili, a mimo to z powodu tych strasznych wydarzeń, które rozegrały się piętnaście lat temu, zostaliście skazani na banicję. Każdego dnia płacicie za szaleństwo, które wyгнаło was z powierzchni ziemi, tak jak gniew Boga przed wiekami wyгнаł naszych przodków z raju. To niesprawiedliwe. Pewnego dnia, zapewniam was, zakończy się to odosobnienie. Ograniczenie waszego świata, pozbawienie was przysługującego wam życia, ta straszna niedola i niesprawiedliwość zostaną zniesione. Kiedy to się stanie, zmiany nie będą postępować powoli. Zostaniecie przeniesieni z powrotem na powierzchnię, na ziemię, która czeka na was, nawet jeśli nie będziecie mogli nas przekląć, bo nie będziecie nawet pamiętać, że istnieliśmy – zakończył Yans.

Boże, pomyślał Adams. I ten człowiek chciał posłuchać mojego przemówienia.

Widząc wahanie, David Lantano rzekł cicho:

– Przyglądałem ci się, Adams. Jesteś dobry.

– Wątpię – zaprzeczył Adams. – Przez cały ten czas starałem się tylko położyć kres ich wątpliwościom. Nic więcej, a to z pewnością za mało. Prawiłem im tylko o konieczności ich pobytu pod ziemią. A ty, dobry Boże, miałeś odwagę powiedzieć, że ich życie pod powierzchnią ziemi nie jest koniecznością, ale niesprawiedliwym, czasowym przekleństwem. Jest duża różnica między tym, co ja robię, a co ty. Ja wykorzystuję sima Yansa do przekonania ich, że muszą kontynuować swoją pracę, bo tutaj, na powierzchni, sytuacja wygląda o wiele gorzej. Bakterie, radioaktywność, śmierć. Ty dajesz im obietnicę, zawierasz z nimi układ, dajesz swoje słowo, słowo Yansa, że pewnego dnia rachunki zostaną wyrównane.

– Cóż – odparł Lantano – w Biblii jest przecież napisane: „Bóg wszystko wynagrodzi”, czy coś w tym rodzaju. Dokładnie nie pamiętam.

Wyglądał na zmęczonego, nawet bardziej niż Lindblom. Wszyscy byli zresztą zmęczeni, cała ich klasa. Na naszych barkach spoczywa ogromny ciężar, pomyślał Adams. Luksus naszego życia. Ponieważ nikt nie wyrządza nam krzywdy, sami postanowiliśmy to zrobić. Widział wyraz twarzy Lantana. Tak samo wyglądała również twarz Verne’a Lindbloma. Ale nie Brose’a, uprzytomnił sobie nagle. Człowiek, na którym spoczywa największa odpowiedzialność i w którego rękach leży władza, odczuwa najmniejszy ciężar, jeśli w ogóle cokolwiek odczuwa.

Nic dziwnego, że wszyscy się go obawiali. Nic dziwnego, że nie mogli spać po nocach.

Wiedzieli, że służą złemu panu.

Przemówienie Adamsa nadal leżało w teczce. Nie odważył się go zaprezentować Davidowi Lantano i nie miał teraz ochoty wprowadzać go do Megawaka. Adams jechał pasem ekspresowym z budynku przy Piątej Alei 580 do olbrzymiego składu materiałów piśmiennych, oficjalnego archiwum wszelkiej wiedzy, które utrzymywane było jeszcze od czasów przedwojennych. Materiały te dostępne były dla elity, do której zaliczał się Adams. A on właśnie potrzebował pewnego tekstu. Na dużej stacji centralnej wysiadł i stanął przed kombinacją blaszaka generacji XXXC i Megawaka 2-B, który był rządzącą monadą w labiryncie taśm. Posiadał w swojej pamięci dwudziestosześcioletni indeks pomniejszony do wymiarów jo-jo. Adams stanął przed nim i rzekł, jakby się skarżąc:

– Hmm... trochę się pogubiłem. Nie szukam żadnego określonego źródła, takiego jak na przykład „De rerum natura” Lukrecjusza albo „Prowincjałki” Pascala, albo „Zamek” Kafki. – Takich dzieł używał wcześniej. Dzięki nim nawiązywał do klasyków: Johna Donne’a, Cycerona, Seneki i Szekspira.

– Pański klucz identyfikacyjny – zabręczała rządząca monada archiwów.

Włożył klucz do otworu. Został zarejestrowany i w tej chwili rządząca monada, po skonsultowaniu się ze swoją pamięcią, znała już i pamiętała wszelkie źródła, jakich używał wcześniej. Znała już teraz również stan jego wiedzy. Z punktu widzenia archiwów znała go teraz dokładnie i mogła określić następny punkt jego rozwoju, taką miał przynajmniej nadzieję. Jego historycznego rozwoju jako jednostki myślącej.

Bóg jeden wiedział, że sam Adams nie miał zielonego pojęcia, jaki będzie to punkt. Praca Davida Lantano całkowicie wybiła go z rytmu i czuł, że wpadł teraz w straszną pustkę. Był to kryzys, który, miał nadzieję, zdarza się po raz ostatni w jego karierze. Stanął, przynajmniej potencjalnie, przed widmem tego, co groziło wszystkim osobom piszącym przemówienia dla Talbota Yansa: wyczerpaniem sił twórczych. Zanikiem możliwości zaprogramowania Megawaka, a nawet zaprogramowania czegokolwiek.

Rządząca monada oficjalnego archiwum Agencji kliknęła parę razy, jakby zgrzytając swoimi elektronicznymi zębami trybów, po czym wypluła:

– Panie Adams, niech się pan nie martwi.

– Dobrze – odparł, choć nie mógł być już bardziej zmartwiony. Kolejka stojących za nim Yansowców niecierpliwiła się. – Co dostanę tym razem?

Rządząca monada odparła:

– Zostanie pan ponownie odesłany do źródła numer jeden. Dwa filmy dokumentalne z roku 1982, obie wersje, A i B. Proszę nie brać tego do siebie, ale musi pan je przestudiować dokładnie. Proszę podejść do stołu po pańskiej prawej stronie, gdzie otrzyma pan taśmy

z oryginalnymi filmami Gottlieba Fischera.

W tym momencie świat Josepha Adamsa rozpadł się na kawałki. Podchodząc do stołu po prawej stronie, umierał wewnątrz, i to w wielkim bólu. Pozbawiono go podstawowego, metabolicznego rytmu istnienia.

Bo jeśli nie zrozumiał jeszcze dwóch dokumentów Gottlieba Fischera z 1982 roku, to nie rozumiał nic.

Ponieważ w dokumentach tych przedstawiono wszystko, co go dotyczyło. Powstanie Yansa, kim był i dlaczego go stworzono, a więc także w jaki sposób powstała kasta Yansowców, takich jak on, Verne Lindblom i Lantano, a nawet straszny i potężny Brose. Dokument A dotyczył ZachDemu, a B – DemoLudów. Poza nimi nie istniało nic więcej.

Kazano mu więc wrócić do korzeni. Do początku jego kariery zawodowej jako Yansowca. W tym momencie Adamsowi nie mogło przytrafić się nic gorszego. Gdy podchodził do stołu, kolana się pod nim ugięły.

Po przyjęciu taśm bez słowa podszedł do wolnego stolika ze skanerem, usiadł i nagle zdał sobie sprawę, że stojąc w kolejce, położył gdzieś teczkę i zapomniał ją później wziąć. Innymi słowy, zgubił na dobre teczkę zawierającą wymęczone, pisane ręcznie przemówienie, które udało mu się wreszcie spłodzić poprzedniego wieczora.

To potwierdzało jego tezę. Był w poważnych tarapatach.

Zadał sobie w myśli pytanie: Który z dokumentów powinienem obejrzeć najpierw?

Zupełnie nie mógł się zdecydować. W końcu raczej przypadkowo, wziął taśmę z filmem A. W sumie był przecież Yansowcem z Zach-Demu. Dokument A, pierwsza z dwóch prac Gottlieba Fischera, zawsze wydawał się mu bardziej interesujący. Bo jeśli któryś z dokumentów przedstawiał historię prawdziwą, to była to z pewnością wersja A. Historia ta została ukryta jednak pod stosem sfabrykowanych faktów, ustanawiających pewien standard, co zresztą czyniło to właśnie źródło tak cennym, podstawowym dla Yansowców.

Na termin „wielki łgarz” Gottlieb Fischer zasłużył sobie bowiem bardziej niż oni wszyscy. Nikt z żyjących ani z tych, którzy kiedykolwiek mieli się urodzić, nie potrafi bez zająknięcia opowiedzieć historii świata z tych błogich, sielankowych dni poprzedzających wojnę. Zachodniemiecki producent filmowy Gottlieb Fischer, spadkobierca UFA, studia filmowego starej Rzeszy, które w latach trzydziestych dwudziestego wieku tak często korzystało z usług doktora Goebbelsa, ten jedyny w swoim rodzaju, niezrównany mistyfikator wiedział, jak z rozmachem nakręcić przekonujące zdjęcia. Oczywiście Fischer miał ogromne wsparcie. Oba ośrodki militarne, ZachDem i DemoLudy, wspierały go finansowo i duchowo. Dostarczały mu również świetnych urywków filmów z czasów drugiej wojny światowej, które przechowywano w ściśle tajnych archiwach.

Oba dokumenty mówiły o drugiej wojnie światowej, która dla wielu ludzi w roku 1982 była jeszcze całkiem niedawną przeszłością. Skończyła się przecież zaledwie trzydzieści siedem lat przed ukazaniem się dokumentów. Szeregowiec, który w momencie zakończenia wojny, w 1945 roku, miał dwadzieścia lat, siedział teraz jako pięćdziesięcioletek przed telewizorem w swoim pokoju gościnnym w Boise, w stanie Idaho, i oglądał część pierwszą (spośród dwudziestu pięciu) dokumentu A.

Wpatrując się w obiektyw skanera, Joseph Adams pomyślał, że ludzie powinni przecież pamiętać jeszcze wojnę na tyle, aby wiedzieć, że to, co pokazują im w telewizji, nie jest prawdą.

Jego oczom ukazał się mały, podświetlony obraz przedstawiający Adolfa Hitlera przemawiającego do wynajętych pachołków, w głównej mierze tworzących Reichstag w latach trzydziestych. Führer był sardoniczny, jowialny, drwiący i podniecony. W tej sławnej scenie, którą każdy Yansowiec świetnie znał, Hitler odpowiadał na skargę prezydenta Stanów

Zjednoczonych Roosevelta. Hitler twierdził, że może zagwarantować granice wielu małych państw europejskich. Odczytywał przy tym jedną po drugiej nazwy państw, a oszalały tłum zgodnie wznosił okrzyki uwielbienia dla przywódcy. Cała sytuacja była bardzo ciekawa, Führer emocjonujący się wielce absurdalną listą (praktycznie w trakcie wojny napadł po kolei na wszystkie państwa znajdujące się na liście), ryki pacholków...

Joseph Adams patrzył, przyglądał się, czuł odrazę do tłumów, do tego rozradowania spowodowanego obecnością Hitlera. Jednocześnie przepełniało go proste, wręcz dziecinne uczucie zaciekawienia: czy to wszystko mogło się wydarzyć naprawdę? A jednak się wydarzyło. Ten fragment części pierwszej dokumentu A był autentyczny, co zważywszy na samą naturę całego filmu, wydawało się dość dziwne.

Teraz dopiero widać było cały artyzm niemieckiego producenta. Scena z przemówieniem w Reichstagu ustąpiła miejsca innemu obrazowi, który choć początkowo był nieco niewyraźny, stopniowo stawał się coraz bardziej przejrzysty. Był to obraz głodnych, o pustym spojrzeniu Niemców z czasów zmierzchu Republiki Weimarskiej, przed dojściem Hitlera do władzy. Bezrobotni. Bankruci. Zagubieni. Wypalony naród bez przyszłości.

Komentarz znajdujący się na ścieżce dźwiękowej, podkładany przez wyszkolonego aktora Alexa Sourberry'ego, którego zatrudnił Gottlieb Fischer, zaczął żyć własnym życiem, opisując zmieniające się obrazy. Pojawił się ocean i Marynarka Królewska Wielkiej Brytanii, która rok po zakończeniu pierwszej wojny światowej kontynuowała blokadę morską, doprowadzając naród, który dawno się poddał i nie mógł walczyć, do wielkiego głodu.

Adams zatrzymał skaner, usiadł wygodniej i zapalił papierosa.

Czy naprawdę musi słuchać, niskiego głosu Alexandra Sourberry'ego, żeby dowiedzieć się, jakie jest przesłanie dokumentu A? Czy musi oglądać wszystkie dwadzieścia pięć godzinnych odcinków, a potem zabrać się do równie długiej i pogmatwanej wersji B? Znał przecież przesłanie. Zarówno wypływające z dokumentu A, jak i B. Istniały dwa różne dokumenty i wypływały z nich dwa różne przesłania.

Sourberry miał właśnie za chwilę zademonstrować niezwykle fakt: istnienie elementu wiążącego dwie sceny odległe od siebie o dwadzieścia kilka lat. Angielską blokadę z roku 1919 i obozy koncentracyjne pełne umierających z głodu szkieletów w ubraniach w paski, z roku 1943.

To Anglicy doprowadzili do powstania Buchenwaldu, twierdziła poprawiona przez Gottlieba Fischera historia. Nie Niemcy. Niemcy byli jedynie ofiarami, i to zarówno w 1919, jak i w 1943 roku. Późniejszy fragment filmu A miał ukazać mieszkańców Berlina, w 1944 roku polujących w lasach otaczających miasto, zbierających pokrzywy, z których mogliby ugotować zupę. Niemcy głodowali. Cała Europa kontynentalna cierpiała głód, wszyscy ludzie w obozach koncentracyjnych i poza nimi. Wszystko z powodu Anglików.

Takie motto przyświecało dwudziestu pięciu po mistrzowsku nakręconym odcinkom. Była to „ostateczna” historia drugiej wojny światowej, w każdym razie dla ludzi z ZachDemu.

I co z tego wynika, pytał siebie w myślach Adams, paląc papierosa i dygocąc ze zmęczenia, zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Co wiem? Że Hitler był uczuciowy, kapryśny, zmienny i pięknie przemawiał. Oczywiście film kłamał. Bo Hitler był po prostu geniuszem. Tak jak Beethoven. A przecież wszyscy podziwiają Beethovena. Geniuszowi na miarę całego świata trzeba wybaczać ekscentryczność. Hitler natomiast w końcu przestał się kontrolować, wpadł w psychotyczną paranoję... która wywołana była oczywiście niechęcią Anglii do zrozumienia, że prawdziwe zagrożenie leży zupełnie gdzie indziej. W stalinowskiej Rosji. Cechy szczególne charakteru Hitlera (bądź co bądź był on przecież, podobnie jak pozostali Niemcy, poddany stałemu, ogromnemu stresowi w czasie pierwszej wojny światowej i kryzysu weimarskiego) zmyliły raczej flegmatycznych Anglosasów, którzy natychmiast pomyśleli, iż jest on „niebezpieczny”. Natomiast tak naprawdę – Alex Sourberry wbijał to do głowy widzom ZachDemu odcinek po odcinku – Anglia, Francja, Niemcy i Stany Zjednoczone powinny były się sprzymierzyć. Przeciw autentycznemu złoczyńcy, jakim był Józef Stalin, z jego megalomańskimi planami podboju świata... które wprowadzane były w życie poprzez politykę ZSRR po drugiej wojnie światowej, kiedy nawet Churchill twierdził, że głównym wrogiem jest Związek Radziecki.

I tak to trwało. Komunistyczni propagandyści, pośledni dziennikarze w Zachodnich Demokracjach zwodzili ludzi, a nawet rządy... nawet Roosevelta i Churchilla. Dzięki temu pojawiły się postacie takie jak Alger Hiss... albo Rosenbergowie, którzy ukradli tajemnice bomby atomowej i przekazali ją ZSRR.

Przyjrzyjmy się na przykład scenie rozpoczynającej odcinek czwarty wersji A. Joseph Adams przewinął taśmę i zatrzymał ją na odpowiednim odcinku. Przyłożył oczy do wizjera skanera, nowoczesnej kryształowej kuli, w którą zaglądało się, by poznać nie przyszłość, ale przeszłość. I...

Nawet nie przeszłość. Raczej mistyfikację, którą oglądał teraz Adams.

Przed jego oczyma pojawił się fragment filmu z podkładem wszechobecnego Alexa Sourberry’ego. Scena o znaczeniu podstawowym dla morału wypływającego z wersji A, który Gottlieb Fischer, wsparty przez ZachDem, pragnął przekazać widzowi. Innymi słowy, było to *raison d’être* dwudziestu pięciu godzinnych odcinków wersji A.

Miniaturowa scena, którą ujrzał, przedstawiała spotkanie głów państw: Roosevelta, Churchilla i Stalina. Miejsce spotkania: Jałta. Złowieszcza, fatalna Jałta.

Oto na stojących obok siebie krzesłach siedzieli trzej przywódcy świata. Pozowali do fotografii. Była to historyczna, niezapomniana chwila. „Nikt z żyjących nie może o niej zapomnieć, gdyż to właśnie tutaj – mówił Sourberry – podjęto najważniejsze decyzje”. Widz

natomiast może ten moment ujrzyć na własne oczy.

Jakie decyzje?

W uszach Josepha Adamsa brzmiały słowa wypowiedziane przez profesjonalistę: „W tym miejscu, w tym momencie, podpisano układ, który zaważył na przyszłości nienarodzonych jeszcze pokoleń”.

– Dobra – rzekł na głos Adams, co przstraszyło niespodziewającego się niczego Yansowca, siedzącego przy sąsiednim skanerze. – Przepraszam – rzucił Adams, po czym pomyślał: No dobra, Fischer. Zobaczymy ten układ. Jak to mówią, nie gadaj, tylko pokazuj. Wyłóż kawę na ławę albo zamknij się. Przedstaw nam podstawowe tezy „dokumentu” albo spadaj.

Ponieważ oglądał ten film wiele razy, doskonale wiedział, że producent i tak zamierza przedstawić to, co najważniejsze.

– Joe – powiedział jakiś damski głos, rozpraszając uwagę Adamsa. Wyprostował się, spojrzał do góry i ujrzał Colleen.

– Czekał – powstrzymał ją. – Nic nie mów. Przynajmniej przez chwilę. – Energicznie i z pewnym lękiem zbliżył oczy do skanera, zupełnie jak biedny osadnik, który sterroryzowany zagrożeniami złapał, w każdym razie tak mu się wydaje, Śmierdzącego Pokurcza, niezbyt mile pachnącego zwiastuna śmierci. Joseph Adams wiedział jednak, że to, co widzi, nie jest ułudą. Ogarniające go przerażenie było coraz silniejsze. Mimo to nie przestawał oglądać filmu. Przez cały czas Alex Sourberry mówił, a Joseph Adams myślał: Czy to tak czują się osadnicy, kiedy zaczynają rozumieć, co tak naprawdę oglądają? Że to, co dostają od nas, jest naszą akceptacją tego... Ta myśl go przeraziła.

Sourberry kontynuował: „Lojalni amerykańscy agenci służb specjalnych nakręcili te unikatowe zdjęcia za pomocą kamery z teleobiektywem, którą ukryto w guziku na kołnierzu. Dlatego też obraz chwilami jest odrobinę nieostry”.

Dwie „odrobinę nieostre”, jak to powiedział Sourberry, postacie przemieściły się w kierunku okna. Był to Roosevelt i... Józef Stalin. Roosevelt, ze szlafrokiem położonym na kolanach, poruszał się na wózku inwalidzkim, popychanym przez lokaja w liberii.

– Specjalny sprzęt nasłuchowy o dalekim zasięgu umożliwił agentowi służb specjalnych nagranie... – ciągnął Sourberry.

W porządku, pomyślał Joseph Adams. Wszystko wygląda wiarygodnie. Kamera wielkości guzika na kołnierzyku. Kto w 1982 roku pamiętał, że w 1944 nie było tak zminiaturyzowanych urządzeń szpiegowskich? Tak więc prawdziwość filmu nie jest kwestionowana... a właściwie nie została zakwestionowana, kiedy wyświetlono go wszystkim mieszkańcom ZachDemu. Nikt nie napisał do rządu w Waszyngtonie: „Szanowni Panowie. Jeśli chodzi o «kamerę wielkości guzika na kołnierzyku», która rzekomo była w posiadaniu «lojalnego agenta służb specjalnych» w Jalcie, to chciałbym Panów poinformować”... Nie, na szczęście nic takiego się nie stało.

A nawet jeśli się stało, to list został po cichu spalony... Miejmy zresztą nadzieję, że tylko list.

– Którą część oglądasz, Joe? – spytała Colleen. Adams znów się wyprostował i zatrzymał taśmę.

– Wielka scena. Kiedy Roosevelt i Stalin zgadzają się co do zaprzędania Zachodnich Demokracji.

– A tak. – Kiwnęła głową i usiadła obok niego. – Zamazane ujęcie z dużej odległości. Kto by to mógł zapomnieć? Przecież wbijali nam to do głów...

– Wiesz, oczywiście, jaki jest słaby punkt tego filmu?

– Przecież uczono nas tego. Sam Brose, uczeń Fischera...

– Nikt teraz nie robi takich błędów, przygotowując słowo mówione – rzekł Adams. – Nauczylismy się czegoś. Jesteśmy w tym lepsi. Chcesz popatrzeć? Posłuchać?

– Nie, dzięki. Zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Mnie też nie – odparł Adams. – Chociaż swoją drogą to ciekawe, że tego kalibru pomyłka uszła uwagi ludzi i została zaakceptowana.

Przybliżył oczy do skanera i kontynuował projekcję. Można było odróżnić głosy obu niewyraźnych postaci, zapisane na ścieżce dźwiękowej. Wysoki poziom szumów – dowód nagrywania poprzez mikrofon o dalekim zasięgu, którego używał „lojalny agent służb specjalnych” – sprawiał, że głosy trudno było zrozumieć, ale przy pewnym wysiłku i to stawało się możliwe.

W wersji A Roosevelt i Stalin rozmawiali po angielsku. Roosevelt ze swoim harwardzkim akcentem, a Stalin z ciężkim, słowiańskim akcentem przypominającym pomruk zwierzęcia.

Dlatego też Roosevelta łatwiej było zrozumieć. A to, co miał do powiedzenia, było bardzo ważne, gdyż nie wiedząc o istnieniu „ukrytego mikrofonu”, twierdził właśnie, że on, Franklin Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych, jest... agentem komunistów. Obowiązuje go więc dyscyplina partyjna. Z tego powodu sprzedaje Stany Zjednoczone swojemu szefowi, Józefowi Stalinowi, który z kolei rewanżował się:

– Tak, towarzyszu. Rozumiecie nasze potrzeby. Dlatego powinniście powstrzymać armie aliantów na Zachodzie, żeby Armia Czerwona mogła wdrzeć się głęboko do środkowej Europy, do Berlina, i ustanowić radzieckie panowanie jak najdalej... – W tym momencie ciężkie pomruki umilkły, gdyż obydwaj przywódcy znaleźli się poza zasięgiem mikrofonu.

Wyłączając ponownie film, Joseph Adams rzekł do Colleen:

– Pomijając ten słaby punkt, Gottlieb odwalił kawał dobrej roboty. Facet grający Roosevelta naprawdę wygląda jak Roosevelt. A facet grający Stalina...

– Słaby punkt to słaby punkt – przypomniała mu Colleen.

– Tak. – Było to poważne uchybienie. Największe, jakiego dopuścił się Gottlieb Fischer, i prawdę mówiąc, jedyne poważne spośród wszystkich podrabianych sekwencji znajdujących się

w wersji A.

Józef Stalin nie znał angielskiego. Toteż nie mógł mówić po angielsku i scena taka nigdy się nie rozegrała. Najważniejsza scena, którą właśnie ujrzał Adams, najlepiej mówiła, czym jest cały „dokument”. Stworzoną rozmyślnie, z wielką dokładnością mistyfikacją skonstruowaną w celu rehabilitacji Niemiec i ich dokonań w czasie drugiej wojny światowej. Ponieważ w 1982 roku Niemcy znowu były potęgą światową i, co więcej, największym udziałowcem w zjednoczeniu narodów zwanym Zachodnimi Demokracjami albo w skrócie ZachDemem. Organizacja Narodów Zjednoczonych rozpadła się w czasie wojny w Ameryce Łacińskiej w 1977 roku, pozostawiając po sobie próżnię, w której natychmiast ulokowali się Niemcy.

– Niedobrze mi się robi – rzekł Adams do Colleen, trzymając drżącą ręką papierosa. *Wszystko, czym jesteśmy w chwili obecnej, wywodzi się od nieudolnie nakręconej sceny Stalina konwersującego w języku, którego nie znał.*

– Cóż, Fischer mógł przecież... – odparła Colleen po chwili milczenia.

– Bez problemu naprawić ten błąd. Wystarczyło dodać tłumacza. To załatwiłoby sprawę. Ale Fischer był artystą... podobał mu się pomysł rozmowy przywódców tete-a-tete, bez żadnych pośredników. Czuł, że taka scena będzie bardziej dramatyczna. – I miał rację, gdyż „dokument” ten został powszechnie zaakceptowany jako zgodny z historią i poprawnie przedstawiający jałtańską „wyprzedaż” „źle zrozumianego” Adolfa Hitlera, który tak naprawdę starał się tylko ocalić Zachodnie Demokracje przed komunistami... Nawet obozy koncentracyjne. To również wytłumaczono. Wystarczyło tylko zmontować kilka ujęć brytyjskich okręgów wojennych i głodujących ofiar obozów. Kilka całkowicie nieprawdziwych scen, które nigdy się nie rozegrały. Świetnie dobrane fragmenty, pochodzące z wojskowych archiwów ZachDemu... i do tego wszystkiego dodany ten łagodny głos, łączący wszystkie sceny. Łagodny, ale stanowczy.

Świetnie.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się tak wściekasz – dziwiła się Colleen. – Chodzi ci o to, że błąd jest tak oczywisty? W tamtych czasach nie był tak oczywisty, bo kto w 1982 roku wiedział, że Stalin nie mówił...

– Czy wiesz – przerwał jej Adams, cedząc słowa – na czym polega główna mistyfikacja w wersji B? Czy kiedykolwiek głębiej się nad tym zastanawiałaś? Bo wydaje mi się, że nawet Brose nigdy nie przykładał takiej wagi do wersji B, jak do A.

Po chwili zastanowienia Colleen rzekła:

– Zaraz, w wersji B, dla świata komunistów w roku 1982... – Wyteżyła pamięć, marszcząc brwi, po czym dodała: – Już dawno nie oglądałam żadnego fragmentu wersji B, ale...

– Zacznijmy od hipotezy operacyjnej, którą przyjęto w wersji B – wtrącił się Adams. – Chodziło o to, że ZSRR i Japonia starają się ocalić cywilizację. Anglia i Stany Zjednoczone są tajnymi sprzymierzeńcami nazistów. Doprowadzili Hitlera do władzy tylko po to, żeby mieć

pretekst do zaatakowania wschodniej Europy w celu ochrony status quo przed nowo powstającymi państwami na wschodzie. Tyle wiemy. W czasie drugiej wojny światowej Anglia i Stany Zjednoczone udawały tylko, że walczą z Niemcami. To Rosja prowadziła wszelkie operacje lądowe na terenie frontu wschodniego. Lądowanie w Normandii... jak oni to nazwali... drugi front... zostało przeprowadzone dopiero po tym, jak Niemcy zostały pokonane przez Rosję. Amerykanie i Brytyjczycy chcieli natychmiast znaleźć się na miejscu i chciwie zagarnąć jak najwięcej łupów wojennych...

– Które należały się ZSRR – dokończyła Colleen. Kiwnęła głową. – Ale gdzie, twoim zdaniem, Fischer popełnił techniczny błąd w wersji B? Pomysł jest równie wiarygodny, jak w wersji A. Wspaniałe zdjęcia Armii Czerwonej pod Stalingradem...

– Tak. Wszystko prawdziwe. Autentyczne i całkiem przekonujące. Wojna rzeczywiście została rozstrzygnięta pod Stalingradem. Ale... – Zacisnął pięść, gniotąc papierosa, którego następnie wrzucił do stojącej opodal popielniczki. – Nie mam zamiaru oglądać wersji B – odparł. – Niezależnie od tego, co powiedziała mi monada. Czyli nie wykonam zadania. Przestałem już się rozwijać, co oznacza, iż wkrótce zostanę zastąpiony... i koniec. Czuję to poprzedniego wieczora, zanim wyszłaś. Poczuję to znowu dzisiaj, kiedy usłyszałem przemówienie Dave'a Lantano. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo odstaje ono od wszystkiego, co kiedykolwiek napisałem... albo co kiedykolwiek napiszę. Lantano ma około dziewiętnastu lat. Najwyżej dwadzieścia.

– David ma dwadzieścia trzy lata – rzekła Colleen. Podnosząc na nią wzrok, Adams spytał:

– Znacie się?

– Och, wpada czasami do Agencji. Lubi wracać na swoją radioaktywną posiadłość, gdzie może nadzorować pracę blaszaków. Upewnia się, że willa wyglądać będzie dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Według mnie tak bardzo zależy mu na nadzorowaniu prac, bo wie, że i tak nie dożyje ich zakończenia. Lubię go, ale jest taki dziwny i tajemniczy. Jak pustelnik. Przychodzi tutaj, wprowadza swoje przemówienie do Megawaka, trochę postoi, czasami chwilę pogada, po czym znowu ucieka. Ale zaraz, powiedz mi w końcu, na czym polega błąd w wersji B, który, jak twierdzisz, znasz tylko ty, a przez te wszystkie lata nie dopatrywał się go nawet Brose.

– Pamiętasz tę scenę, w której Hitler w czasie wojny odbywa jeden ze swoich tajnych lotów do Waszyngtonu, gdzie ma skonsultować się z Rooseveltem?

– A tak. Fischer wpadł na ten pomysł, kiedy zobaczył lot Hessa do...

– Ważne tajne spotkanie pomiędzy Rooseveltem i Hitlerem. Maj 1942 roku. Kiedy Roosevelt, z lordem LouiSEM Mountbattenem, księciem Battenem von Battenbergiem, reprezentującym Wielką Brytanię, informuje Hitlera, że alianci powstrzymają się od wylądowania w Normandii jeszcze co najmniej przez rok. W ten sposób Niemcy będą mogli przerzucić wszystkie swoje siły na front wschodni i pokonać Związek Radziecki. Roosevelt

mówi również, że trasy wszystkich konwojów, dostarczających broń i żywność do rosyjskich portów północnych, będą regularnie przedstawiane niemieckiemu wywiadowi, którym dowodzi admirał Canaris. Dzięki temu niemieckie okręty podwodne będą mogły zatopić statki z zapasami. Pamiętasz tę zamazaną scenę, którą „partyjny towarzysz zdołał nakręcić w Białym Domu... Hitler i Roosevelt siedzą obok siebie na sofie, a Roosevelt zapewnia Hitlera, że nie ma się czego obawiać. Bombardowania samolotów alianckich przeprowadzane będą nocą i, oczywiście, będą nieudane. Natomiast wszelkie informacje dotyczące radzieckich planów wojskowych i rozmieszczenia jednostek zostaną przekazane Berlinowi dwadzieścia cztery godziny po tym, jak przez Hiszpanię dotrą do wywiadu brytyjskiego lub amerykańskiego.

– Rozmawiają po niemiecku – zgadywała Colleen. – O to chodzi?

– Nie – odparł ze złością.

– Po rosyjsku? Żeby telewidzowie w DemoLudach mogli zrozumieć? Tak dawno już nie...

Adams przerwał jej zdenerwowany:

– Techniczny błąd został popełniony w momencie, kiedy Hitler zjawia się na terenie „tajnej bazy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w okolicach Waszyngtonu”. Aż nie chce się wierzyć, że nikt tego nie zauważył. Przede wszystkim w czasie drugiej wojny światowej Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych nie istniały.

Colleen patrzyła na niego przerażona.

– Nazywało się to jeszcze Korpus Powietrzny Armii – ciągnął Adams. – I nie była to oddzielna formacja wojskowa. Ale to jeszcze nic. Mógłby to być jedynie błąd w komentarzu. Przejęzyczenie. Patrz. – Szybko zdjął taśmę ze skanera, wziął taśmę z wersją B, poczym zaczął ją przewijać. W końcu dotarł do odpowiedniej sceny umieszczonej w części szesnastej. Następnie wyprostował się i gestem zaprosił Colleen do obejrzenia filmu. Przez chwilę Colleen patrzyła w milczeniu.

– Nadlatuje jego samolot – mruzczała pod nosem. – Ląduje. Jest wieczór i znajdujemy się na terenie... Tak, masz rację, komentator mówi, że jest to „baza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych”. Prawie już nie pamiętam...

– Jego samolot – podpowiedział Adams. Colleen zatrzymała taśmę i spojrzała na niego.

– Hitler ląduje na terenie Stanów Zjednoczonych z tajną misją w maju 1942 roku. – Adams uśmiechnął się. – Leci Boeingiem 707 z silnikami turboodrutowymi. Takie maszyny zaczęły dopiero być używane w połowie lat sześćdziesiątych. W czasie drugiej wojny światowej istniał tylko jeden samolot z silnikami turboodrutowymi. Został skonstruowany przez Niemców i nigdy nie wzleciał w powietrze.

– O mój Boże! – przeraziła się Colleen.

– A mimo to uszło im to na sucho. – Adams pokiwał głową. – Ludzie w DemoLudach uwierzyli. W roku 1982 widywali tyle takich samolotów, że zapomnieli, iż w czterdziestym

drugim były tylko te... jak one się nazywały...

– Samoloty śmigłowe – odpowiedziała Colleen.

– Chyba teraz już rozumiem, dlaczego monada odesłała mnie z powrotem do źródeł oryginalnych. – Adams się zastanowił. – Powtórka z Gottlieba Fischera, pierwszego Yansowca. Człowieka, który wpadł na pomysł stworzenia Talbota Yansa. – Który jednak nie dożył, niestety, powstania sima i wykorzystania go przez oba bloki polityczne. – Monada chciała, żebym zrozumiał, iż za bardzo przejmuję się jakością swoich przemówień. Nasza praca, nasz wspólny wysiłek historyczny, rozpoczynający się tymi dwoma filmami dokumentalnymi, został zaprzepaszczone. Kiedy ty, ja czy ktokolwiek inny stara się sfałszować historię, to prędzej czy później i tak popełni błąd.

– Tak – zgodziła się Colleen. – Jesteśmy tylko śmiertelnikami. Nikt z nas nie jest idealny.

– Najdziwniejsze jest jednak to – ciągnął Adams – że w przypadku Davida Lantano jest inaczej. Czułem w jego obecności strach, i teraz wiem dlaczego. On jest inny. Jest... albo może być... idealny. Nie tak jak my. Ale co to oznacza? Że nie jest człowiekiem?

– Bóg jeden wie – rzekła nerwowo Colleen.

– Nie mów tak. Z jakiegoś powodu nie lubię myśleć o Bogu w połączeniu z Davidem Lantano. – Może dlatego, pomyślał, że człowiek ten, mieszka na skażonym terenie i każdego dnia zabijany jest przez radioaktywność. To tak, jakby z faktu zabijania samego siebie czerpał jakąś nadludzką moc.

Był świadom swojej śmiertelności, delikatnej równowagi sił, które z biochemicznego punktu widzenia pozwalały mu egzystować.

David Lantano nauczył się żyć dzięki tym siłom, a nawet korzystać z nich. Jak mu się to udało? Lantano potrafi osiągnąć coś, co dla nas pozostaje tylko w sferze marzeń. Ciekaw jestem tylko, w jaki sposób – pomyślał Adams. Bo ja też chciałbym spróbować.

– Nauczyłem się już z tych filmów tego, czego miałem się nauczyć – rzekł do Colleen – więc chyba mogę sobie resztę darować. – Podniósł się i wziął taśmy. – Nauczyłem się jednej rzeczy. Obejrzałem dzisiaj i wysłuchałem przemówienia dwudziestotrzyletniego, nowego Yansowca. Przestraszyłem się go. Potem przejrzałem dwie wersje dokumentu Fischera z 1982 roku i nauczyłem się jednej rzeczy.

Colleen czekała na jego słowa z cierpliwością matki-ziemi.

– Nawet Fischer – ciągnął Adams – największy z nas wszystkich, nie może się równać z Davidem Lantano. – Tego był pewien. Jednak, przynajmniej na razie, nie wiedział zupełnie, jaki z tego wynika morał.

Czuł jednak, że to coś znaczy. Pewnego dnia on i cała klasa Yansowców, włącznie z samym Brose'em dowiedzą się tego.

Małe, kanciaste urządzenie, działające na zasadzie podobnej do sonaru, rodzaj geologicznej wersji echosondy używanej na okrętach podwodnych, i przymocowane do kombinezonu Nicholasa St. Jamesa, który kopał za pomocą małej, przenośnej koparki, wskazało właśnie swemu właścicielowi, że zdołał przebić się do poziomu dwóch stóp pod powierzchnią ziemi.

Zaprzestał na chwilę pracy, starając się choćby na chwilę uspokoić. Zdawał sobie sprawę, że za piętnaście minut przebije się na powierzchnię, gdzie zostanie złapany.

Instynktowna świadomość, że niedługo zostanie pochwycony, nie robiła na nim prawie żadnego wrażenia.

Cały problem wynikał ze sztucznego, skomplikowanego urządzenia z tysiącami zminiaturyzowanych elementów, z systemami zasilania, czujnikami zewnętrznymi, wyposażonego w akumulatory, które działały praktycznie bez końca, reagującego, co najgorsze, na podstawowy przejaw życia: ciepło.

Chodziło po prostu o to, że żywy Nicholas przyciągał ich uwagę. Na powierzchni musiał się z tym liczyć. Nie mógł walczyć. Nie miał żadnych szans. Mógł albo uciec, albo zginąć. Jeśli zdecyduje się na ucieczkę, trzeba będzie zacząć ją zaraz po tym, jak znajdzie się na powierzchni. Siedząc w gęstej ciemności ciasnego tunelu, oddychając pochodzącym z pojemników powietrzem i przyciskając ciało do metalowego rusztowania biegnącego pod ścianą tunelu, myślał, że być może jest już za późno.

Może już został wykryty. Jeszcze przed ostatecznym przekopaniem się na górę. Wystarczyły vibracje pochodzące z pracującej pod zbyt dużym obciążeniem koparki, która prawie się rozpadała. Albo jego oddech. A może – to złośliwe nadużycie podstawowej cechy egzystencji zawsze go zastanawiało – ciepło jego ciała wyzwoliło automatyczną minę (widział takie w telewizji), która wyruszyła już z miejsca, gdzie leżała uśpiona i niewidzialna, i teraz zdążyła ku niemu po kamieniach pokrywających powierzchnię ziemi. Parła w kierunku miejsca na powierzchni, gdzie Nicholas się przebije przez ostatnie warstwy ziemi. Najwyższa perfekcja, pomyślał Nick, w synchronizacji czasu i przestrzeni. Synchronizacji tego, co robił Nick i co robiła mina.

Wiedział, że czeka na niego. Wiedział od początku. Kiedy tylko znalazł się w tunelu i został w nim zamknięty od dołu.

– Aktywiści – mrucał pod nosem. – Skoro jesteście przedstawicielami naszej społeczności, to powinniście być tu teraz zamiast mnie.

Maska tlenowa wyciszała jego słowa. Ledwo je słyszał. W większym stopniu odczuwał je jako wibrację przenoszoną przez kości czaszki. Wolałbym, żeby Dale Nunes mnie zatrzymał, myślał. Skąd mogłem wiedzieć, że aż tak się ich przestraszę.

To pewnie jakiś odruch neurologiczny wyzwała psychotyczną paranoję, doszedł do wniosku. Niemiłe uczucie, że jest pod stałą obserwacją. Najgorsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznał. Nawet strach nie był teraz zbyt ważny. Najważniejsze i wręcz nie do zniesienia było poczucie znalezienia się na widoku.

Wrócił do kopania. Koparka, rycząc, wgrzyła się w ziemię. Piasek i kawałki skał były odrywane, rozbijane w pył, palone i prawdopodobnie zamienione przez koparkę na energię. Tak czy inaczej pozostałość w postaci drobnego pyłu wylatywała z tyłu urządzenia. Mechaniczny metabolizm koparki zużywał całą resztę składników ziemi. Dlatego tunel za nim nie wypełniał się w błyskawicznym tempie.

Miał więc szansę odwrotu.

Nie uczynił tego jednak. Parł do przodu.

Niewielkich rozmiarów głośniczek interkomu, łączący go z komitetem w Tom Mix, zapiszczał:

– Panie prezydencie, czy wszystko w porządku? Czekamy już od godziny, a pan wciąż nic nie mówi.

– Mam wam tylko jedno do powiedzenia – zaczął Nicholas, ale zamilkł. Po co się denerwować? Dobrze wiedzą, co sędzę o tej ekspedycji. Poza tym jestem wybranym przez nich prezydentem, pomyślał. A oficjalnie wybrani prezydenci, nawet prezydenci małych osad podziemnych, nie używają brzydkich słów. Kontynuował więc kopanie, a interkom milczał. Najwyraźniej zrozumieli przesłanie.

Dziesięć minut później wraz z grudkami ziemi, kamykami i kawałkami korzeni na jego twarz padł promień słońca. Mimo że okulary ochronne i maska, jak zresztą cały kask, stanowiły bezpieczną ochronę, Nick się skulił. Światło słoneczne. Przeróżające, szare i ostre. Wyciągnął dłoń starając się je złapać, jakby było okiem. Okiem, które nigdy się nie zamyka. Światło słoneczne. Po piętnastu latach znowu przypomniało mu się istnienie naturalnego cyklu dziennego. Gdybym umiał się modlić, to na pewno zrobiłbym to teraz, pomyślał. Modliłbym się, żeby widok najstarszego z bogów, bóstwa słońca, nie był dla mnie zwiastunem śmierci. Żebym mógł znowu zaznać rytmu dnia i nocy, abym nie został śmiertelnie porażony światłem słonecznym.

– Przebiłem się – rzekł do interkomu.

Nikt nie odpowiedział. Albo bateria w końcu się wyczerpała... Chociaż światło na jego kasku nadal się paliło, mimo iż w tym momencie w porównaniu ze słońcem było jedynie nikłym promyczkiem. Ze złością potrząsnął interkomem. W tej chwili ważniejsze wydawało mu się zapewnienie sobie drogi odwrotu i skontaktowanie się z osadą niż kontynuacja wędrówki. Mój Boże, pomyślał, moja żona, mój brat, moi ludzie. Zostaliśmy od siebie odcięci.

Poczuł paniczny strach i potrzebę natychmiastowego zejścia z powrotem na dół. Zaczął

pracować jak żuk: wyrzucał ziemię i kamienie na powierzchnię, jednocześnie zasypując za sobą tunel. Wydostał się z jamy, skulił i przycisnął do wilgotnej, ziemnej i płaskiej ziemi. Leżał na ziemi, przytulając się do niej wszystkimi członkami tak, jakby chciał odcisnąć swój kształt. Pozostanie po mnie przynajmniej ślad, myślał. Wgłębienie wielkości ciała ludzkiego. Nawet jeśli mnie wykryją, nie odejdę bez śladu.

Otworzył oczy i spojrzał na północ. Nietrudno było znaleźć północ. Odszukał ją dzięki skałom i trawie, suchym, brązowym, najwyraźniej zżerany chorobą kępom zachwaszczonych traw, znajdującym się pod nim i wokół niego. Biegun północny przyciągał wszystko, obracał całą roślinność w swoim kierunku. Nick spojrzał w niebo i zdziwił się, że jest takie szare, bez najmniejszego strzępka błękitu. To pewnie dym, przeleciało mu przez głowę. Oczywiście, wojna. Cząstki pyłu nigdy nie osiadły. Czuł rozczarowanie.

Ale ziemia? Coś żywego przedzierało się pod jego dłonią. Była to chitynowa forma życia, mrówka, która bardzo mu się spodobała. Mrówka niosła w odnóżach kawałek jakiejś białej substancji; Nick przypatrywał się jej. Cóż, mrówki może nie są zbyt inteligentne, ale w każdym razie się nie poddają. I co ważniejsze, pozostały na powierzchni. Nie uciekły piętnaście lat temu. Przeżyły *Dies Irae*, Dzień Gniewu, a mimo to nadal tu były. W mrówce tej widział nie tylko pojedynczego osobnika, ale raczej reprezentanta rodzaju, który wypełnia swoje odwieczne zadania.

W tym momencie zaskrzeczał jego interkom:

– Panie prezydencie! Przekopał się pan? – W głosie mówiącego słychać było wielkie podniecenie.

– Tak.

– Niech pan opowiada. Jak tam jest?

– Przede wszystkim – zaczął – niebo jest szare z powodu unoszącego się pyłu. Jestem zawiedziony.

– Tak, szkoda! – Na drugim końcu słychać było poruszenie.

– Nie widzę zbyt wiele – rzekł Nicholas. – Po prawej stronie mam ruiny Cheyenne. Widzę parę stojących jeszcze budynków, ale pozostała część miasta nie wygląda najlepiej. Do ruin mam spory kawałek. Bliżej mnie są wielkie kamienie. – Prawdę mówiąc, mogło być gorzej. Zdziwił się. Daleko na horyzoncie dostrzegł coś, co wyglądało na las. – Zgodnie z tym, co mówią w telewizji – ciągnął – po drugiej stronie granicy z Nebraską powinna znajdować się ta duża baza wojskowa. Pójdę teraz na północny wschód i mam nadzieję...

– Niech pan nie zapomina – zatrzeszczał głośnik – że plotki mówią, iż wszyscy czarnorynkowi handlarze mieszkają w ruinach, w piwnicach i starych schronach przeciw bombom wodorowym. Więc jeśli na północnym wschodzie panu nie wyjdzie, niech pan wali prosto na północ, do ruin Cheyenne. Może pan kogoś spotka. W tak dużym mieście powinna być

cała masa głębokich piwnic. Dużo indywidualnych schronów dla jednego albo dwóch facetów, kryjących się w zgliszczach. Muszą przecież trzymać się z dala od blaszaków, prawda? Słyszysz mnie pan?

– Słyszę – przytaknął Nicholas. – Wszystko w porządku. Teraz...

– Ma pan też ze sobą pudełko z gorącym pyłem, który po rozsypaniu myli ślad termotropowym zabójcom. Zupełnie jak Jaś i Małgosia. Cha, cha. Tylko że pan chce, żeby okruszki z chleba zostały zjedzone.

Nicholas niepewnie wstał.

I wtedy go znaleźli. Usłyszał, jak się poruszają w jego kierunku, zwabieni zmianą pozycji. Obrócił się do nich z jedyłą, niezbyt groźną bronią, w jaką wyposażyli go cwani chłopcy z warsztatu w osadzie. Pierwszy blaszak wzniósł się tak, jakby był wypełniony helem i lekki jak piórko, dzięki czemu promień jego ręcznie wyprodukowanego pistoletu laserowego śmignął pod nim. Blaszak najwyraźniej był profesjonalistą, bo zataczając kółka, zaczął obniżać lot. W tym samym czasie inny blaszak, przypominający stonogę i poruszający się w jego kierunku z ogromną szybkością, wyciągnął do niego coś, czego Nick nie zdołał zidentyfikować. Na szczęście była to tylko próba pojmania go. Nick cofnął się, strzelił jeszcze raz z pistoletu, zauważył, jak najpierw jedna, a potem druga część blaszaka oddała się w nieznanym kierunku, po czym poczuł, jak znajdujący się za plecami nieprzyjaciel chwytą go hakiem. Pomyślał, że to już ostatnie chwile. Hak ciągnął go po kamieniach i kępach traw, jakby został przyczepiony do jadącego pojazdu. Starał się odczepić hak, który wbił się pod ubranie i częściowo pod skórę na plecach, ale najwyraźniej blaszak wiedział, gdzie się wbić, żeby Nick nie miał możliwości ucieczki. Dzięki temu Nick nie mógł się nawet odwrócić.

Wtedy też zrozumiał, co się tu dzieje i dlaczego to robią.

Odciągali go od tunelu. Jeden zaskoczył go od tyłu, a drugi, mimo, że był już lekko uszkodzony, starał się zakopać tunel. Blaszak nakierował rodzaj promienia na ziemię, a kamienie, trawa i piasek zaczęły się burzyć i wrzeć. Podniosła się para i po otworze zostało tylko wspomnienie. W tym momencie przestali go ciągnąć. Blaszak zatrzymał się, postawił go na nogi, wybił mu interkom z dłoni i zmiażdżył go dolnym odnóżem. Potem zaczął systematycznie zdzierać z niego poszczególne elementy wyposażenia, pistolet, kask, maskę, zbiornik z tlenem, strój kosmonauty, które natychmiast darł na strzępy, aż w końcu przestał, najwyraźniej usatysfakcjonowany swoją pracą.

– Jesteście radzieckimi blaszakami? – spytał Nicholas, dysząc jeszcze. Pewnie, że tak. Przecież blaszaki ZachDemu nigdy...

W tym momencie, na ramie stojącego przy nim blaszaka ujrzał napis, który bynajmniej nie przypominał cyrylicy ani transkrypcji rosyjskich słów: był to tekst w języku angielskim.

Pięknie wyryte, prawdopodobnie przy użyciu matrycy, słowa dodatkowo pociągnięto

warstewką lakieru. Nie zostało to jednak wykonane w warsztatach pod powierzchnią ziemi. Musiały być zrobione później, kiedy blaszak wjechał już przez tunel na górę. Maszyna mogła nawet zostać wykonana w Tom Mix, ale w tym momencie nie można już było tego rozpoznać, gdyż tabliczka na ramie nosiła napis:

WŁASNOŚĆ DAVIDA LANTANO

NUMER IDENTYFIKACYJNY AGENCJI 3-567-587-1

W RAZIE ZWROTU ZAPEWNIAMY DYSKRECJĘ

STAN URZĄDZENIA POWINIEN BYĆ JEDNAK

CO NAJMNIEJ DOBRY

Kiedy Nick stał, gapiąc się w osłupieniu na tabliczkę, blaszak powiedział:

– Przepraszam pana za nasze niewybaczalne zachowanie, ale musieliśmy szybko odciągnąć pana od tunelu i błyskawicznie go zasklepić. Może zechce pan nam powiedzieć, czy ktoś z pańskiej osady przygotowuje się do wyjścia na powierzchnię albo właśnie kopie tunel? Oszczędzi nam pan używania detektorów.

– Nie – mruknął Nicholas.

– Rozumiem – odparł blaszak, kiwając głową, jakby był usatysfakcjonowany odpowiedzią. – Mamy jednak jeszcze jedno pytanie. Co skłoniło pana do wykopania tunelu wbrew powszechnie panującym zakazom i groźbie nałożenia poważnych kar?

Jego kompan, poważnie uszkodzony, dodał:

– Innymi słowy, sir, proszę nam powiedzieć, po co pan wyszedł na powierzchnię.

Po chwili wahania Nicholas odrzekł:

– Ja... przyszedłem tu po coś.

– Czy mógłby nam pan zdradzić, czym jest to „coś”? – spytał pierwszy blaszak.

Za nic nie mógł się zdecydować, czy powinien im powiedzieć. Całe otoczenie, świat wokół niego, jego mieszkańcy, metaliczni, ale grzeczni, żądający odpowiedzi, ale traktujący go z szacunkiem, wszystko to oszalało go i sprawiało, że czuł się zdezorientowany.

– Damy panu chwilę czasu – rzekł pierwszy blaszak – żeby mógł się pan doprowadzić do porządku. Będziemy jednak zmuszeni nalegać, by nam pan odpowiedział. – Blaszak ruszył w jego kierunku górną kończyną, w której trzymał mały przedmiot. – Jest to poligraficzny analizator pańskich odpowiedzi. Innymi słowy, sir, niezależny układ percepcji, sprawdzający prawdziwość pańskich wypowiedzi. Proszę nie mieć nam tego za złe. To rutynowe postępowanie.

Zanim zorientował się, o co chodzi, wykrywacz kłamstw został przymocowany do jego nadgarstka.

– A teraz, sir – kontynuował pierwszy blaszak – jaki opis warunków panujących tutaj, na powierzchni ziemi, podał pan swoim współsądnikom przez interkom, który zniszczyliśmy dopiero przed chwilą? Prosimy o dokładną odpowiedź.

– Nie... wiem – odparł z wahaniem.

Częściowo zniszczony blaszak zwrócił się do swego towarzysza:

– Nie musimy go o to pytać. Byłem na tyle blisko, że kontrolowałem rozmowę.

– Odtwórz nagranie – poprosił pierwszy blaszak.

Ku zdziwieniu i konsternacji Nicholasa nagle w otworze głosowym uszkodzonego blaszaka rozległa się rozmowa, którą Nick przeprowadził z mieszkańcami osady. Nagranie szumiało,

słowa brzmiały, jakby były wypowiedziane w dużej odległości, ale było je wyraźnie słyhać. Brzmiało to tak, jakby w tej chwili blaszak był prezydentem St. Jamesem.

„Panie prezydencie! Przekopał się pan?”

W odpowiedzi usłyszał własny głos, odtworzony chyba na nieznacznie przyspieszonych obrotach.

„Tak”.

„Niech pan opowiada. Jak tam jest?”

„Przede wszystkim, niebo jest szare z powodu”...

Stał tak obok pary blaszaków i jeszcze raz przysłuchiwał się całej rozmowie. Cały czas zastanawiał się, co tu się dzieje.

W końcu odtwarzanie rozmowy zostało zakończone. Blaszaki się konsultowały.

– Nie powiedział im nic ważnego – rzekł pierwszy blaszak.

– Masz rację – zgodził się drugi. – Spytaj go jeszcze raz, czy mają zamiar wyjść na powierzchnię.

Obie metalowe głowy obróciły się w kierunku Nicholasa i zacięły mu się dokładnie przypatrywać.

– Panie St. James, czy ktoś zamierza iść w pana ślady?

– Nie – odburknął Nick.

– Poligraf przyjmuje jego oświadczenie – oznajmił uszkodzony blaszak. – W takim razie pytamy jeszcze raz: Jaki był cel kopania tunelu? Z całym szacunkiem proszę pana o wytłumaczenie nam tego. Musi pan nam powiedzieć, dlaczego się tutaj znalazł.

– Nie – powtórzył.

Uszkodzony blaszak zwrócił się do swego kompana:

– Skontaktuj się z panem Lantano i spytaj, czy powinniśmy zabić pana St. Jamesa, przekazać organizacji Runcible’a czy też psychiatrom w Berlinie. Twój nadajnik jeszcze działa. Mój został uszkodzony przez broń pana St. Jamesa.

Po chwili pierwszy blaszak rzekł:

– Pana Lantano nie ma w willi. Pracownicy domowi i przydomowi twierdzą, że jest w Agencji, w Nowym Jorku.

– Czy mogą się z nim skontaktować?

Tu nastąpiła długa pauza. W końcu pierwszy blaszak zrelacjonował swoją rozmowę:

– Skontaktowali się z Agencją przez wideolinie. Pan Lantano był tam rzeczywiście i pracował na Megawaku, ale skończył już i najwyraźniej nikt w Agencji nie wie, gdzie i kiedy wyszedł. Nie zostawił żadnej wiadomości. Będziemy więc musieli zdecydować sami – dodał.

– Nie zgadzam się – zaprzeczył uszkodzony blaszak. – Jeśli nie ma pana Lantano, musimy skontaktować się z najbliższym Yansowcem i posłuchać jego poleceń. Dzięki wideolinii w willi

być może uda nam się skontaktować z panem Arthurem B. Tauberem, który znajduje się na terenie posiadłości leżącej na wschód o naszej. Jeśli go nie zastaniemy, porozmawiamy z kimś w Agencji w Nowym Jorku. Chodzi o to, że pan St. James nie powiedział nikomu pod ziemią o warunkach tutaj panujących, toteż jego śmierć została by uznana za wypadek wojenny *bona fide*. Zrozumieją.

– Masz całkowitą rację – zgodził się pierwszy. – Myślę w takim razie, że powinniśmy go zabić i nie przeszkadzać Yansowcowi, panu Arthurowi B. Tauberowi, który tak czy inaczej będzie w Agencji i w czasie, kiedy się z nim...

– Zgoda.

Uszkodzony blaszak wysunął urządzenie przypominające tubę. Nicholas wiedział, że może to oznaczać tylko śmierć. Nie ma co dalej deliberować, wszystko skończone. Myślał tylko: my ich stworzyliśmy w naszych warsztatach, to produkty naszych rąk. Teraz jednak blaszaki przestały się naradzać i zapadła decyzja.

– Zaczekajcie – powstrzymał ich.

Dwa blaszaki jakby ze zwykłej uprzejmości wstrzymały się z zabiciem go.

– Powiedzcie – ciągnął – jeśli jesteście jednostkami ZachDemu, a nie DemoLudów, a jestem tego pewien, bo widzę na was napisy, to dlaczego chcecie mnie zabić? – Postanowił odwołać się od decyzji dwóch nadzwyczaj spostrzegawczych i kierujących się racjonalnym myśleniem urządzeń, wyposażonych w wysoce zaawansowane funkcje mózgowie. Były to dwa blaszaki VI generacji. – Przyszedłem tutaj, żeby kupić sztuczną trzustkę, żebyśmy mogli wykonać normę. Wiecie, co to sztuczne narządy? Potrzebujemy tej trzustki dla naszego głównego mechanika. Żeby zwiększyć produkcję wojenną. – Nie widzę jednak żadnych śladów wojny, pomyślał. Widzę szczątki, które wskazują na to, że wojna rzeczywiście kiedyś się tutaj toczyła... ale to wszystko. W oddali rosły nawet drzewa. Wyglądały na młode i zdrowe. Więc o to chodzi. Wojna się skończyła. Jedna ze stron zwyciężyła lub wojna zakończyła się w inny sposób. W każdym razie w chwili obecnej blaszaki te nie należą do ZachDemu, nie tworzą armii, ale stanowią własność osoby, której nazwisko jest na nich wybite. Tego Davida Lantano. Od niego otrzymują polecenia... w każdym razie wtedy, gdy mogą go odnaleźć. Ale w tej chwili ich pana nie ma w okolicy i czują się bezkarne. Dlatego, pomyślał, muszę umrzeć.

– Poligraf wskazuje na gwałtowny proces myślowy u pana St. Jamesa – zauważył uszkodzony blaszak. – Być może humanitarne byłoby go poinformować... – Tu urwał, ponieważ właśnie został rozniesiony na strzępy. W miejscu, gdzie dotąd stał, leżała masa wszelkiego rodzaju elektronicznych elementów. Pierwszy blaszak obrócił się, zatoczył kółko jak wysoki, metalowy bąk. Jako doświadczony wojownik szukał miejsca, z którego nadszedł atak. W tym momencie jednak również i jego dosięgnął skoncentrowany promień śmierci. Blaszak rozpadł się, a Nicholas został sam, nie widząc nic, co byłoby żywe, mogło mówić albo myśleć. Nawet

robota. Cisza, która zapadła, zastąpiła niezbyt miłą naradę blaszaków, które przygotowywały się do wysłania go na tamten świat. Nicholas był więc zadowolony. Ulżyło mu, gdy blaszaki zostały zniszczone, chociaż nadal niczego nie rozumiał. Rozglądał się wokoło jak robot, który wbił mu hak, i podobnie jak tamten nie mógł nic zauważyć. Tylko kamienie, kępy traw i dalekie ruiny Cheyenne.

– Hej! – krzyknął. Zaczął się przechadzać tam i z powrotem w poszukiwaniu wybawcy, jakby mógł się o niego przewrócić, jakby ten był wielkości muchy, żuka czy czegoś miniaturowego, co mógłby dostrzec dopiero wtedy, gdyby postawił na tym nogę.

Głos wzmożony przez zasilany prądem wzmacniacz zahuczał:

– Idź do Cheyenne.

Nick podskoczył, obrócił się. Za jednym z wielkich głazów krył się człowiek, który najwyraźniej nie chciał być dostrzeżony. Dlaczego?

– W Cheyenne – kontynuował głos – spotkasz byłych osadników, którzy też wyszli na powierzchnię. Oczywiście nie pochodzą z twojej osady. Ale przyjmą cię. Pokażą ci głębokie piwnice, gdzie poziom radioaktywności jest minimalny i gdzie będziesz mógł przebywać bezpiecznie do czasu, gdy zdecydujesz, co chcesz dalej robić.

– Potrzebuję sztucznego narządu – powtórzył Nicholas z uporem, jak maszyna. W tej chwili mógł myśleć tylko o tym. – Nasz główny mechanik...

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł dudniący głos. – Ale powtarzam ci: idź do Cheyenne. Zajmie ci to wiele godzin marszu, a teren jest radioaktywny. Nie wolno ci pozostawać tutaj zbyt długo. Schowaj się w piwnicach w Cheyenne!

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, kim jesteś?

– Naprawdę musisz wiedzieć?

– Nie muszę – odparł Nicholas. – Ale chciałbym. To wiele dla mnie znaczy. – Poczekał chwilę. – Proszę – dodał.

Po chwili widocznego wahania jakaś postać wynurzyła się zza kamienia i podeszła tak blisko, że Nicholas aż odskoczył. Wzmocnienie głosu było techniczną sztuczką mającą na celu utrudnienie zlokalizowania źródła głosu. Dzięki temu odniosło się wrażenie, że ktoś mówi z bardzo dużej odległości. Było to jednak tylko złudzenie.

Osobą, która stała teraz przed Nickiem, był Talbot Yans.

Myślę, że już wystarczy – rzekł Verne Lindblom, stojąc przy odległym krańcu stołu. Wskazał na kilka przedmiotów będących atrapami broni oraz owinięte dokładnie w plastik kości i czaszki. Ziemskie i pozaziemskie. Dwie różne rasy, teraz obce sobie, które za chwilę zostaną pomieszane w ziemi Utah.

Joseph Adams był pod wrażeniem. Lindblom, artysta, nie pracował nad tym zbyt długo. Nawet Stanton Brose, podjeżdżający na swoim specjalnym wózku dla inwalidów wyglądał na zdziwionego. I oczywiście niezwykle zadowolonego.

Inny widz nie okazywał żadnej reakcji. Nie wolno mu było: krążył tylko w kularach. Adams zastanawiał się, kim jest, i wtedy z odrazą pomyślał, że jest to pewnie wtyczka Brose'a u Runcible'a. Ten Robert Hig, który pierwszy odnajdzie artefakt i rozpocznie całą awanturę.

– Moje artykuły – zaczął Adams – nie są jeszcze przygotowane nawet w zarysie. A ty skończyłeś już wszystkie artefakty.

Adams zaczął dopiero pisać pierwszą stronę pierwszego artykułu. Minie jeszcze wiele dni, zanim skończy wszystkie trzy prace, odda je do drukarni Agencji, które nadadzą im formę artykułów w czasopiśmie, po dodaniu innych, prawdopodobnie autentycznych publikacji naukowych. W ten sposób powstaną mające rzekomo trzydzieści lat, przedwojenne egzemplarze „Świata Natury”.

– Niech się pan nie martwi – mruknęła starożytna masa sadła siedząca w napędzanym silnikiem wózku inwalidzkim, która była Stantonem Brose'em. – Nie musimy mieć tych numerów „Świata Natury”, dopóki nasi prawnicy nie uczepią się Runcible'a i nie postawią go przed Trybunałem. A to zajmie trochę czasu. Oczywiście, niech pan pisze jak najszybciej, ale nawet bez nich możemy kontynuować prace i zakopać nasze „dowody”. Nie musimy na pana czekać, Adams. – Wzniósł oczy do nieba. – I całe szczęście.

– Nie wiem, czy już słyszałeś – rzekł Lindblom do Adamsa – że udało nam się ustalić, iż ludzie Foote'a, działający na polecenie Runcible'a, ostrzegli go albo wkrótce to zrobią, że coś planujemy. Na szczęście nie wiedzą dokładnie co. Chyba że jeden z nas w tym pokoju jest agentem Webstera Foote'a, w co śmiem wątpić. Tak czy inaczej wiemy tylko my czterej.

– Niezupełnie – sprostował Brose. – Wie jeszcze dziewczyna, która robiła rysunki tych wyglądających na cholernie autentyczne kawałków czaszek przybyszów z kosmosu. Wykonanie tych rysunków wymagało ogromnej wiedzy antropologicznej i anatomicznej. Musiała wiedzieć, jakie zmiany w *Homo sapiens* ma wprowadzić... większe łuki brwiowe nad oczodołami, nierozwinięte zęby trzonowe, brak siekaczy, mniejszy podbródek, ale za to znacznie powiększony obszar czołowy, wskazujący na istnienie wysoce zorganizowanego mózgu o pojemności 1500 centymetrów sześciennych. Innymi słowy, rasa ewolucyjnie bardziej

zaawansowana niż nasza. To samo z tymi. – Tu wskazał kości nóg. – Amator nigdy nie narysowałby takiej kości strzałkowej i piszczeli.

– I co z nią? – spytał Adams. – Myśli pan, że mogłaby się sypnąć przed Runcible'em albo ludźmi Webstera Foote'a? – Tak jak ja, pomyślał Adams, o czym Verne Lindblom bardzo dobrze wie.

– Nie żyje. – Brose pokręcił głową.

– Mam tego dość – mruknął Lindblom i jak somnambulik, nie oglądając się na boki, ruszył w kierunku drzwi.

Nagle zmaterializowało się przed nim dwóch agentów Brose'a w świecących buciorach, z chłodnym wyrazem twarzy. Dobry Boże, skąd oni się wzięli? Adams był całkiem zaskoczony. Bez wątpienia przez cały czas znajdowali się w pomieszczeniu, ale dzięki jakiejś technicznej, diabelskiej sztuczce byli niewidzialni. Musieli wtopić się w tło jak kameleony. Był to stary chwyt szpiegowski, stosowany od dawien dawna.

– Nikt jej nie zabił – wyjaśnił Brose. – Miała zawał. Z powodu przepracowania. Biedaczka zaharowała się na śmierć, bo daliśmy jej za krótki termin. O Boże, jaka ona była dla nas cenna. Popatrzcie tylko na te dzieła sztuki. – Wskazał koślawym, tłustym paluchem na fotokopię oryginalnych rysunków.

– Ja... – zaczął Lindblom z wahaniem.

– To prawda. – Brose nie czekał na dalszą część wypowiedzi. – Możecie sprawdzić w raporcie lekarza. Nazywała się Arlene Davidson. Miała posiadłość w New Jersey. Znałeś ją.

– Zgadza się – przytaknął Lindblom, zwracając się do Adamsa. – Arlene była chora na serce i lekarze radzili jej, żeby się nie przepracowywała. Ale oni... – Spojrzał z wściekłością na Brose'a. – Oni ją do tego zmusili. Musieli przygotować rysunki na zaplanowany termin. – My również mamy swoje terminy – mówił dalej do Adamsa – ja się wyrobiłem. Potrafię pracować szybko, kiedy grunt mi się pali pod nogami. A ty? Uda ci się napisać te trzy artykuły?

– W każdym razie chyba przeżyję – odparł Adams. Nie mam kłopotów z sercem, pomyślał. Jako dziecko nie miałem gorączki reumatycznej, tak jak Arlene. A gdybym nawet miał, to i tak zmusiliby mnie do tego. Tak jak zrobili to z Arlene. Choćby to miało mnie zabić. Dla nich najważniejsze jest, żebym nie umarł, póki nie napiszę tych artykułów. Czuł się słaby, bezsilny i smutny. Fabryka atrap, myślał, wymaga od nas dużych poświęceń. Może i jesteśmy rządzącą elitą, ale nie wałkonimy się całymi dniami. Nawet sam Brose nie może nigdy być zmęczony. A w jego wieku...

– Dlaczego Arlene nie dostała sztucznego serca? – do rozmowy wtrącił się Robert Hig, zaskakując wszystkich. Pytanie było nieśmiałe, ale celne.

– Nie ma już sztucznych serc – mruknął pod nosem Brose, niezadowolony, że Hig włączył się do rozmowy. I to w dodatku w taki sposób.

– Słyszałem, że przynajmniej dwa... – ciągnął Hig, ale Brose natychmiast przerwał mu ze złością:

– Ale żadne nie jest dostępne.

Innymi słowy, zdał sobie sprawę Adams, tak naprawdę są jeszcze sztuczne serca w podziemnym magazynie w Kolorado. Tylko że są zarezerwowane dla ciebie, ty dudniąca, świszcząca, sapiąca, plująca stara świnię. Potrzebujesz wszystkich sztucznych serc, jakie tylko mamy, żeby podtrzymać przy życiu swoje cielsko. Szkoda, że nie możemy odtworzyć procesu odkrytego przez przedwojennego producenta sztucznych narządów... szkoda, że w zakładach Agencji nie możemy produkować serc na kopy albo przysyłać zamówień do jakiejś większej osady podziemnej, która by je dla nas produkowała.

Zaraz moglibyśmy przecież wyprodukować serce. Tylko że byłaby to atrapa, a nie funkcjonujący narząd. Wyglądałoby dokładnie tak samo, biło dokładnie tak samo, ale gdyby je komuś wszczepić, okazałoby się, co tak naprawdę jest warte. Pacjent nie miałby z tego zbyt wiele pożytku.

Nasze produkty, zdał sobie sprawę, nie mogłyby wytrzymać próby rzeczywistości nawet przez sekundę. Jest to świetny komentarz, dotyczący naszej pracy. O Boże. Smutek w jego sercu narastał. Kiedy tak stał, pusta, okropna, wewnętrzna mgła zaczęła wypełniać jego wnętrze. Mimo iż był w ruchliwym pomieszczeniu Agencji, wraz ze swym znajomym Yansowcem, Verne'em Lindblomem, będącym jednocześnie jego przyjacielem, swoim pracodawcą Stantonem Brose'em i zupełnie nieważnym Robertem Higiem, który zadał świetne pytanie. Punkt dla Higa, pomyślał Adams. Za to, że miał wystarczająco dużo odwagi, żeby zadać to pytanie. Nigdy nic nie wiadomo. Nie można skreślać człowieka tylko dlatego, że wydaje się nam szary, pusty i sprzedajny.

Lindblom z ociąganiem i niechęcią wrócił w końcu do stołu, na którym leżały nowiutkie artefakty. Kiedy mówił, jego głos brzmiał mechanicznie i nisko, jakby był odtwarzany na zwolnionych obrotach.

– Tak czy inaczej, Joe, ponieważ Runcible natychmiast przeprowadzi analizę radiowęglową tych przedmiotów, nie mogą wyglądać na sześćset lat, ale muszą rzeczywiście tyle mieć.

– Rozumie pan – rzekł Brose do Adamsa – że nowiutkie artefakty wyprodukowane przez Verne'a na nic nam się w takim stanie nie przydadzą. Podobnie jak pańskie artykuły, będą musiały być najpierw postarzone. A te, jak widać, na razie nie są.

Ponieważ procesu starzenia nie da się upozorować, zdał sobie sprawę Adams. Runcible natychmiast wyczułby pismo nosem. A więc... to prawda. Zwrócił się do Brose'a:

– Słyszałem plotki. O jakiejś maszynie czasu czy czymś w tym rodzaju. Słyszałem o niej już dawno, ale nigdy... nie wiedziałem, czy można w to wierzyć.

– Przerzuci je do przeszłości – zakomunikował mu Brose. – Może przenosić przedmioty do

przeszłości, ale nie potrafi sprowadzać nic do naszych czasów. Działa tylko w jedną stronę. Wiesz dlaczego, Verne? – spojrzał na Lindbloma.

– Nie – rzekł Verne. Jednocześnie wytłumaczył Adamsowi: – Była to broń wojenna, opracowana przez małą firmę w Chicago. Niestety firma została rozniesiona w puch przez radziecki pocisk, który przy okazji zabił wszystkich pracowników. Mamy maszynę czasu, ale nie wiemy, na jakiej zasadzie działa ani w jaki sposób można by ją powielić.

– Najważniejsze, że działa – ucieszył się Brose. – Przeniesie w czasie małe przedmioty. Włożymy artefakty, czaszki, kości, wszystko, co leży na stole, kawałek po kawałku do maszyny. Zrobimy to późną nocą na ziemi Runcible'a w południowym Utah. Będą tam z nami geolodzy, którzy powiedzą nam, jak głęboko musimy je zakopać, oraz brygada blaszaków, które wykopią odpowiedni dół. Musimy być precyzyjni, bo jeśli zakopimy to zbyt głęboko, automatyczne buldożery Runcible'a nigdy na nie nie natrafiają. Rozumie pan?

– Tak – potwierdził Adams. Co za wspaniałe zastosowanie dla maszyny czasu. Zamiast przesłać dawnym cywilizacjom dane naukowe o nieocenionej wartości, formuły medyczne, które byłyby dla nich wielkim skarbem... wystarczyłoby przetłumaczyć parę książek na łacinę, grecki albo staroangielski... uniknęlibyśmy wojen, dalibyśmy im lekarstwa, które zwalczyłyby wielkie zarazy średniowiecza. Moglibyśmy skontaktować się z Oppenheimerem i Tellerem, przekonać ich, że nie powinni pracować nad bombą atomową i wodorową... kilka sekwencji filmowych z wojny, którą właśnie przeżyliśmy, na pewno by wystarczyło. Ale nie. Maszyna używana będzie do czego innego. Do uknućcia spisku, jeszcze jednej mistyfikacji spośród wielu, dzięki którym Stanton Brose uzyska większą władzę. Zresztą pierwsze przeznaczenie tego wynalazku było jeszcze gorsze. Miało to być urządzenie wojenne.

Jesteśmy przeklętą rasą, zdał sobie sprawę Adams. Prawdę głosi Genesis. Mamy jakieś znanie, piętno. Bo tylko przeklęta, naznaczona, zeszpecona rasa może wykorzystywać swoje wynalazki w taki sposób, w jaki my to robimy.

– Prawdę mówiąc – zaczął Verne Lindblom, pochylając się, by podnieść ze stołu jeden z dziwnych, „pozaziemskich” okazów broni – wykorzystalem całą swoją wiedzę na temat zastosowania maszyny czasu w charakterze broni... Ta mała firma z Chicago nazywała to Odwróconym Dystrybutorem Metabolicznym lub jakoś podobnie... – Podał Adamsowi przedmiot w kształcie tuby. – Odwrócony Dystrybutor Metaboliczny nigdy nie został wykorzystany do celów wojennych – ciągnął – więc nie mamy pojęcia, na czym miało polegać jego działanie. Ale potrzebowałem jakiejś inspiracji dla...

– Nie widzę twoich ust – narzekał Brose. Natychmiast podjechał swoim napędzanym silnikiem wózkiem do miejsca, skąd mógł obserwować twarz Lindbloma.

– Tłumaczyłem Adamsowi, że potrzebowałem jakiejś inspiracji przy projektowaniu pozaziemskiej broni – wyjaśnił Lindblom. – Nie mogłem z trzeciej wojny światowej, bo eksperci

Runcible'a natychmiast znaleźliby i wytknęli nam zbyt podobieństwo. Innymi słowy...

– Tak – zgodził się Brose. – Byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby „obcy”, którzy napadli na Ziemię sześć wieków temu, mieli dokładnie taką samą broń jak ta, którą stosowaliśmy w czasie ostatniej wojny... gdyby jedyną różnicą, jak mówi Verne, była obudowa. Taka, jaką narysowała Arlene.

– Musiałem wypełnić ją elementami, które są nieznane w naszych czasach – kontynuował Lindblom. – Ponieważ nie mogłem nic takiego wynaleźć, poszedłem obejrzeć zbiory zaawansowanej broni w Agencji, gdzie jest pełno prototypów, które nigdy nie zostały wykorzystane. – Spojrzał na Brose'a. – Pan Brose – rzekł – dał mi pozwolenie na wstęp. Inaczej nigdy bym się tam nie dostał. – Zbiory zaawansowanej broni były jedną z dobudowanych przez Brose'a dzielnic Nowego Jorku. Brose kazał wznosić różne budowle, takie jak podziemny magazyn ze sztucznymi narządami w Kolorado. Wszystko, co fałszywe, było dostępne dla wszystkich Yansowców. Ale przedmioty prawdziwe zarezerwowane były tylko dla Brose'a. Lub czasami dla małej garstki jego współpracowników, którzy zajmowali się jakimś tajnym projektem. Klasa Yansowców jako całość nigdy jednak nie miała do nich dostępu.

– Więc jest to prawdziwa broń. – Adams patrzył z przerażeniem na artefakty o dziwacznych kształtach. Mistyfikacja zaszła już tak daleko. – Więc mógłbym wziąć jedną z tych maszynek i...

– Pewnie – potwierdził Brose, uśmiechając się. – Niech pan mnie zastrzeli. Niech pan weźmie jedną z nich i wymierzy we mnie. A może ma pan dość Verne'a? To niech pan go załatwi.

– Nie działają, Joe – wyjaśnił Verne. – Ale po sześciu wiekach w ziemi Utah... – Uśmiechnął się szeroko do Adamsa. – Gdybym naprawdę potrafił je uruchomić, to świat byłby mój.

– Zgadza się. – Brose zachichotał. – I pracowałby pan dla Verne'a, a nie dla mnie. Musieliśmy wydostać... Jak to się nazywało?... Prototyp Odwróconego Dystrybutora Metabolicznego z archiwów zaawansowanej broni, żeby przenieść to wszystko do przeszłości, więc Verne miał czas na to, żeby go otworzyć i pogmerać w środku... Nie, tego nie wolno ci było robić – poprawił się. – Pamięć mnie już zawodzi.

Verne rzekł sztywno:

– Miałem patrzeć. Ale niczego nie dotykać.

– Dla człowieka takiego jak Verne – tłumaczył Brose Adamsowi – to jak obraza. Mógł tylko patrzeć. A on przecież lubi czuć wszystko pod palcami. – Zachichotał. – To musiało być bolesne, Verne. Oglądanie prototypowych okazów broni, zaawansowanych wynalazków, które nigdy nie były produkowane na skalę masową i nigdy nie znalazły się w użyciu naszej czy radzieckiej armii. Cóż, pewnego dnia mój mózg przestanie funkcjonować... arterioskleroza lub coś w tym rodzaju, zator, nowotwór. Wtedy będziesz mógł pokonać wszystkich innych Yansowców i zastąpić mnie. Wtedy też będziesz mógł pójść do archiwów broni, płądrować, gmerać i pchać

paluchy, gdzie ci się spodoba.

Stojący dosyć daleko od nich Robert Hig dodał:

– Panie Brose, chciałbym, żebyśmy uzgodnili parę szczegółów. Znajdę jeden albo dwa z tych obiektów. Wszystkie oczywiście będą skorodowane i zniszczone. Czy mam rozpoznać, że są to pozostałości po obcej cywilizacji? To znaczy, kiedy zaniosę je panu Runcible'owi...

– Niech pan mu powie – odparł szorstko Brose – że jako inżynier wie pan, iż rzeczy te nie są pochodzenia ziemskiego. Żaden Indianin w roku tysiąc czterysta dwudziestym piątym nie potrafił zrobić czegoś takiego. Przecież do tego nie trzeba nawet być inżynierem. Nie będzie pan musiał w swoim raporcie dla Runcible'a uzasadniać tego w jakiś wyszukany sposób. Niech pan pokaże mu broń i powie, że pochodzi z warstwy mającej sześćset lat. Niech pan spojrzy. Czy przypominają panu indiańskie strzały? A może niewypalane pociski z gliny do miotania albo granitowe, wklęsłe żarna do mielenia?

Niech pan to powie i wraca natychmiast do buldożerów, by się upewnić, czy wykopywane są pozostałe szczątki, szczególnie te nie pochodzące od *Homo sapiens*.

– Tak jest, panie Brose – zgodził się Robert Hig i posłusznie kiwnął głową.

– Tak bardzo chciałbym zobaczyć twarz Louisa Runcible'a, kiedy pokaże mu pan te znaleziska. – Brose westchnął, a w jego oczkach zaskrzyły łzy wesołości.

– Zobacz pan, przecież Hig będzie miał przy sobie kamerę w guziku od koszuli – przypomniał mu Lindblom. – Usłysz pan nawet jego głos. Kiedy więc zacznie się proces, będziemy mogli dostarczyć dowód na to, że Runcible wiedział o znaleziskach i ich wartości archeologicznej. – W głosie Lindbloma brzmiał ton politowania dla starego mózgu, który nie dawał rady już przechowywać wszystkich faktów, który zapomniał już o tej, tak ważnej części projektu. Lindblom rzekł do Adamsa: – Widziałeś te małe kamery? Gottlieb Fischer zawsze z nich korzystał przy kręceniu filmów dokumentalnych. W ten sposób otrzymywał wszystkie „zamazane, niewyraźne, tajne sceny szpiegowskie”.

– A tak – odparł ponuro Adams. – Widziałem. – W żaden sposób nie mógłby przecież zapomnieć o istnieniu kamer ukrytych w guzikach koszul. Które używane były już od roku 1943, pomyślał uszczypliwie, przynajmniej według Fischera. – Jesteś pewien, że te artefakty nie są zbyt cenne? Że nie mają tak wielkiej wartości naukowej, iż nawet Runcible...

– Zgodnie z opinią psychiatrów w Berlinie – odparł Brose – im bardziej przedmioty te wyglądają będą na wartościowe, tym większy obudzi się w nim strach przed utratą ziemi. Dlatego też postanowi ukryć je.

– Gdyby psychiatrzy z Berlina się mylili, okazałoby się, że wykonaliśmy kupę roboty na próżno – ciągnął Adams, mając jednocześnie nadzieję, że tak się właśnie stanie. Nadzieję, że Runcible dokona słusznego wyboru, bezzwłocznie ogłosi dokonanie znaleziska całemu światu, zamiast przez słabość, obawę, żądzę i chciwość oddać się w ręce nieprzyjaciół.

Niestety jednak, miał przeczucie, że psychiatrzy z Berlina mają rację.

Chyba że ktoś – Bóg jeden wie kto – pomoże Runcible'owi. W innym wypadku nie będzie miał żadnych szans.

Louis Runcible leżał nieruchomo w promieniach słonecznych, przebijających się przez winorośl rosnącą na specjalnych zamocowanych kratkach na patio willi w Kapsztadzie. Słuchał raportu footemana reprezentującego międzynarodową prywatną firmę policyjną Webster Foote Limited, z siedzibą główną w Londynie.

– W poniedziałek rano – ciągnął footeman, czytając swój raport – nasze urządzenia monitorujące przechwyciły rozmowę wideo pomiędzy dwoma Yansowcami, Josephem Adamsem, pracującym jako pomysłowiec, oraz Verne'em Lindblomem, który jest fabrykatorem, czyli konstruktorem, w zasadzie pracującym dla Eisenbludta, chociaż ostatnio współdziałającym z Brose'em w Agencji w Nowym Jorku.

– I co z tą rozmową? – spytał Runcible. – Mówili coś o mnie?

– Nie – przyznał footeman.

– W takim razie po jaką cholere...

– Wydawało nam się... To znaczy pan Foote osobiście uważa, że powinienem przedstawić panu relację z tej rozmowy. Pozwoli pan, że ją streszczę.

– Dobra. Streszczaj – mruknął zniecierpliwiony Runcible. Do diabła, pomyślał. Już od dawna wiem, że coś na mnie szykują. Wolałbym, żeby w zamian za moje pieniądze przekazywali mi coś, co nie tylko będzie utwierdzać mnie w tym przekonaniu, ale da mi jakieś pojęcie o tym, co kombinują.

Footeman kontynuował:

– Adams i Lindblom rozmawiali o następnym projekcie wizualnym, który Eisenbludt sfilmuje w studio w Moskwie. Będzie to destrukcja San Francisco. Adams mówił coś o nowym przemówieniu, które ma właśnie wprowadzić do Megawaka i zaprogramować na sima. Mówił, że przemówienie jest napisane odręcznie, osobiście przez niego.

– I za to wam płacę?...

– Chwileczkę, panie Runcible – nie dał sobie przerwać footeman – podam panu za chwilę dokładne słowa Yansowca Lindbloma. „Słyszałem plotki – powiedział do swego przyjaciela. – Masz zostać odsunięty od przemówień i przeniesiony do pracy nad projektem specjalnym. Nie pytaj mnie jakim. Tego moje źródła nie podają. Wiem to wszystko od pewnego footemana”. – Tu człowiek Foota na chwilę zamilkł.

– I co dalej?

– Dalej – odparł footeman – mówili o archeologii.

– Hmm...

– Żartowali o zniszczeniu starożytnej Kartaginy i flocie wojennej Ateńczyków. Było to dość zabawne, ale nie ma dla nas żadnego znaczenia. Pozwoli pan jednak, że powiem panu coś

innego. To, co powiedział Yansowiec Lindblom, nie było prawdą. Nikt z naszej firmy nie poinformował go o żadnym „projekcie specjalnym”. Niewątpliwie Lindblom powiedział tak Adamsowi, bo nie chciał, żeby ten go przyciskał i wyciągał z niego szczegóły. Źródło Lindbloma musiało jednak znajdować się w Agencji w Nowym Jorku. Mimo to...

– Mimo to – przerwał mu Runcible – wiemy, że zaczęli jakiś projekt specjalny, w który wciągnęli jednego pomysłodawcę i jednego z fabrykantów Eisenbludta. To największa tajemnica, o której nie wiedzą nawet pozostali pracownicy Agencji.

– Zgadza się. Dzięki niechęci Lindbloma do wyjawiania szczegółów wiemy, że...

– Co o tym sądzi Webster Foote? – spytał Runcible. – Czy domyśla się o co tu chodzi?

– Od czasu tej poniedziałkowej rozmowy przez wideofon Verne Lindblom ciągle siedzi w pracy. Śpi albo w Agencji, albo w studio Eisenbludta w Moskwie. Nie miał nawet czasu wrócić do swojej posiadłości i odpocząć. Ponadto w tym tygodniu żadne przemówienie Adamsa nie zostało wprowadzone do Megawaka. Innymi słowy, zanim Adams zdołał wprowadzić przemówienie, które napisał...

– I to wszystko, co udało wam się wyśledzić? – przerwał rozzłoszczony Runcible. – Tylko tyle?

– Wiemy jeszcze jedną rzecz, która może mieć znaczenie. Brose kilkakrotnie opuszczał Genewę i leciał szybkim fruwadłem do Agencji. Przynajmniej raz – a prawdopodobnie dwa razy – rozmawiał z Adamsem, Lindblomem i chyba jeszcze jedną lub dwiema osobami. Prawdę mówiąc, co do tego nie mamy pewności. Jak powiedziałem, pan Foote uważa, że ten „projekt specjalny” łączy się w jakiś sposób z panem, a jak pan wie, pan Foote polega w dużym stopniu na swoich rzadkich, ale bardzo pomocnych przeczuciach, swojej niezwyklej zdolności przewidywania przyszłych zdarzeń. Niestety jednak w tej chwili nie potrafi niczego przewidzieć z całą pewnością. Dlatego prosi pana, żeby informował pan nas o wszelkich podejrzanym wydarzeniach, które pan dostrzeże w czasie pracy. Niezależnie od tego, jak byłyby błahe. Prosimy o skontaktowanie się z panem Foote’em, zanim zrobi pan cokolwiek innego. Prawdę mówiąc, pan Foote bardzo przejmuje się pańskim dobrem.

– Wolałbym, żeby przejmowanie się Webstera moim dobrem wyrażało się raczej w większej liczbie faktów, które ujrzą światło dzienne – rzekł zgryźliwie Runcible.

Footeman rozłożył ręce w filozoficznym geście i rzekł:

– Niewątpliwie pan Foote też by tego chciał. – Footeman przerzucał swoje notatki, usiłując znaleźć w nich coś więcej. – Aha. Jeszcze jedno. Nie wiąże się to z poprzednimi informacjami, ale jest interesujące. Pewna kobieta Yansowiec, Arlene Davidson, z posiadłości w New Jersey, jeden z najlepszych rysowników Agencji, zmarła w ciągu ostatniego weekendu, dokładnie w sobotni wieczór, na zawał serca.

– Próbowali znaleźć dla niej sztuczne serce?

– Nie.

– A to skunks – rzekł Runcible, myśląc o Brosie i nienawidząc go jeszcze bardziej, jeśli w ogóle to było możliwe.

– Wszyscy wiedzieli, że ma słabe serce – ciągnął footeman. – Problemy zaczęły się jeszcze w dzieciństwie, kiedy chorowała na gorączkę reumatyczną.

– Innymi słowy...

– Mogła dostać bardzo ważną pracę z krótkim terminem wykonania. Przepracowała się. To oczywiście tylko hipoteza. Nie jest jednak rzeczą zwyczajną, żeby Brose podróżował tak często z Genewy do Nowego Jorku. Przecież ma już osiemdziesiątkę. Ten „projekt specjalny”...

– Taaak – zgodził się Runcible. – To rzeczywiście musi być coś poważnego. – Zatopił się na chwilę w rozmyślaniach, po czym rzekł: – Oczywiście Brose spenetrował dokładnie moją firmę.

– Oczywiście.

– Ale nie wiem i pan nie wie...

– Nigdy nie udało nam się ustalić, kto jest agentem Brose’a w pańskiej firmie. Przykro mi. – Wyglądał na rzeczywiście przybitego tym faktem. Znalezienie agentów Brose’a będących na liście płac Runcible’a byłoby wielkim osiągnięciem firmy Webster Foote Limited.

– Zastanawiam się tylko – mruknął Runcible – nad Utah.

– Słucham?

– Jestem już gotów dać moim automatycznym maszynom i brygadam blaszaków sygnał do rozpoczęcia prac w okolicach tego, co kiedyś nazywało się St. George.

– Pan Foote wie o tym, ale nie ma żadnych sugestii. W każdym razie nic mi nie przekazano.

Louis Runcible pokręcił się i wreszcie wstał.

– Chyba nie ma na co czekać. Każę im rozpoczynać pracę i kopać. Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Tak, sir.

– Pięćdziesiąt tysięcy ludzi – mruknął Runcible.

– Tak, słyszałem, że przedsięwzięcie jest duże.

– Będą mieszkać tam, gdzie ich miejsce, na powierzchni ziemi, w promieniach słońca. A nie w septycznej osadzie, jak salamandra na dnie wyschniętej studni.

Footeman przewracał kartki papieru, starając się odszukać coś, co jeszcze mogłoby się przydać, ale niestety nic nie znalazł.

– Życzę panu powodzenia. Może następnym razem... – Footeman zastanawiał się, czy będzie jeszcze jakiś raport dla Runcible’a. Ten niepełny – trzeba to przyznać – dzisiejszy raport, jeśli wszystkie przecucia jego pracodawcy Webstera Foote’a okażą się prorocze, może być już ostatni.

I ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie było.

Spośród rozrzuconych, poniewierających się kawałów gruzu, które stanowiły pozostałości wysokich budynków, ulic, skomplikowanych struktur wielkiego miasta, na spotkanie Nicholasa St. Jamesa wyłoniło się czterech ludzi.

– Jak to się stało – rzekł jeden z nich – że nie znalazły cię blaszaki?

Nicholas nie odpowiedział, jeszcze nie doszedł do siebie. Stał przez chwilę, po czym usiadł na pękniętym kamieniu i bez powodzenia zaczął przeszukiwać swoje ubranie w nadziei, że znajdzie papierosa. Pudełko jednak zostało mu zabrane przez jednego z blaszaków.

– Znalazły mnie dwa blaszaki. Kiedy tylko się dokopałem. Musiały wyczuć wibracje koparki.

– Są na to bardzo wyczulone – zgodził się przywódca grupy. – Wyczują wszelkie urządzenia. I wszelkie sygnały radiowe. Na przykład, gdybyś...

– No właśnie. Rozmawiałem przez interkom z moimi, na dole. Blaszaki nagrały całą rozmowę.

– I co, wypuściły cię?

– Została z nich kupka elektronicznych śmieci – wyjaśnił Nicholas.

– Pewnie twoi ludzie z osady wyszli za tobą i wykończyli je. To tak jak my. Na początku było nas pięciu, ale blaszaki dopadły pierwszego. Nie chciały go zabić, tylko odciągnąć do jednego z tych... ale przecież i tak nie będziesz miał pojęcia, o czym mówię. Ciągnęły go do przytułku Runcible'a. Do więzienia. – Mrugnął do Nicholasa. – Ale załatwiliśmy je od tyłu. Tylko że one zabiły jednego z nas. To znaczy dokładnie rzecz biorąc, chłopak zginął, kiedy zaczęliśmy strzelać do blaszaków. To chyba nasza wina. – Mężczyzna na chwile cichł. – Nazywam się Jack Blair.

Jeden z pozostałych, brodatych mężczyzn, powiedział:

– Z której osady jesteś?

– Tom Mix – odparł Nicholas.

– To gdzieś niedaleko?

– Cztery godziny piechotą.

Zapadła cisza. Również mężczyźni nie wiedzieli, co powiedzieć.

W krępującej atmosferze wszyscy gapili się na ziemię, aż Nicholas rzekł:

– Blaszaki, które mnie znalazły, zostały zniszczone przez Talbota Yansa.

Brodaci mężczyźni gapili się na niego z uporem maniaka.

– Jak Boga kocham – zarzekał się Nicholas. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale naprawdę go widziałem. Co prawda, na początku nie chciał się ujawnić, ale go uprosiłem. Przyjrzałem mu się dobrze. Nie ma wątpliwości.

Czterech brodatych mężczyzn patrzyło na niego przenikliwie.

– W jaki sposób go rozpoznałeś?

– Widywałem go przecież w telewizji trzy, cztery, a nawet pięć razy w tygodniu przez piętnaście lat.

Po chwili milczenia Jack Blair rzekł:

– Ale przecież Talbot Yans nie istnieje.

Jeden z mężczyzn zaczął tłumaczyć:

– No wiesz, to tylko taka mistyfikacja.

– Co? – spytał Nicholas, rozumiejąc już, o co chodzi. Czuł, jak ogarnia go podniecenie. Mistyfikacja była tak niesamowita, że nie dało się tego wyrazić. Nicholas za nic nie dałby się przekonać. Musi to zobaczyć na własne oczy.

– Postać, którą każdego wieczora oglądacie w swoich telewizorach tam, na dole – jak powiedziałeś? W Tom Mix? – ten, kogo nazywacie „Yansem”, Protektorem, to tylko robot.

– Nawet nie robot – poprawił go inny. – Nie jest to maszyna niezależna, skomplikowana i myśląca. To tylko kukła siedząca za stołem.

– Ale mówi – rzekł Nicholas. – Opowiada o bohaterskich czynach. Oczywiście nie próbuję się z wami kłócić, ale po prostu nie rozumiem.

– Mówi – potwierdził Jack Blair – ponieważ programuje ją wielki komputer zwany Megawak 6-V lub jakoś podobnie.

– A kto programuje komputer? – spytał Nicholas. Cała rozmowa toczyła się powoli, jak we śnie. Można było odnieść wrażenie, że mężczyźni rozmawiają pod wodą albo przytłacza ich wielki ciężar. – Ktoś na pewno musi go programować. Sam przecież nie...

– Mają mnóstwo wyszkolonych ludzi – wyjaśnił Jack Blair. – Nazywają ich Yansowcami. Niektórzy Yansowcy, zwani pomysłowcami odpowiedzialni są za pisanie przemówień i wprowadzanie ich do Megawaka 6-V, który trawi słowa, dodaje odpowiednią intonację i gesty. Dlatego wszystko wygląda tak autentycznie. Następnie nagrywają to na taśmę i przeglądają w Genewie. Zajmuje się tym główny Yansowiec, kręcący całym interesem. Ten palant nazywa się Brose. Kiedy zatwierdzi taśmę, przesyłają nagranie kablem do wszystkich osad w ZachDemie.

– W Rosji dzieje się to samo – dodał jeden z mężczyzn.

– Ale wojna... – dziwił się Nicholas.

– Wojna zakończyła się wiele lat temu – oświecił go Jack Blair.

– Rozumiem. – Nicholas pokiwał głową.

– Mają wspólne studio filmowe w Moskwie – kontynuował Blair. – Zresztą Agencja w Nowym Jorku też prowadzona jest przez obie strony. Pewien utalentowany reżyser-komuch nazwiskiem Eisenbludt kieruje wszystkimi scenami destrukcji, które ogląda się w telewizji.

Zazwyczaj wszystko kręcone jest z udziałem pomniejszych modeli. Czasami jednak potrzebne są ujęcia naturalnej wielkości. Na przykład wtedy, gdy pokazują walkę blaszaków. Eisenbludt odwała dobrą robotę. Nie można odmówić tym scenom realizmu. Czasami udaje nam się złapać jakąś audycję na telewizorze, który tu mamy. Nie martw się, my też w to wierzyliśmy, kiedy byliśmy pod ziemią. Ten Eisenbludt i Yansowcy potrafią oszukać każdego. Ale i tak od czasu do czasu osadnicy dochodzą do wniosku, że coś tu nie gra i wychodzą na powierzchnię. Tak jak ty.

– Ale ja nie wyszedłem dlatego, że się domyśliłem – poprawił go Nicholas. Co prawda Carol zaczyna coś podejrzewać. I ma rację. Jest inteligentniejsza ode mnie. Wie już. – Czy cały świat wygląda w ten sposób? – Wskazał na ruiny Cheyenne widniejące wokoło. – Promieniowanie? Ruiny?

– O nie – odparł Blair najwyraźniej podrażniony. – To miejsce, gdzie radioaktywność jeszcze nie spadła. Już niewiele takich zostało. Pozostała część to park. Przekształcili świat w wielki park podzielony na posiadłości. Każdy Yansowiec ma też swoją świątynię blaszaków. Jak średniowieczni królowie. To całkiem interesujące. – Ściszył głos. – Ale niezbyt sprawiedliwe. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

Inni brodacze przytaknęli gorliwie. Zgadza się. To nie w porządku. Nie ma co do tego wątpliwości.

– W jaki sposób udaje wam się tu żyć? – spytał Nicholas. – Skąd bierzecie żywność? – W tym momencie pomyślał o czymś innym. – Czy jest was więcej?

– W naszej gromadzie jest dwustu byłych osadników – odparł Blair. – Mieszkamy tutaj, w ruinach Cheyenne. Powinniśmy wszyscy siedzieć w więzieniach, w wielkich budynkach kondominium, jakie buduje ten facet, o którym wcześniej mówiłem. Runcible. Nie jest tam źle, w każdym razie nie tak jak w osadach. Nie czujesz się jak złapany szczur, wepchnięty do małej puszkowej. Ale chcemy... – Machnął ręką. – Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

– Chcemy mieć możliwość zmiany miejsca zamieszkania – tłumaczył jeden z pozostałych brodaczy. – Ale prawdę mówiąc, teraz nie możemy się przenieść, bo gdybyśmy opuścili Cheyenne, blaszaki natychmiast by nas wyłapały.

– A dlaczego nie przychodzą tutaj? – spytał Nicholas.

– Przychodzą – odparł Blair – ale, jakby to ująć, nie starają się zbyt. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć? Po prostu przechodzą tędy. Znajdujemy się na terenie nowej posiadłości, która właśnie jest zagospodarowywana. Willa nie została jeszcze wykończona. Poza tym nadal teren jest silnie radioaktywny. Ale jakiś Yansowiec już się tutaj wprowadził. Stara się tu żyć, a jeśli mu się to uda, jeśli radioaktywność go nie wykończy, to wszystko należec będzie do niego. Stanie się jego posiadłością, a on będzie panem.

– David Lantano – zgadł Nicholas.

– Zgadza się. – Blair popatrzył na niego dziwnie. – Skąd wiesz?

– To jego blaszaki mnie dorwały – wyjaśnił Nick.

– I chciały cię zabić?

Skinał głową.

Czterech brodatych mężczyzn wymieniło porozumiewawcze spojrzenia.

– Czy Lantano był w swojej willi? Zatwierdził to?

– Nie – odparł Nicholas. – Starali się z nim skontaktować, ale nie mogli go znaleźć. Więc same podjęły decyzję.

– Cholerne skurczybyki – zaklął Blair. – Lantano nigdy by im na to nie pozwolił. Jestem tego pewien. Byłby wściekły. Ale blaszaki zostały przecież stworzone do zabijania. Wiele z nich walczyło na wojnie. Zabijanie jest ich podstawowym odruchem. Chyba że ich pan nie pozwoli im tego zrobić. Miałeś szczęście. Cholerne szczęście.

– Ale wracając do Yansa – rzekł inny. – Jak to możliwe żebyś go zobaczył?

– Widziałem go – potwierdził jeszcze raz Nicholas. – Jestem pewien, że to był on.

– Widziałem Boga – rzekł Jack Blair, cytując starożytny tekst. – Wątpicie w to? Czy ośmielacie się wątpić? Jakiej broni używał ten facet, który cię ocalił? Pistoletu laserowego?

– Nie. Blaszaki rozpadły się w proch – Nicholas starał się wytłumaczyć, jak potężne i nagłe było zniszczenie blaszaków. – Pozostało po nich tylko trochę pyłu i małe kawałeczki przypominające rdzę. Czy to wam coś mówi?

– To rzeczywiście zaawansowana broń Yansowców – potwierdził Blair, powoli kiwając głową. – W takim razie rzeczywiście uratował cię Yansowiec. Żaden z byłych osadników nie ma tego rodzaju broni. Nawet nie wiem, jak ona się nazywa, ale coś mi się wydaje, że jest to pozostałość z czasów wojny. Mają tego całe tony. Od czasu do czasu jakichś dwóch Yansowców mieszkających obok siebie rozpoczyna wojnę o miedzę, to znaczy o linię graniczną pomiędzy dwiema posiadłościami. Lecą do archiwów broni w Nowym Jorku, zapuszczają się na teren ogólnie dostępnej części zbiorów, tam gdzie trzymają też wszystkie dane księgi i pisma, po czym wylatują jak oparzeni na pokładzie swoich małych fruwadeł i wracają do posiadłości. Tam prowadzą zastępy blaszaków do boju. To całkiem zabawne, jak szaleńcy walą do siebie nawzajem, niszczą albo kaleczą całe chmary blaszaków. Od czasu do czasu dostaje się nawet jakiemuś Yansowcowi. Potem wysyłają okaleczone blaszaki na dół, do najbliższej osady, żeby je zreperować. Oczywiście po powrocie dokonują przeglądu nowiutkich blaszaków i włączają je do swojej świty.

Tu wtrącił się następny brodacz:

– Niektórzy Yansowcy mają i po dwa tysiące blaszaków w swoich posiadłościach. Niezła armia.

– Na przykład Brose – ciągnął Blair – teoretycznie powinien mieć jakieś dziesięć albo jedenaście tysięcy blaszaków, ale w praktyce wszystkie blaszaki ZachDemu są pod dowództwem

wojskowym generała Holta. Holt ma prawo odwołać rozkazy wszystkich innych Yansowców, nawet panów, do których należą blaszaki. Jedynym wyjątkiem jest Brose. – Na chwilę zamilkł. – Nikt nie ma większej władzy niż Brose. Brose jest ponad wszystkimi. Na przykład tylko on ma dostęp do archiwów broni, gdzie trzymają wszystkie zaawansowane typu broni, takie, jakich nigdy dotąd nie używano, prototypy niszczące wszystko, co im stanie na drodze. Na szczęście wojna się skończyła w odpowiednim momencie. Jeszcze miesiąc walki i nic by nie zostało. – Machnął ręką.

– Chciałbym zapalić – rzekł Nicholas.

Czterech brodaczy skonsultowało się, po czym jeden z nich z wahaniem wyciągnął w kierunku Nicholasa paczkę lucky strike'ów. Nick wziął papierosa i oddał paczkę.

– Brakuje nam wszystkiego – wyjaśnił Blair przepraszającym tonem i przypalił papierosa Nicholasowi. – Ten nowy Yansowiec, który zakłada tu swoją posiadłość, David Lantano, nie jest złym człowiekiem. Tak jak już mówiłem, stara się trzymać swoje blaszaki krótko, przynajmniej kiedy jest w pobliżu. Dlatego jeszcze nas nie wykończyły ani nie zaciągnęły do któregoś z przytułków. Można nawet powiedzieć, że Lantano troszczy się o nas i daje nam jedzenie. – Wyraz twarzy Blaira był dla Nicholasa zagadką. – I papierosy. Ta-ak. Naprawdę stara się nam pomóc. No i pigułki. Osobiście wpada z pigułkami przeciw promieniotwórczości. Pomagają odzyskać normalny poziom czerwonych krwinek czy czegoś takiego. On też je bierze. Ale jemu to i tak już chyba nie pomoże.

– Jest chory – wyjaśnił inny były osadnik. – Nieźle go przypiekło. Ich prawo stanowi, że musi tu być co najmniej przez dwanaście godzin w ciągu doby. Nie może się schować do podziemnych piwnic, takich jak nasze. Bo my normalnie siedzimy w piwnicach. Tylko teraz wyszliśmy, bo zobaczyliśmy ciebie. – Tu zwrócił się, najwyraźniej zdenerwowany, do Blaira: – Właściwie to lepiej, żebyśmy wracali do naszej nory. Dostaliśmy już swoją dawkę promieniowania jak na jeden dzień. – Palcem wskazał na Nicholasa. – Szczególnie on. Od paru godzin chodzi po powierzchni.

– Zabierzecie mnie ze sobą? – spytał Nicholas. – Mogę z wami zamieszkać?

– Pewnie. – Blair kiwnął głową. – Przecież w ten sposób powstała nasza kolonia. Myślałeś, że cię wyrzucimy? Dlaczego mielibyśmy to robić? – Wydawał się nieźle rozzłoszczony. – Żeby zabił cię jakiś blaszak albo... – Urwał. – To by było błogosławieństwo. Ale oczywiście prosimy, żebyś został z nami tak długo, jak zechcesz. Później, kiedy nauczysz się już wszystkiego, jeśli zechcesz dać się złapać, to będziesz mógł zamieszkać w przytułku. Spotkasz tam setki tysięcy byłych osadników. Wybór należy do ciebie. Na razie proponuję ci, żebyś poczekał i zorientował się w sytuacji. – Odwrócił się i pomaszerował ścieżką udeptaną wśród gruzów. Pozostali, włącznie z Nicholasem, ruszyli za nim gęsiego. – Czasami trwa tygodnie – ciągnął Blair – zanim otrząsniesz się i dojdiesz do siebie po tym, co wpychali ci do łba przez piętnaście lat. – Na

chwilę umilkł, po czym stanął w miejscu i obrócił się do Nicholasa. – Intelktualnie możesz to zaakceptować, ale emocjonalnie jeszcze długo się z tym nie pogodzisz. Yans nie istnieje i nigdy nie istniał... Nigdy, panie St. Nicholas...

– Nazywam się Nicholas St. James – poprawił Nick.

– Yans nigdy nie istniał. Natomiast wojna rzeczywiście była. Przynajmniej na początku. To zresztą chyba widać. – Wskazał ręką na roztaczające się przed nimi ruiny Cheyenne. – Jednak Yans został zmyślony przez Stantoną Brose'a, który oparł go na pomysłe zachodniemieckiego producenta filmowego z ubiegłego wieku. Pewnie o nim słyzałeś. Pokazywali jego filmy dokumentalne w telewizji, chociaż on sam już nie żyje. „Zwycięstwo na zachodzie”, dwudziestopięcioczęściowy film o drugiej wojnie światowej. Pamiętam go jeszcze z czasów dzieciństwa.

– Gottlieb Fischer – przypomniał sobie Nicholas. – Pewnie, że pamiętam. – Przecież widział nieraz ten wspaniały film dokumentalny. Film ten porównywano do „Błękitnego anioła”, „Na zachodzie bez zmian” i „Zawrotu głowy”. – I to on wymyślił Talbota Yansa? Gottlieb Fischer? – dziwił się, idąc za czterema mężczyznami. – Ale po co?

– By rządzić światem – wyjaśnił Blair, nie zwalniając kroku. Wszyscy czterej nowo poznani chcieli jak najszybciej znaleźć się w miejscu, które nazywali swoją „norą”. W głębokiej piwnicy nieskażonej przez wybuchy bomb wodorowych, które zmieniły okolicę w to, czym była teraz.

– Rządzić światem – powtórzył Nicholas jak echo. – Rozumiem.

– Tylko, że jak może pamiętasz, Fischer zniknął w czasie tej wariackiej podróży na Wenus. Koniecznie chciał być jednym z pierwszych podróżników w kosmosie. Po prostu musiał lecieć. I to go załatwiło, bo...

– Pamiętam – przerwał mu Nicholas. W owym czasie wydarzenie odbiło się szerokim echem w prasie. Tragiczna śmierć Gottlieba Fischera. Paliwo w jego statku eksplodowało w czasie powrotu... Fischer zmarł w wieku niecałych czterdziestu lat, co uniemożliwiło powstanie filmów dokumentalnych mogących równać się ze „Zwycięstwem na zachodzie”. Potem były tylko beznadziejne filmiki. Jedyne wyjątek to wyświetlane przed wojną interesujące, eksperymentalne filmy pewnego radzieckiego producenta, które zostały jednak zakazane w ZachDemie... jak on się nazywał?

Nicholas starał się nadążyć za maszerującymi w szybkim tempie towarzyszymi i jednocześnie zastanawiał się nad nazwiskiem radzieckiego producenta. Eisenbludt. To ten sam człowiek, który wedle słów Blaira pracował nad kręceniem nieprawdziwych scen wojennych dla osadników, zarówno tych z ZachDemu, jak i z Demo-Ludów, wizualnym „potwierdzeniem” kłamstw zawartych w przemówieniach Yansa. A więc w końcu ludzie z ZachDemu mają znowu możliwość ujżenia pracy Eisenbludta.

Najwyraźniej wrogość między Wschodem i Zachodem już nie istniała. Eisenbludt nie był już

producentem filmowym „przeciwnika”, tak jak w czasach, gdy Nicholas St. James, jego żona Rita i młodszy brat Stu zostali zapędzeni lufami pistoletów pod powierzchnię ziemi, do Tom Mix. Wtedy wierzyli, że zostaną tam najwyżej rok... Albo, jak przewidywali najwięksi pesymiści, dwa lata.

Piętnaście. A z tych piętnastu...

– Kiedy dokładnie skończyła się wojna? – spytał Nicholas. – Ile lat temu?

– To będzie bolesne – odparł Blair.

– Trudno. Mów.

Blair skinął głową.

– Trzydzieści lat temu. Wojna trwała tylko trzy lata: pierwszy rok toczyły walki na Marsie, dwa następne lata na Ziemi. Przez trzydzieści lat kiblowałeś, Nicholas, czy jak tam się nazywałeś. Przykro mi, znowu zapomniałem. Nick. Mogę ci mówić Nick?

– W porządku – mruknął cicho Nicholas, myśląc o Carol, Ricie, starym Souzie, Stu i wszystkich pozostałych, Jorgensonie, Flandersie, Hallerze, Gillerze, Christensonie, Petersonie, Grandim, Martino i innych. Nawet o Dale’u Nunesie, pol-komie Tom Mix. Czy Nunes wiedział? Jeśli tak, pomyślał Nicholas, to przysięgam, klnę się na wszystko, że go zabiję! Gołymi rękami, żeby to czuć. Nic mnie nie powstrzyma. Na razie jednak było to niemożliwe, ponieważ komisarz, Dale Nunes siedział na dole wraz z innymi. Ale przecież nie cały czas. Tylko... Nunes wiedział. Zaledwie kilka lat temu został przysłany z góry, przez „rząd w Estes Park”, przez Yansa.

– Niech pan posłucha, panie James – odezwał się jeden z mężczyzn. – Tak się zastanawiam. Jeśli nie domyśliliście się wszystkiego, to po co wychodził pan na powierzchnię? Spodziewał się pan zastać tu zgliszczą i toczącą się wojnę, a w telewizji przecież wbijali wam do łbów – Boże, jak ja to dobrze pamiętam – że dostaniecie kulkę, gdy tylko znajdziecie się na powierzchni...

– I właśnie niewiele brakowało, żeby tak się stało. – Blair się uśmiechnął.

– ...ze względu na Czarną Zarazę i Śmierdzącego Pokurcza. Żadna z tych chorób zresztą nie istnieje. Dwie zarazy bakteryjne stanowią kolejną mistyfikację, jaką przygotowali. Jednak ten straszny gaz paralizujący rzeczywiście wynaleźliśmy. Tego wspaniałego odkrycia dokonała firma New Jersey Chemical Corporation czy jakoś tak. Z przyjemnością możemy jednak myśleć, że na firmę spadła radziecka rakietka, i po budynkach oraz pracownikach nie został najmniejszy ślad. W tamtym miejscu radioaktywność jest dość duża, chociaż na pozostałym terenie...

– Wyszedłem na powierzchnię, żeby kupić sztuczną trzustkę – oznajmił Nicholas. – Na czarnym rynku.

– Nie ma sztucznych narządów – odparł Blair.

– Jestem gotów... – zaczął Nicholas.

– Nie ma! – powtórzył Blair. – Nigdzie! Nawet Yansowcy nie mogą ich sobie załatwić.

Brose je ukrył. Zgodnie z prawem wszystkie należą do niego. – Blair odwrócił się, jego twarz była wykrzywiona wściekłością. Jak mała kukielka, której znajdujące się wewnątrz palce aktora nakazały wyrazić gniew. – Wszystko zarezerwowane jest dla Brose’a, który ma osiemdziesiąt dwa albo trzy lata i jest już cały wypchany sztucznymi narządami. Tylko mózg ma jeszcze „oryginalny”. Firma sprzedająca narządy nie istnieje i nikt nie wie, jak je wyprodukować. Nasza cywilizacja zdegenerowała się z powodu wojny. Yansowcy próbowali swoich sił, ale przeszczepiane organy działały przez jakiś miesiąc. A trzeba przyznać, że zastosowali wszystkie nowinki techniczne i wszystkie możliwości urządzenia, które nazywają „wysoce wykwalifikowanym” sprzętem... nie zapominaj, że na początku była to prawdziwa wojna. Yansowcy mają swoje posiadłości i produkowane dla nich przez osadników blaszaki. Latają tymi cholernymi, małymi fruwadłami, a Agencja w Nowym Jorku przygotowuje przemówienia przerabiane przez Megawaka 6-V, ale... Cholera. – Umilkł i szedł dalej w milczeniu.

– Muszę załatwić tę trzustkę – ciągnął Nicholas.

– Nigdy ci się to nie uda – mruknął Blair.

– W takim razie muszę zejść do Tom Mix i powiedzieć ludziom. Oni przecież też mogą wyjść na powierzchnię. Zapomnieć o normach i groźbie zamknięcia osady.

– Pewnie, że mogą wyjść. I zostać więźniami na górze. Tu jest lepiej, zupełnie się z tobą zgadzam. Runcible zaczyna budować nowe osiedle przytułków w regionie południowego Utah. Mamy dobre źródło informacji, bo David Lantano dał nam szerokopasmowe radio, tylko audio, bez obrazu, ale dzięki niemu możemy odbierać transmisje, które nie są kierowane do osadników, tylko przesyłane pomiędzy posiadłościami. Yansowcy zawsze wieczorami plotkują między sobą, bo są strasznie samotni. Wyobraź sobie, że na posiadłość wielkości pięćdziesięciu akrów przypada jeden człowiek i jego blaszaki.

– Nie ma tu rodzin? – dziwił się Nicholas. – Dzieci?

– Większość została wysterylizowana – odparł Blair. – Nie zapominaj, że w czasie wojny byli na powierzchni. Najczęściej w Akademii Sił Powietrznych w Estes Park. Stanowili elitę Stanów Zjednoczonych. Młodzi kadeci Sił Powietrznych. Ale nie mogą mieć potomstwa. Więc na swój sposób zapłacili za swoje grzechy. Za to, że należeli do elity kadetów i mieszkali w schronach przeciwbombowych w Rockies. Zapłacili, i to dużo.

– My też zapłaciliśmy – przypomniał mu Nicholas. – I co z tego mamy?

– Poczekaj chwilę – odparł Blair. – Zastanów się jeszcze nad tym pomysłem z zejściem na dół i oświeceniem ich. Tutejszy system działa w ten sposób, że...

– Niech wychodzą – poparł Nicholasa jeden z towarzyszy Blaira. – Już zapomniałeś, jak jest na dole? Zaczynasz się starzeć, tak jak Brose. Przytułki Runcible’a na pewno są lepsze. To wielki budowniczy. Mają tam stoły do ping-ponga, baseny i dywany z tej śmiesznej plastikowej imitacji...

– W takim razie po co męczysz się z nami w ruinach, zamiast wskoczyć do basenu w jednym z przytułków? – spytał z jadem w głosie Blair.

Mężczyzna zmieszany machnął ręką.

– Bo... lubię być wolny.

Nikt nie odpowiedział. Komentarz nie był potrzebny. Jednak najwyraźniej należało poruszyć inny temat.

– Nic z tego nie rozumiem, Nick – rzekł Blair. – W jaki sposób Talbot Yans mógł cię uratować, jeśli on nie istnieje?

Nicholas nie odpowiedział. W jego głowie panował zbyt duży zamęt. Poza tym naprawdę nie miał zielonego pojęcia.

Pierwszy gigantyczny automatyczny buldożer jęczał jak starzec. Opuścił łyżkę i podniósł ogromną porcję ziemi, którą natychmiast odrzucił w bok. Ziemia wpadła do przygotowanego konwertera, również automatycznego, działającego homeostatycznie, bez pomocy człowieka. Wewnątrz konwertera ziemia przekształcona była w energię, która nie zasługiwała na to, by się jej pozbywać, a więc odprowadzano ją kablem do wielkiej baterii akumulacyjnej znajdującej się w odległości ćwierć mili. Bateria akumulacyjna, wynalazek, który ujrzał światło dzienne tuż przed wojną, mogła magazynować ogromne zasoby energii. Co więcej, energia mogła być składowana przez dziesięciolecia.

Energia z baterii dostarczała elektryczności potrzebnej w jednostkach mieszkalnych przytułków. Wszystkiemu, co się świeciło, ogrzewało, chłodziło albo poruszało.

W czasie tych wszystkich lat Runcible nauczył się pracować w bardzo wydajny sposób. Nic się nie marnowało.

Ale największą zaletą było to, myślał Robert Hig, stojąc przy jednym z buldożerów, których dwanaście pracowało równocześnie nad wykopem, że ludzie mieszkający w przytułkach nie pracowali już nad produkcją blaszaków dla prywatnych armii właścicieli posiadłości, ale dla Louisa Runcible'a.

Najniższe piętra każdego przytułku mieściły warsztaty, gdzie produkowano części do blaszaków. Części wykonywane ręcznie. Cała sieć fabryk znajdujących się kiedyś na powierzchni ziemi została przecież zniszczona przez wojnę. Mieszkający pod ziemią osadnicy nie mieli o tym pojęcia, nie wiedzieli, skąd pochodzą przysyłane do nich części. Gdyby kiedyś – Boże broń – się tego dowiedzieli, natychmiast by zrozumieli, że ludzie mogą żyć na górze.

I najważniejsze jest, kontynuował rozważania Hig, dopilnowanie, by nikt niczego się nie domyślił, gdyż w przeciwnym razie wszyscy wyjdą na powierzchnię i będziemy mieli kolejną wojnę.

Przynajmniej tak mu mówiono. A on tego nie kwestionował. Nie był przecież Yansowcem, pracownikiem Agencji czy Brose'a... Ale pewnego dnia, jeśli będzie miał szczęście i okaże się, że dobrze wypełnia swoje zadania, Brose przedstawi jego nazwisko jako kandydata i będzie miał prawo poszukać sobie radioaktywnego miejsca, gdzie założy własną posiadłość... Miał nadzieję, że wtedy będą jeszcze na Ziemi radioaktywne miejsca.

Być może, myślał Hig, dzięki pracy, dzięki projektowi specjalnemu Agencji zostanie Yansowcem. Będę mógł opłacać prywatnych gliniarzy Webstera Foote'a, którzy wyszukają dla mnie odpowiednie miejsce. Zacznę długie poszukiwania, takie jak te, które David Lantano niedawno skończył. Jeśli jemu się udało, to i mnie się uda, bo czy ktoś słyszał o Lantano wcześniej?

– Jak idzie, panie Hig? – zawołał jeden z pracowników, starając się przekrzyknąć ryk buldożerów.

– W porządku – odparł Hig.

Podszedł bliżej, by przyjrzeć się wyrzucanym tonom brunatnej ziemi. Buldożery miały za zadanie dokopać się na głębokość pięćdziesięciu stóp i utworzyć dół o powierzchni czterech mil kwadratowych. Z punktu widzenia możliwości sprzętu Runcible'a nie było to duże przedsięwzięcie. Problemem będzie tylko na początku wybudowanie pierwszej kondygnacji. Od czasu do czasu na powierzchni wykopu pojawiały się brygady blaszaków ostatnich generacji, które za pomocą teodolitów na trzech teleskopowych nogach sprawdzały, czy wykop wykonywany jest poprawnie, dokładnie w płaszczyźnie poziomej. Z faktu pojawienia się blaszaków można było wywnioskować, że kopanie nie będzie już długo trwało. Bezpowrotnie minął czas długich robót budowlanych, takich jak przed wojną, gdy zakopywano podziemne osady.

Ukryte artefakty powinny więc wkrótce ujrzeć światło dzienne. Albo już nigdy nikt ich nie znajdzie. Najpóźniej w ciągu dwóch dni kopanie dobiegnie końca.

Mam nadzieję, myślał Hig, że nikt nie odwalił fuszerki i na przykład nie zakopał ich za głęboko. Bo jeśli tak, to projekt specjalny umrze śmiercią naturalną. Zakończy się, kiedy tylko położą tu pierwszą warstwę cementu, wstawią pierwsze pionowe, stalowe szyby. Właściwie nadzieja zniknie, kiedy położą pierwsze plastikowe formy na cement. A formy te były już transportowane drogą powietrzną z miejsca budowy ostatniego przytułku.

Lepiej bym miał oczy szeroko otwarte. W każdym momencie muszę być gotów zatrzymać buldożery i...

Krzyknął, z całych sił.

Skupił się. Poniżej, w brunatnej, twardej ziemi pod poziomem martwych już korzeni drzew zauważył jakiś błysk. Jakiś niewyraźny przedmiot w ciemnej glebie. Przedmiot, który można by przeoczyć, gdyby nie jego starania. Blaszaki ani maszyny na pewno by go nie zauważyły. Nawet inżynierowie by go nie dostrzegli, bo wszyscy zajęci byli wypełnianiem swoich obowiązków.

Natomiast Hig miał inne zadanie. Przyjrzał się bliżej przedmiotowi. Czy to tylko kamień, czy pierwszy z... Tak. Pordzewiały, ciemny kawałek broni. Trudno w to uwierzyć, ale był to ten sam, który widział poprzedniego wieczora. Tylko że wtedy broń była nowiutka i świecąca, bo została dopiero co zbudowana przez Lindbloma. Jakie zmiany zaszły w ciągu sześciu wieków. Hig poczuł, że nie wierzy własnym oczom. To przecież niemożliwe, żeby to te same przedmioty, które stworzył Lindblom! Te, nad którymi on, Adams, Brose i Lindblom stali wczoraj przy stole. Trudno je rozpoznać... Podszedł do odbijającego promienie słoneczne przedmiotu. Skąła czy artefakt? Hig machnął na pracujące w pobliżu buldożery, które natychmiast się odsunęły, zostawiając to miejsce w spokoju. Hig zszedł do wykopu, zbliżył się do miejsca, w którym

znajdował się zagadkowy, ciemny, nieforemny przedmiot.

Klęknął na ziemi.

– Hej! – krzyknął, rozglądając się wkoło i starając się odnaleźć jakiegoś człowieka, a nie tylko maszyny i blaszaki. W końcu zauważył Dicka Pattersona, inżyniera zatrudnionego przez Runcible’a. – Hej, Patterson! – krzyknął. I w tym momencie zdał sobie sprawę, że przedmiot nie jest artefaktem. Zdziałał zbyt szybko. O Chryste! Wszystko schrzanił! Zbliżając się, Patterson spytał:

– Co jest?

– Nic. – Wściekły Hig cofnął się, wyszedł z wykopu i nakazał buldożerom powrót do pracy. Maszyny z rykiem kontynuowały kopanie, a czarny przedmiot, który okazał się kawałkiem skały, znikł pod gąsienicami maszyn.

Dziesięć minut później buldożer odsłonił coś, co w porannym słońcu świeciło białym, metalicznym blaskiem. Tym razem nie było wątpliwości. Na głębokości dziesięciu stóp pojawił się pierwszy artefakt.

– Hej, Patterson! – krzyknął znowu Hig. Ale tym razem Patterson znajdował się poza zasięgiem głosu Higa. Inżynier wziął więc swoje walkie-talkie i zaczął wzywać posiłki. Po chwili jednak zmienił zdanie. Lepiej, żeby nie robił zbyt dużego zamieszania, pomyślał. Odwołał więc buldożery, które posłusznie, choć z wahaniem i niechętnie, oddaliły się od wykopu i tym razem, kiedy znalazł się na miejscu, stwierdził, że rzeczywiście odnaleziony przedmiot jest niezwykle ciekawym pistoletem. Głęboko zakopanym, całkowicie wypełnionym ziemią. Łyżka buldożera usunęła górną warstwę miękkiej rdzy, odkrywając znajdującą się pod nią metalową powierzchnię.

Do widzenia, panie Runcible, pomyślał Hig z tryumfem. Teraz zostanę Yansowcem – był tego pewien – a pan się dowie, jak wygląda więzienie. Pan, który dotąd budował więzienia dla innych. Znowu dał znak buldożerom, tym razem zakazując im dalszej pracy. Miał zamiar nadać kod, który zatrzyma wszelkie prace i sprowadzi tutaj wszystkich inżynierów i co najmniej połowę blaszaków, chcących dowiedzieć się, o co chodzi.

Niezauważenie włączył kamerę umieszczoną w guziku koszuli i rejestrator dźwięku. Runcible’a nie było tutaj, ale Brose w ostatnim momencie zdecydował, że chce, by nagrano całą sekwencję, od momentu gdy Hig po raz pierwszy zwróci uwagę na znalezisko. Pochylił się i podniósł walkie-talkie.

Wtem promień lasera przeciął jego głowę, przepoławiając czaszkę i prawą półkulę mózgu. Hig padł na ziemię, upuszczając walkie-talkie, które rozbiło się o kamień. Zmarł na miejscu.

Automatyczny buldożer, który został uprzednio zatrzymany, czekał cierpliwie na sygnał ponownego rozpoczęcia pracy. W końcu nadszedł sygnał od innego inżyniera, stojącego daleko, po przeciwnej stronie wykopu. Z pomrukiem wdzięczności buldożer powrócił do przerwanej

czynności.

Pod jego gąsienicami znikł mały, świecący, metalowy przedmiot zakopany w ziemi na głębokości dziesięciu stóp, który tylko na chwilę ujrział promienie słońca.

Przy następnym pociągnięciu łyżki buldożera przedmiot razem z masą ziemi został wrzucony do konwertera. Bez wahania konwerter zamienił przedmiot, wraz z jego skomplikowanymi elementami, zminiaturyzowaną elektroniką, kamieniami i ziemią, na czystą energię.

Prace toczyły się dalej.

W swoim londyńskim biurze Webster Foote oglądał pod lupą jubilerską – uwielbiał te stare gadzety – rolkę filmu ze zdjęciami, które satelita szpiegowski nr 65, będący własnością Webster Foote Limited z Londynu, wykonał w czasie lotu numer 456 765.

– Tutaj – rzekł Jeremy Cencio, ekspert od fotografii, wskazując coś na zdjęciu.

– W porządku chłopcze. – Webster Foote zatrzymał odwijanie rolki i ustawił mikroskop z tysiącdwustukrotnym powiększeniem na stole. Ręcznie nastawił ogniskową, najpierw z grubsza, potem dokładnie. Ponieważ cierpiał na lekki astygmatyzm prawego oka, do oglądania zdjęć używał lewego. Wkrótce też dojrzał to, co Cencio chciał mu pokazać.

– To mniej więcej teren graniczny Kolorado, Nebraski i Wyoming – ciągnął Cencio. – Na południe od miasta zwanego dawniej Cheyenne. Przed wojną było to dość duże miasto w Stanach Zjednoczonych.

– Tak, rzeczywiście.

– Czy mam włączyć animację?

– Oczywiście. Proszę przełączyć na ścianę – odrzekł Webster Foote.

Chwilę później, kiedy w pokoju zgasły światła, na ścianie pojawił się jasny kwadrat, będący projekcją klatki filmu. Cencio włączył sprzęt animujący, który zamieniał film z nieruchomej klatki na kilkuminutową sekwencję.

Po powiększeniu obrazu tysiąc dwieście razy za pomocą mikroskopu, włączonego pomiędzy filmem a urządzeniem animującym, na ujęciu z góry wyraźnie dawało się odróżnić człowieka i dwa blaszaki.

Przyglądając się sekwencji, Webster Foote zauważył, że jeden z robotów przygotowuje się do zabicia człowieka. Dostrzegł ten niemożliwy do pomylenia ruch górnej prawej kończyny. Jako profesjonalista wiedział, co znajduje się w tej części blaszaka. Za chwilę mężczyzna przestanie istnieć.

W tym momencie jednak, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jeden z blaszaków rozprysnął się na kawałki. Jego kompan zaczął w szaleńczym tempie obracać się dokoła, szukając źródła niszczycielskiego promienia. Po chwili jednak i on zamienił się w fontannę drobnych fragmentów, które uniosły się wysoko w powietrze.

– To wszystko – zakończył Cencio i włączył światło w pokoju.

– Działo się to na terenie posiadłości... – Foote zajął do jednego z raportów – pana Davida Lantano. Nie, nie posiadłości. Prace jeszcze nie zostały zakończone. Nie minął jeszcze rok, zatem zgodnie z prawem jest to nadal nie należące do nikogo miejsce o podwyższonej radioaktywności. Znajduje się jednak pod jurysdykcją Lantana.

– W takim razie to prawdopodobnie są... były... blaszaki Lantana.

– Tak. – Foote kiwnął głową. – Przejrzyj wszystkie sąsiadujące segmenty pod szkłem powiększającym czterysta razy i znajdź źródło promienia lasera, które zniszczyło te dwa blaszaki. Sprawdź, kto...

Widkom w pokoju zabrzączał. Była to jego sekretarka, panna Grey, a sygnał, trzy błysnięcia światełka i jeden sygnał brzęczyka, oznaczał, że chodziło o sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Przepraszam – rzekł Foote i odwrócił się do dużego wideofonu, na który panna Grey skierowała połączenie.

Na ekranie pojawiła się twarz Louisa Runcible'a, duża, dość ogorzała i obrzmiała, zaopatrzona w starodawne okulary bez oprawek. Jego czaszka była nieco bardziej łyśa, niż kiedy się widzieli ostatnio. Mniej białych włosów pokrywało głowę.

– Twój człowiek powiedział, żeby dzwonić do ciebie, kiedy tylko wydarzy się coś niezwykłego – rzucił Runcible.

– Tak! – rzekł z niecierpliwością Foote, przysuwając się do ekranu. Jednocześnie nacisnął przycisk rejestratora audio-wideo, aby upewnić się, że rozmowa zostanie utrwalona. – Mów, Louis. Co się stało?

– Ktoś zamordował jednego z moich inżynierów. Dostał z lasera w tył głowy w czasie pracy na nowym miejscu budowy, w południowym Utah. A więc twoje przypuszczenia się sprawdziły: chcą mnie dopaść. – Runcible na ekranie wyglądał bardziej na oburzonego niż przestraszonego, ale u niego było to naturalne.

– Możesz kontynuować pracę bez tego człowieka? – spytał Foote.

– Oczywiście. Nie zatrzymujemy się ani na chwilę. Znaleźliśmy ciało dopiero jakąś godzinę po morderstwie. Nikt niczego nie widział. Ten inżynier nazywał się Hig. Bob Hig. Nie był orłem, ale też nie mogę powiedzieć, żebym się na niego skarżył.

– W takim razie kontynuuj pracę – poradził Foote. – Oczywiście przyślemy tam naszego pracownika, który obejrzy ciało Higa. Będzie tam za pół godziny, bo wyruszy z jednej z naszych podstacji. W tym czasie bądź z nami w kontakcie. Być może jest to dopiero pierwszy z ich ruchów. – Nie musiał określać kim są „oni”. Zarówno on, jak i Runcible świetnie to wiedzieli.

Połączenie zostało przerwane, a Foote powrócił do oglądania filmu przesłanego przez satelitę.

– Udało się już zlokalizować źródło promieniowania lasera? – spytał. Zastanawiał się, czy istnieje związek między zabiciem inżyniera Runcible'a a zniszczeniem dwóch blaszaków. Zawsze starał się powiązać ciekawe wydarzenia. Podobało mu się, gdy w końcu zdołał odnaleźć nić łączącą wszystkie elementy układanki. Jednak w przypadku tych dwóch przykrych wydarzeń nawet jego pozazmysłowe wizje nie mogły mu pomóc. Może z czasem...

– Nic z tego – odpowiedział Cencio. – Przynajmniej na razie.

– Czyżby starali się postraszyć Runcible'a, żeby zaprzestał prac na terenie Utah? –

zastanawiał się głośno Foote. – Dziwne. Przecież Louis może stracić wszystkich inżynierów i specjalnie mu to nie zaszkodzi. Mój Boże, z tymi wszystkimi zabawkami, jakie mają w Agencji, szczególnie zaś z zaawansowanymi prototypami dostępnymi jedynie Brose'owi, mogliby wyczyścić cały ten obszar, wykończyć wszystkich ludzi, blaszaki i urządzenia, które się tam znajdują. A nie tylko jednego inżyniera... W dodatku niezbyt potrzebnego. – Wszystko to nie miało sensu.

– Nie ma pan żadnego przeczucia? – spytał Cencio. – Żadnych wizji?

– Owszem – odparł Foote. – W tym momencie w jego mózgu pojawił się jakiś dziwny pomysł. Pomysł ten materializował się, aż w końcu stał się dość jasnym objawieniem. – Dwa blaszaki zostały zniszczone – rzekł. – Potem jeden z ludzi Runcible'a w Utah dostał wiązkę lasera w tył głowy w czasie prac na nowym terenie budowy... Widzę... – Przerwał. Kolejny zgon, rzekł do siebie w myślach. I to już wkrótce. Spojrzał na swój staroświecki, okrągły kieszonkowy zegarek. – Dostał w tył głowy. Morderstwo. Trzeba szukać kogoś z klasy Yansowców.

– Zamordują... Yansowca? – Cencio z osłupieniem patrzył na swego szefa.

– I to wkrótce – powtórzył Foote. – Jeśli nie już.

– Ale zawiadomiam nas?

– Och, ależ oczywiście – uspokoił go Foote. – Tym razem nie będzie to Runcible, ale Brose, ponieważ... – Jego pozazmysłowy talent nie pozostawiał mu żadnych wątpliwości. – Spotka to kogoś, na kim Brose polega. Dlatego będzie cholernie wkurzony... zadzwoni do nas strasznie poirytowany...

– Poczekamy, zobaczymy – odparł sceptycznie Cencio.

– Jestem pewien, że tak właśnie się stanie – dodał Foote. – Pytanie tylko kiedy. – Foote wiedział już, że jego talent zupełnie nie potrafił oceniać czasu przyszłego wydarzenia. Wszystko mogło rozegrać się za godzinę albo za parę dni. Ale nie więcej niż tydzień. – Przypuśćmy – rzekł Foote w zamyśleniu – że morderstwo tego Higa nie było skierowane przeciwko Runcible'owi. Bo przecież nie przeszkodziło mu specjalnie. Tak naprawdę nie chodzi o niego. – Przypuśćmy, pomyślał, że mimo iż Hig był pracownikiem Runcible'a, spisek skierowany był przeciw Stantonowi Brose'owi.

Czy to możliwe?

– Lubisz Brose'a? – spytał swojego eksperta od fotografii, zajmującego się obróbką wszystkich danych wizualnych przesyłanych przez satelitę.

– Ani mnie ziębi, ani grzeje – odparł Cencio.

– A mnie tak. Nie cierpię go – wyznał Foote. – Nie kiwnąłbym małym palcem, żeby mu pomóc. Gdybym oczywiście mógł coś zrobić w tej sprawie. – Ale w jaki sposób mógłbym coś tu zdziałać? Brose, działając przez generała Holta i marszałka Harenzanyego, miał na każde skinienie armię zahartowanych w bojach blaszaków. Poza tym miał dostęp do archiwów

zaawansowanej broni. Brose mógł dobrać mu się do tyłka, również całej Webster Foote Limited, kiedy tylko chciał.

Ale może w grę wplątany jest jeszcze ktoś. Ktoś, kto nie boi się Brose'a.

– Dowiemy się, czy taka osoba istnieje – rzekł Foote – tylko wtedy, gdy cenny dla Brose'a Yansowiec zostanie zamordowany. – Tak jak to przewidział dzięki swojej wizji.

– Jaka osoba? – nie rozumiał Cencio.

– Nowa. – Foote się uśmiechnął. – Której jeszcze nigdy nie widzieliśmy. – I która, o ile się orientował, nigdy nie istniała.

Będę siedział tutaj, przy swoim biurku, myślał Foote, czekając i mając nadzieję, że za chwilę zadzwoni do mnie tłusty, ohydny, stary, pajakowaty Stanton Brose. Powie mi ponurym tonem, że bardzo potrzebny mu Yansowiec z jego bezpośredniego otoczenia został właśnie zamordowany, i to nie w jakiś barbarzyński sposób, ale wprost przeciwnie – w wyszukany. A jeśli Brose zadzwoni, pojedę sobie na dwutygodniową hulankę.

Od tego momentu zaczął czekać. Na jego archaicznym okrągłym zegarku była godzina dziewiąta rano, według czasu londyńskiego. W sposób na razie bardzo skromny już zaczął świętować: wziął szczyptę – jedną do każdej dziurki od nosa – najwyższej jakości, oczyszczonej mieszanki tabaki pani Cluny.

W hollu głównym Agencji w Nowym Jorku Joseph Adams, nie widząc nikogo w pobliżu, wszedł szybkim krokiem do budki wideofonu na monety. Zamknął za sobą drzwi i wrzucił metalową monetę do aparatu.

– Proszę Kapsztad. Z willą Louisa Runcible'a. – Trząśł się tak mocno, że z trudem udawało mu się utrzymać słuchawkę przy uchu.

– Siedem dolarów za pierwsze... – zaczął operator, którym był jakiś bardzo wydajny i dziarski blaszak.

– W porządku – szybko wrzucił jedną piątkę i dwie jedynki do automatu, a kiedy uzyskał połączenie, natychmiast zasłonił ekran chustką do nosa. W ten sposób zablokował przekaz wizualny, pozostawiając jedynie połączenie dźwiękowe.

Rozległ się jakiś damski głos:

– Tu panna Lombard, sekretarka pana Runcible'a, z kim mam przyjemność?

– Mam bardzo ważną wiadomość, którą mogę przekazać tylko panu Runcible'owi – rzekł szorstko, co zupełnie zmieniło jego głos.

– Kto mówi? Jeśli pan...

– Nie mogę powiedzieć – chrypiał Adams. – Wideofon może być na podsłuchu. Może...

– O co chodzi, sir? Mógłby pan mówić głośniej? Sygnał wizualny najwyraźniej w ogóle do mnie nie dociera. Czy mógłby pan połączyć się na jakimś innym kanale?

– Do widzenia – odparł Adams. Nie mogę przecież ryzykować, pomyślał ze strachem.

– Zaraz pana połączę. Jeśli tylko poczeka pan... Odłożył słuchawkę.

Zdejmując chustkę z ekranu, drżał na całym ciele. Chwiejnym krokiem opuścił budkę wideofonu. Prawie to zrobił. Przynajmniej spróbował. Był tak blisko.

A może telegram? Albo specjalny list polecony, bez nazwiska, z literami wyciętymi z gazet.

Nie mogę, zdał sobie sprawę. Po prostu nie mogę. Przykro mi, Louis. Więzy są zbyt silne. Kajdany. Trzymają mnie już zbyt długo i stały się częścią mnie. Spętały mnie na całe życie. Od teraz na wieki.

Szedł powoli korytarzem, oddalając się od budki, i czuł, jak odrętwienie ogarnia jego członki. Wracał do swojego biura. Jakby nic się nie stało.

Bo przecież rzeczywiście nic się nie stało. Taka była gorzka prawda: nie wydarzyło się zupełnie nic.

A więc siła kierująca jego poczynaniami, siła, której nie rozumiał, wyczuwalna, ale daleka, wymykająca się, podobna do motyla, nadal będzie go zwodzić. Te cienie szybujące po niebie jego życia i nie pozostawiające po sobie śladu kontynuować będą podróż wedle siebie tylko znanego kursu. Czuł się ślepy, przerażony i bezradny. Ale mimo to szedł przed siebie. Bo było to naturalne. I nie istniało dla niego nic ważniejszego.

Kiedy tak szedł, poruszyło się coś w jego wnętrzu. Zawirowało i popchnęło do przodu. Szedł tam, skąd nie było już odwrotu: wprost przed siebie.

Po przystrzyżonym zielonym trawniku, chwilowo pustym, gdyż była właśnie noc i blaszaki pracujące w ogrodzie schowały się w szopach i odpoczywały, na ciężkich gumowych kołach jechała maszyna. Nie wydawała z siebie żadnego odgłosu, orientowała się w terenie wyłącznie dzięki sygnałom podobnym do radarowych, które emitowała na częstotliwościach zazwyczaj nieużywanych. Sygnały powracały do niej i informowały ją, że duży kamienny budynek – cel numer jeden spośród celów znajdujących się na trasie hoemostatycznej podróży – leży dokładnie na jej drodze. Maszyna poruszała się powoli w stronę budynku, aż w końcu bezgłośnie uderzyła o jego ścianę i na chwilę zamarła, gdyż inna część jej wyposażenia, kamera, która teraz miała być wykorzystana, właśnie dostosowywała swoje położenie.

Klik. Faza druga rozpoczęta.

Po podparciu się przysawkami, odchodzącymi pod kątem ostrym od napędzanego elektrycznie, obracającego się wału głównego, maszyna podniosła się do poziomu okna.

Wejście do budynku przez okno nie stanowiło większego problemu, mimo że okno zaopatrzone w aluminiową ramę było szczelnie zamknięte. Maszyna po prostu zaczęła intensywnie grzać szkło, aż szyba stopiła się i ściekła na dół jak lepki miód, zostawiając za sobą szeroką, pustą dziurę w środku okna, gdzie działała najwyższa temperatura. Maszyna przedostała się następnie do środka przez powstały w ten sposób otwór.

Zatrzymała się jeszcze na aluminiowej ramie i rozpoczęła wykonywanie fazy czwartej swojej misji: zaczęła oddziaływać dużym ciśnieniem na dość miękką powierzchnię metalu. Rama okna wygięła się, a maszyna, jakby zadowolona ze swojego wyczynu, ruszyła dalej, aż dotarła do podłogi pokoju.

Tu urządzenie znowu na chwilę zamarło w bezruchu, przynajmniej takie wrażenie odniósłby ktoś, kto by je obserwował. Wewnątrz jednak elektryczne przełączniki otwierały się i zamykały. W końcu taśma pokryta tlenkiem żelaza ruszyła wzdłuż głowicy odtwarzającej. Przez system audio przepłynął prąd z transformatora do głośnika, a maszyna nagle odezwała się niskim, przytłumionym jęklwym głosem:

– Cholera!

Taśma skończyła się, została wrzucona do pojemnika znajdującego się wewnątrz maszyny, gdzie została zniszczona.

Maszyna znowu ruszyła do przodu na swoich małych, wykonanych z twardej gumy kółkach. Ponownie nawigowała jak nietoperz, emitując sygnały. Po jej lewej stronie znajdował się niski stolik. Maszyna zatrzymała się przy nim, a przełączniki ponownie otworzyły się i zamknęły. Maszyna wyciągnęła mackę, której koniec spoczął na powierzchni stołu, tak jakby przed dalszą drogą na chwilę chciała odetchnąć. Potem jednak ruszyła. Ostrożnie. Ponieważ najważniejszy

cel, człowiek, był już niedaleko. Człowiek spał w pokoju obok. Maszyna rejestrowała jego oddech oraz promieniowanie cieplne ciała. Przyciągana przez oba te impulsy ruszyła w odpowiednim kierunku.

Mijając szafę, zatrzymała się, zabręczczała i wysłała impuls elektryczny podobny do fali alfa emitowanej przez mózg ludzki, a dokładnie, przez jeden, konkretny mózg ludzki.

Znajdujące się w szafie urządzenie rejestrujące przyjęło impuls i zapisało go w niezniszczalnej pamięci, zamkniętej wewnątrz skrzynki zatopionej głęboko w ścianie. Do pamięci tej można było dotrzeć, tylko wytrwale wierząc w ścianę lub posiadając odpowiedni klucz. Maszyna jednak tego nie wiedziała, a nawet gdyby wiedziała, nic by jej to nie obchodziło. Nie przejmowała się takimi szczegółami, miała do wykonania zadanie.

Po prostu toczyła się dalej.

Przejeżdżając przez otwarte drzwi prowadzące do sypialni, zatrzymała się, cofnęła na tylnych kółkach i wyciągnęła mackę, która zręcznie, choć tracąc parę cennych sekund, umieściła pojedyncze włókno sztucznego materiału na ostrej krawędzi zamka drzwi. Po zakończeniu tej czynności ruszyła do przodu, zwalniając jeszcze raz, by rzucić na podłogę trzy włosy i malutki kawałek suchej skóry czaszki. Poza tym nic nie zakłócało jej ruchu w stronę człowieka śpiącego w łóżku.

Podjechawszy do łóżka, maszyna zatrzymała się na dobre. Teraz miała wykonać najbardziej skomplikowaną operację w całej misji. Znowu zatańczyły elektryczne przełączniki w jej wnętrzu, a obudowa stanowiąca kadłub zmieniła teraz kształt jak miękki plastik pod wpływem ciepła. Maszyna stała się wysoka i cienka, po czym znowu opadła na tylne kółka. Efekt był komiczny. Maszyna, nie mogąc utrzymać równowagi, chwiała się teraz na wszystkie strony jak kobra. Co chwila wydawało się, że upadnie na prawo lub na lewo, ponieważ wydłużywszy się, nie miała już odpowiednio szerokiej podstawy. Była jednak zbyt zajęta, by przejmować się problemem swoich bocznych wahań. Kontrolujący ją główny obwód, „zegar”, jak powiedzieliby technicy z czasów wojennych, którzy ją zaprojektowali, zamierzał właśnie teraz zrealizować znacznie poważniejszy cel niż odzyskanie równowagi.

Po zakończeniu fazy transformacji maszyna starała się określić z dużą dokładnością miejsce, gdzie znajdowało się serce śpiącego.

Po kilku minutach udało jej się to wreszcie. System namierzania skupił się na bijącym sercu. Czujniki stetoskopowe, umieszczone wewnątrz maszyny, zaczęły śledzenie rytmu serca. Rozpoczęła się kolejna faza. Kiedy serce zostało już namierzone, musiała działać natychmiast albo zrezygnować.

Z górnej części maszyny wyfrunęła mająca własny napęd strzałka, w której ostrzu znajdowała się dawka cyjanku. Lecąc niezbyt szybko, tak aby korektę trajektorii można było przeprowadzić nawet w ostatnim ułamku sekundy, strzałka przemierzyła drogę od wierzchołka

maszyny, nieznacznie skręcając w momencie, gdy sygnały pochodzące z maszyny nakazywały jej wykonanie drobnej korekty, aż do klatki piersiowej śpiącego mężczyzny, w którą wbiło się ostrze.

W tej samej chwili z ostrza wyrzucona została trucizna.

Mężczyzna zmarł we śnie.

Umieszczone w gardle mężczyzny skomplikowane, lecz nadzwyczaj cienkie przewody zawierające mnóstwo elektronicznych przekaźników i bramek udarowych przesyłały mnóstwo sygnałów radiowych, które po chwili odbierane były przez większą jednostkę przymocowaną do dolnej części łóżka. Jednostka ta, kontrolowana przez cienki kołnierz, który zareagował natychmiast w momencie przerwania krążenia krwi i akcji serca, zaczęła emitować własne sygnały.

Zadźwięczał alarm. W pokoju zawrzało. W innych częściach willi blaszaki poderwały się na równe nogi i błyskawicznie rzuciły w kierunku sypialni na górze. Kolejny sygnał wyzwolił kodowane automatycznie wezwanie blaszaków stacjonujących na zewnątrz budynku. One również poderwały się i ustawiły w szeregu pod oknem sypialni.

Śmierć mężczyzny spowodowała uaktywnienie się pięćdziesięciu blaszaków stanowiących jego świtę. Każdy z nich kierowany błyskawicznymi impulsami, pochodzącymi z jednostki znajdującej się pod łóżkiem, już po chwili dotarł na miejsce przestępstwa.

Maszyna po wypuszczeniu strzałki zarejestrowała jeszcze zatrzymanie rytmu serca. W tym momencie mogła ponownie dokonać zmiany swego kształtu i powrócić do początkowego wyglądu. Po wykonaniu zadania zaczęła odjeżdżać od łóżka.

W tej chwili mała antena umieszczona na przedniej powierzchni obudowy przechwyciła sygnały radiowe emitowane przez większą jednostkę umieszczoną pod łóżkiem. Maszyna wiedziała, że nigdy nie zdoła się stąd wydostać.

Z zewnątrz, spod okna, w którego szybie została wypalona dziura, dochodził maksymalnie wzmocniony głos blaszaka VI generacji:

– Sir, wiemy, że pan tam jest. Proszę nie próbować uciekać. Przedstawiciel agencji policyjnej jest już w drodze. Do jego przyjazdu proszę pozostać na swoim miejscu.

Maszyna jechała na swoich małych kółkach, oddalając się od łóżka, w którym leżał nieżywy mężczyzna. Wykryła obecność blaszaków, które znajdowały się po drugiej stronie drzwi wiodących do sypialni, czekały na korytarzu oraz za oknem. Blaszaki były wszędzie, rozmieszczone według starannie przemyślanego planu. Maszyna wjechała z powrotem do pokoju znajdującego się obok sypialni, do którego najpierw się dostała. Tam, zatrzymując się i jakby przez chwilę zastanawiając, upuściła kroplę krwi, która spadła na podłogę. Maszyna obróciła się, ruszyła w jednym kierunku, potem w przeciwnym, po czym wszystkie przełączniki nią kierujące zostały unieruchomione, gdy obwód główny wreszcie przyjął do wiadomości powagę sytuacji.

Wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte. Pozostała więc już tylko jedna możliwość.

Plastikowa obudowa, mieszcząca elementy maszyny, nagrzała się, zmiękła i zmieniła kształt. Tym razem przyjęła dobrze znaną formę przenośnego telewizora wyposażonego w rączkę, ekran i antenę w kształcie litery V.

W tej formie maszyna zastygła w bezruchu. Każdy aktywny elektroniczny element zamarł.

Wszystko ucichło. Cel został osiągnięty. Neurotyczna oscylacja pomiędzy dwoma sprzecznymi impulsami, chęcią ucieczki i chęcią ukrycia się, została rozstrzygnięta na korzyść tej ostatniej. W ciemnym pokoju maszyna wyglądała jak zwyczajny odbiornik telewizyjny, co zresztą było zamierzeniem jej twórców z czasów wojny. Zrobiła jedyną możliwą w tych warunkach rzecz, kiedy reakcja na atak nastąpiła za szybko i odcięła urządzeniu drogę ucieczki.

Tak więc pozostawała bez ruchu w ciemnym pokoju, podczas gdy pod pustym oknem blaszak VI generacji dowodzący akcją raz po raz wykrzykiwał swoje ostrzeżenie. W korytarzu, na zewnątrz sypialni zmarłego, pełniła wartę spora grupka blaszaków przygotowanych do udaremnienia próby ucieczki komukolwiek lub czemukolwiek, co chciałoby się oddalić z miejsca przestępstwa. Grupka pozostawała tam aż do momentu, gdy godzinę później Webster Foote, który zjawił się tu służbowo, został wpuszczony do sypialni.

Webster Foote został zaalarmowany przeraźliwym sygnałem wideofonu. Dzwonił Stanton Brose. Obraz Brose'a na ekranie falował w pseudoparkinsonicznym podnieceniu, występującym jedynie u osobników ze zniszczonymi strukturami neurologicznymi i egzystujących na skraju szaleństwa.

– Webster, zabili jednego z moich ludzi, moich najlepszych ludzi.

Prawie szlochając i zupełnie się nie kontrolując, Brose, któremu nerwowo drgała warga, spojrzał na Foote'a. Właściciel firmy detektywistycznej, patrząc z fascynacją na ekran, pomyślał: Miałem rację. Moje przeczucie nie zawiodło. Nie myślałem tylko, że zdarzy się to tak szybko.

– Oczywiście, panie Brose, pojedę tam osobiście. – Wziął do ręki długopis. – Proszę podać nazwisko Yansowca oraz lokalizację jego posiadłości.

Brose nerwowo parskał śliną i bulgotał.

– Verne Lindblom. Zapomniałem, gdzie jest jego posiadłość. Właśnie do mnie dzwonili. Alarm w jego posiadłości włączył się w tej samej sekundzie, kiedy go dopadli. Dzięki temu blaszaki zdołały schwycić zabójcę. Jest nadal w willi. Blaszaki obstawiły wszystkie drzwi i okna, więc na pewno pan go tam znajdzie. Powinien pan też wiedzieć, że nie jest to pierwsze morderstwo, lecz drugie.

– Ach tak – mruknął Foote zdziwiony, że Brose wiedział już o śmierci Roberta Higa, inżyniera Runcible'a.

– Tak. Zaczęło się od... – Brose urwał. Jego twarz przelewała się, jakby pokładami tłuszczu targały siły pływowe, to odkrywając, to wypełniając puste przestrzenie czaszki. – Moi agenci

znajdujący się wśród pracowników Runcible'a donieśli mi o tym – dodał, odzyskując panowanie nad sobą.

– Hmm...

– To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Verne Lindblom był... – Brose prychnął, wytarł nos i oczy, po czym dotknął ust miękkimi, spoconymi palcami. – Niech mnie pan uważnie posłucha. Proszę wysłać do Kalifornii, do posiadłości Josepha Adamsa, brygadę komandosów złożoną z pańskich najlepszych ludzi. Mam nadzieję, że nie dopadną go w następnej kolejności.

– Dlaczego Adamsa? – Foote dobrze wiedział dlaczego, ale chciał usłyszeć, co Brose miał do powiedzenia na ten temat. Uczestnicy projektu specjalnego – o którego istnieniu wiedział, ale którego celu nie znał – byli eliminowani jeden po drugim. Brose zrozumiał, o co tu chodzi, i Foote także nie był w ciemną bitą. Właściciel firmy policyjnej zrobił sobie notatkę: „Bryg. komand, do posiadł. Adamsa. Natychmiast”.

– Proszę mnie o nic nie pytać, tylko wykonać moje polecenie – rzekł Brose swoim jadowitym, starczym głosem.

Starając się okazać odpowiedni szacunek, Foote odparł sztywno:

– Natychmiast. Pojadę do posiadłości Lindbloma. Moja najlepsza brygada komandosów pojedzie chronić Yansowca Adamsa. Od teraz będziemy go strzec jak oka w głowie, chyba że został już zgładzony. Czy on też, tak jak Lindblom...

– Wszyscy mają alarm ostrzegający o śmierci – rzekł Brose drżącym głosem. – Dlatego możemy być pewni, że Adams jeszcze żyje. Ale wkrótce może się to zmienić, jeśli się nie pośpieszycie. Nie jesteśmy przygotowani... Moi ludzie nie potrafią już sami się ochraniać. Wydawało nam się, że wszystko minęło, kiedy skończyła się wojna. Wiem, że ich blaszaki toczą zacięte boje o granice posiadłości, ale dotąd nie zdarzyło się nic, co by przypominało wojnę.

Webster Foote przyznał mu rację i zakończył rozmowę. Wysłał brygadę komandosów złożoną z czterech osób stacjonujących w podstacji na terenie Los Angeles. Potem, odprowadzany przez dwa specjalnie przeszkolone blaszaki, targające ciężkie walizy ze sprzętem śledczym, wdrapał się na dach budynku firmy.

Na dachu czekało stare wojskowe fruwadło, pochodziło jeszcze z czasów wojny i było przeznaczone do ciężkich zadań. Maszyna sapała już, włączona zdalnie z biura Foote'a. Właściciel firmy policyjnej i jego dwa specjalnie przeszkolone blaszaki wdrapali się do fruwadła i chwilę później lecieli nad Atlantykiem.

Foote przez wideofon skontaktował się z Agencją Yansowców w Nowym Jorku i dowiedział się, gdzie mieści się posiadłość zmarłego. Znajdowała się w Pensylwanii. Poprzez połączenie wideofoniczne ze sztabem głównym firmy w Londynie poprosił o wyświetlenie na ekranie jego fruwadła akt Yansowca Verne'a Lindbloma. Nie miał żadnych wątpliwości. Lindblom nie był jakimś tam konstruktorem, ale pierwszym i głównym pomysłodawcą organizacji Yansowców.

Miał całkowity dostęp do urzędzeń Eisenbludta w Moskwie... Co do tego Foote upewnił się w czasie śledztwa dotyczącego „projektu specjalnego”, którego Lindblom stanowił podstawowe ogniwo. Śledztwo zresztą nie wykryło niczego ciekawego, pomyślał z goryczą.

Desperacja Brose'a, jego zdenerwowanie i przewidywania, iż Joseph Adams stanie się kolejną ofiarą, potwierdzały fakt, że ostatnie zabójstwa Higa i Lindbloma były wynikiem ich zaangażowania w pracę nad projektem specjalnym. Foote rozumiał to doskonale. Wyczuwał cienką nić łączącą Higa, Lindbloma i prawdopodobnie Adamsa. W tej chwili pomyślał także, że w ostatnią sobotę śmierć Arlene Davidson, która dotąd wydawała się zgonem z przyczyn naturalnych, także mogła się wiązać z projektem specjalnym. Tak czy inaczej z zachowania Brose'a najwyraźniej wynikało, że zmarli tragicznie byli zaangażowani w specjalny projekt Agencji, a właściwie Brose'a. Oznaczało to, iż Hig bez wątpienia był wtyczką Brose'a u Runcible'a. A więc przewidzenia Foote'a się sprawdziły: Higa nie zamordowano za namową Brose'a i śmierć ta nie miała zaszkodzić Runcible'owi. Morderstwo Higa, co dobitnie udowadniała śmierć Yansowca Lindbloma, wymierzone było w Brose'a. W najwyższego z Yansowców. Wszystko wyszło już poza sferę domysłów i zaczynało być rzeczywistością.

Foote nadal jednak nie miał pojęcia, czym jest – albo raczej był – projekt specjalny. W każdym razie, w tej chwili wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze, aby projekt nie doszedł do skutku. Najwyraźniej w projekcie nie uczestniczyło zbyt wiele osób. Prawdopodobnie Adams był ostatnim jego uczestnikiem, pomijając oczywiście Brose'a.

Takie myśli przelatwały przez umysł zawodowego policjanta Foote'a. Adams, stanowiący część projektu i będący w chwili obecnej pod ochroną komandosów Foote'a, mógłby w tych okolicznościach zostać przekonany do zdradzenia jednemu z przeszkolonych pracowników Foote'a natury projektu specjalnego... Przedsięwzięcia, którego głównym celem bez wątpienia był Runcible. To właśnie on miał zostać kozłem ofiarnym, ale nie wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami spiskujących. Buldożery w południowym Utah kontynuowały pracę, a Runcible nie miał powodów, by ją przerywać. Miał je jednak Brose.

Prawdę mówiąc, Foote nie pamiętał, by kiedykolwiek widział Brose'a, albo kogokolwiek innego, tak zagubionego emocjonalnie. Wystraszonego. Ten projekt specjalny musiał być rzeczywiście czymś wielkim, pomyślał Foote. Może jego celem było całkowite i ostateczne wyeliminowanie Louisa Runcible'a? Niewykluczone, że mieliśmy być świadkami ostatniego aktu walki między Brose'em a wspaniałym konstruktorem przytułków. Walki tak szybko i tak niespodziewanie zakończonej.

Mój Boże, myślał Foote, ani ja, ani mój wysłannik po mojej rozmowie z Louistem Runcible'em w żaden sposób nie domyślaliśmy się, że przygotował on tak radykalne i efektywne środki obrony. Louis Runcible wyglądał na nieświadomego zagrożenia, może nawet na niezbyt zainteresowanego całą tą sprawą... W jaki sposób więc zdołał odpowiedzieć na agresję tak

szybko i tak precyzyjnie?

Poza tym Runcible nie znał właściwej przyczyny śmierci swojego pracownika, Roberta Higa. Wyraźnie dał tego świadectwo w czasie rozmowy przez wideofon.

Dlatego też, jest możliwe, zdał sobie sprawę Foote, a nawet prawdopodobne, że Hig i Yansowiec Lindblom oraz wcześniej, Yansowiec Arlene Davidson nie działali z polecenia Louisa Runcible'a. Runcible nie wiedział nawet, dla kogo pracowali.

Louis Runcible jest chwilowo bezpieczny, ale nie zawdzięcza tego sobie, pomyślał Foote.

Na scenę wkroczyła jakaś postać nieznana ani mnie, ani Runcible'owi, ani Brose'owi. Postać ta właśnie rozpoczęła walkę o władzę.

Jakie szczęście, że wystarczy mi to, co mam, westchnął z ulgą Foote. Gdybym zaczął kopać dołki pod innymi, tak jak starał się to zrobić Brose w swoim projekcie, niedługo stałbym się jednocześnie myśliwym i celem.

Po godzinnej podróży Webster Foote dotarł na dach willi zmarłego Yansowca. Po chwili, wraz z towarzyszącymi mu dwoma przeszkolonymi blaszakami targającymi ciężkie walizy ze sprzętem śledczym, podążył korytarzem na najwyższe piętro domostwa. Ujrzał smutny widok: zgrają blaszaków w pełnej gotowości, pilnujących zamkniętych drzwi, za którymi spoczywały zwłoki ich pana, właściciela posiadłości. Jeżeli blaszak VI generacji, pilnujący nadal domu od zewnątrz, nie mylił się, morderca został zamknięty w pokoju, gdzie dokonano mordu.

Tak właśnie działa alarm zagrożenia życia, zreflektował się Foote. Historia udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że niezależnie od swojej pozycji społecznej człowiek w żaden sposób nie może do końca zabezpieczyć się przed mordercą. Jedna tylko rzecz jest w stanie sprawić, że przestępca dwa razy się zastanowi: alarm, który doprowadza do zamknięcia złoczyńcy w miejscu popełnienia zbrodni. W momencie śmierci Verne'a Lindbloma zadziałał mechanizm, który doprowadził do okrażenia mordercy. Dlatego też można było oczekiwać, tak jak czynił to blaszak VI generacji, że kiedy Webster Foote otworzy drzwi do sypialni, ujrzy nie tylko zwłoki (które, miał nadzieję, nie były zbyt okaleczone), ale także uzbrojonego, profesjonalnego mordercę, gotowego do walki o swoje życie.

Foote stanął przed zgrają blaszaków, które jak wierne psy czekały w pełnej szacunku ciszy przed drzwiami sypialni. Rzucił do swoich dwóch pomocników:

– Broń.

Blaszaki postawiły ciężkie pakunki na ziemi, otworzyły je i czekały na dokładniejsze instrukcje.

– Dajcie mi któryś z efemerycznych gazów paraliżujących układ nerwowy – zdecydował Foote. – Wywołujący czasowe zaburzenia czynności układu nerwowego. Wątpię, żeby osobnik znajdujący się wewnątrz miał przy sobie zbiornik z tlenem i maskę.

Jeden z blaszaków posłusznie podał mu długi, obły cylinder ze skomplikowaną nasadką.

– Dziękuję – rzucił Foote i omijając gromadę stojących w milczeniu blaszaków Lindbloma, dotarł do zamkniętych drzwi prowadzących do sypialni.

Przykładając nasadkę cylindra do drewnianej powierzchni drzwi, które najwyraźniej ocalały z jakiejś starej posiadłości, zadumał się przez chwilę nad ulotnością życia ludzkiego, nad tym, jak bardzo nietrwale jest ciało, po czym nacisnął spust.

Nasadka na cylindrze zaczęła się obracać z dużą prędkością i w jednej chwili wywierciła w solidnych drewnianych drzwiach otwór. Następnie wpasowała się w dziurę i wypełniając ją szczelnie, tak aby gaz nie mógł wydostać się z sypialni i poszkodzić Foote'owi, zaczęła sączyć do sypialni niewidzialną smugę neurologicznie aktywnego gazu, działającego na połączenia

nerwowe. Gaz rozprzestrzenił się w pokoju i żadna siła nie mogła już powstrzymać jego działania. Rozległ się sygnał oznaczający zakończenie rozpraszania gazu. Webster Foote spojrział na swój okrągły zegarek kieszonkowy i zaczął odliczanie. Gaz miał działać przez pięć minut. Później, dzięki odpowiednio dobranym składnikom, stanie się nieszkodliwy. Wtedy też będzie można bez najmniejszej obawy wejść do pokoju.

Pięć minut minęło.

– Już pora, sir – odezwał się jeden z blaszaków.

Webster Foote wyciągnął cylinder, oddał go stojącemu obok blaszakowi, który umieścił go z powrotem w walizce. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że zabójca przyszedł na miejsce zbrodni dobrze przygotowany i dysponował środkiem neutralizującym działanie gazu. Dlatego też Foote wziął teraz mały pistolet i po głębszym zastanowieniu, dzięki któremu w przeszłości wielokrotnie ocalił skórę, poprosił o plastikową tarczę ochronną. Rozłożył ją i niezgrabnie, ale skutecznie naciągnął na siebie. Pomagał mu przy tym jeden z jego blaszaków. Tak więc już po chwili tarcza okrywała go całego, nie licząc łydek, które przytrzymały angielskie, wełniane skarpety i wyprodukowane w Londynie szerokie, oksfordzkie spodnie. Trzymając przed sobą mały, zabawny pistolet, który wcale nie był taki zabawny, ruszył przez gromadę blaszaków Lindbloma, po czym otworzył drzwi do sypialni.

– Raca – rozkazał nagle. W pokoju panowała ciemność. A nie miał czasu po omacku szukać włącznika światła.

Jeden z wyśmienicie przeszkolonych blaszaków bez wahania wrzucił posłusznie do sypialni racę używaną w pomieszczeniach zamkniętych. Raca zapaliła się, dając przyjemne, żółte światło, które nie oślepiało, a mimo to dokładnie oświetlało pokój. Foote zauważył łóżko. Na łóżku, pod kołdrą, leżał z zamkniętymi oczyma zmarły mężczyzna, Verne Lindblom. Leżał spokojnie, jakby niczego nieświadom, jakby zapomniano go poinformować o fakcie jego bezbolesnej i natychmiastowej śmierci. Dla Foote'a było to oczywiste. Pozycja, w jakiej spoczywał zmarły, wygodnie na plecach, wskazywała na wykorzystanie jednego z najczęściej stosowanych, najlepiej przetestowanych i najlepiej działających urządzeń wyposażonych w cyjanek. Prawdopodobnie użyto homeostatycznej strzałki skierowanej bezpośrednio w mózg, serce lub górne zwoje nerwowe rdzenia kręgowego. Przynajmniej miał lekką śmierć, pomyślał Foote. Rozejrzał się wokoło, szukając całkowicie nieporadnego mężczyzny, który nie może się poruszać, ani mówić, drżącego odruchowo, nie mogącego się bronić ani uciekać.

Ale w pomieszczeniu nie było nikogo takiego. Nie było żadnego człowieka ani w takim, ani w innym stanie neurologicznym. Zmarły mężczyzna, leżący spokojnie pod kołdrą, był w pokoju sam. Foote ruszył ostrożnie w kierunku drugiego pokoju, do którego przez okno przedostał się z zewnątrz zabójca, ale tam także nikogo nie znalazł. Za nim kroczyły oba blaszaki. Ale i one nikogo nie dostrzegły. Od razu zaczęły więc otwierać boczne drzwi, prowadzące do łazienki

wyłożonej piękną mozaiką oraz dwóch szaf.

– Uciekł – ocenił Foote.

Jego dwa blaszaki nie odpowiedziały. Ich komentarz nie był tu konieczny.

Wracając do blaszaków Lindbloma, strzegących na korytarzu drzwi do sypialni, Foote rzekł:

– Poinformujcie swoją szóstkę na dole, że zjawiała się za późno.

– Tak jest, panie Foote – odparł blaszak najwyraźniej dowodzący grupą, po czym wypełnił rozkaz. – Odpowiedź brzmiała: „To niemożliwe. Morderca pana Lindbloma jest na terenie sypialni”.

– Może tak podpowiada wam logika – zgodził się Foote – ale fakty są inne. – Tu zwrócił się do swoich blaszaków: – Zaczynjcie zbierać dane. Jeśli przyjmujemy, że zabójcą był człowiek, a nie blaszak, musicie zwrócić szczególną uwagę na obecność śladów organicznych. Kawalki skóry, włosów.

Jeden z wyższej generacji blaszaków Lindbloma rzekł:

– Panie Foote, w ścianie jest ukryty receptor fal mózgowych. Mamy klucz dający dostęp do niego.

– Świetnie – ucieszył się Foote. – Sprawdzimy zapis.

– Jest jeszcze rejestrator audio, który też działa bez przerwy.

– Bardzo dobrze. – Mieli szczęście. Oczywiście, jeśli morderca był człowiekiem. Jeśli coś powiedział. I jeśli przechodził w okolicy czujników receptora fal mózgowych. Webster Foote wszedł z powrotem do sypialni, a potem do graniczącego z nią pokoju, żeby obejrzeć okno, przez które przedostał się oprawca.

Na ziemi stał przenośny telewizorek.

Foote pochylił się i schwycił za rączkę, nie przejmując się możliwością zatarcia odcisków palców. Było raczej wątpliwe, by morderca zajmował się noszeniem po mieszkaniu telewizora.

Telewizor był zdecydowanie zbyt ciężki. Foote ledwo go podniósł.

– To jest to – powiedział.

Znajdujący się w szafie blaszak Lindbloma, zajęty otwieraniem pojemnika, w którym umieszczono rejestrator fal mózgowych, nie zrozumiał:

– Słucham, sir?

– Oto i zabójca. Ten telewizor – wyjaśnił Foote.

– Sir – prychnął blaszak Lindbloma – przenośny telewizor nie jest urządzeniem, za pomocą którego można...

– Chcesz poprowadzić tę sprawę? – spytał Foote. – Chcesz sam znaleźć zabójcę swojego pana? Czy może jednak ja mam się tym zająć?

– Ależ oczywiście, panie Foote, pan tutaj dowodzi.

– Dziękuję – rzekł z przekąsem Webster Foote, zastanawiając się, w jaki sposób ma

otworzyć atrapę telewizora i dostać się do obiektu ukrywającego się jak kameleon pod postacią przenośnego odbiornika telewizyjnego. Bo jeśli miał rację, przy próbie otwarcia urządzenie będzie stawiać opór, gdyż zostało zbudowane w taki sposób, by uniemożliwić jakąkolwiek penetrację.

W tym momencie przed oczami znowu stanęła mu wizja przyszłości. Dostanie się do wnętrza „telewizora” zajmie wiele dni, może nawet tygodni. Nie pomoże tu nawet wzmożony wysiłek jego pracowników w warsztatach.

Trzymał w dłoniach śmiertelny instrument. Dla niego jednak instrument ten uczynić mógł wiele dobrego.

Szukali wskazówek. Ślad prowadził od wygiętej aluminiowej ramy okna, którego szyba została roztopiona. Dwa blaszaki Webstera Foote'a wyginały się nad ramą, fotografowały i analizowały dokładnie rozmiar zniszczeń, zapisywały wielkość odkształcenia, obliczały ciśnienie, które trzeba było wywrzeć, żeby doprowadzić do takiego efektu.

Blaszaki Foote'a skrupulatnie zbierały dane. Ale on sam nie odczuwał niczego, gapił się bezmyślnie na pokój. Cała ta sprawa nie interesowała go, nie czuł się w nią zaangażowany.

– Plama krwi, panie Foote – poinformował go jeden z blaszaków.

– Świetnie – odparł bez cienia zainteresowania.

Blaszak Lindbloma, który otworzył głęboko schowaną za szafą skrzynkę, rzekł do niego:

– Receptor fal mózgowych ma w swojej pamięci zapis mówiący o obecności...

– Człowieka – zgadł Foote. – Który przechodził obok niego i emitował fale alfa.

– Również rejestrator foniczny zapisał...

– Głos człowieka – dokończył Foote. – Przyszedł tu, by zabić śpiącą ofiarę, a mimo to odezwał się, i to na tyle głośno, żeby się nagrać na taśmę żelazową.

– Nie tylko głośno – dodał blaszak – ale i wyraźnie. Czy chciałby pan, żebym odtworzył tę część zapisu?

– Nie, dzięki. Poczekam – mruknął Foote.

Nagle jeden z jego blaszaków aż zapiszczał metalicznym odgłosem triumfu.

– Trzy ludzkie włosy. Nie należące do ofiary.

– Pracujcie dalej – rzekł Foote. Na pewno znajdziecie więcej wskazówek, dzięki którym będzie można zidentyfikować mordercę, pomyślał. Mamy zapis jego fal mózgowych, głosu, znamy jego ciężar, kolor włosów, kropla krwi... chociaż to dosyć dziwne, że tak nagle, ni stąd, ni zowąd skapnęła kropla krwi, i to dokładnie na środek pokoju. Jedna kropla i ani krztyny więcej.

W ciągu następnych paru minut odnaleziono włókna z materiału. Później, na niskim stoliku odkryto odciski palców nie należące do ofiary.

– Możecie już dać sobie spokój – rzekł Foote do swoich blaszaków.

– Ależ, sir – zaprotestował jeden – możemy jeszcze znaleźć...

– To wszystko – uciął Foote. – Wszystko, co zostawia standardowy model 2004 Eisenwerke Gestaltmacher. Głos, odciski palców, włosy, kropla krwi, włókno z materiału, wskazówki dowodzące ciężaru napastnika, idiosynkratyczne fale mózgowie typu alfa... To pełen zakres dowodów, zresztą zupełnie wystarczający. Na ich podstawie każdy poprawnie działający komputer natychmiast wyrzuciłby kartę sygnałową: „Masz siedem czynników charakteryzujących”. Przy czym właściwie sześć z nich było niepotrzebnych. Wystarczyły same odciski palców albo zapis fal mózgowych.

To właśnie tak go denerwowało w tym zachodnioniemieckim wynalazku z czasów wojny. Maszyna była nadgorliwa. Dziewięćdziesiąt procent jej obwodów i funkcji mogłoby zostać usuniętych... Wtedy, podobna do przenośnego telewizorka, miałaby właściwą masę. Ale nie, na tym polegała właśnie niemiecka mentalność. Ich uwielbienie dla *Gestalt* i doskonałego obrazu sytuacji.

Teraz dysponował już wszystkimi danymi i tylko o jedno musiał zapytać komputer populacyjny. Do wyboru miał trzy, a każdy z nich zawierał ogromny zbiór danych, bibliotekę referencyjną, dzięki której można było prowadzić poszukiwania kontekstowe. Dziwnym zbiegiem okoliczności biblioteka taka zawierała przede wszystkim dane na temat cech osobowych, które jego blaszaki właśnie określiły w ciągu godziny pracy w obu pokojach.

Może pojechać do Moskwy. Wielki BB-7 znalazłby prawdopodobnie kartę referencyjną, do której jak ulał pasowałyby znalezione dowody. Mógł też skorzystać ze 109-A-3 w Estes Park, albo nawet Megawaka 6-V w Agencji Yansowców w Nowym Jorku. Mógł go użyć, mimo że Megawak był dość niewielką i wyspecjalizowaną maszyną, zawierającą jedynie dane dotyczące byłych i obecnych Yansowców. A Foote czuł, że dane pasować będą do Yansowca, a nie jednego spośród wielu milionów podziemnych osadników, których istnienie było w komputerach pominięte. Czemu więc nie zacząć od Megawaka?

Natychmiast znalazł jeden, ale za to bardzo dobry powód. Jego klient, Stanton Brose, w swojej twierdzy w Genewie zostanie o tym powiadomiony, pierwszy otrzyma dane wprowadzone do komputera i oczywiście nazwisko pasującej do nich osoby.

A wszystkim zainteresowanym zależy, aby Brose otrzymał te informacje.

W takim razie należy zacząć od BB-7 w Moskwie, który leży daleko poza zasięgiem Brose'a.

Kiedy Foote i jego dwa blaszaki, każdy z ciężkimi walizami, wsiadali do fruwadła, właściciel firmy policyjnej zastanawiał się, czyją kartę wypluje komputer... I kto, przynajmniej teoretycznie, stanie przed wymiarem sprawiedliwości. Na którego Yansowca zaprogramowano Gestaltmachera? Na siedzeniu obok postawił ostrożnie atrapę małego telewizorka, którego ciężar był zdecydowanie za duży. Cechy tej nie dało się ukryć, i to właśnie zdradzało urządzenie, które potrafiło naśladować kształtem każdy przedmiot podobnej wielkości, ale nie mogło w żaden sposób uniezależnić się od grawitacji.

Domyślał się już, kogo wskaże komputer. Interesujące będzie sprawdzenie, czy i tym razem przecucie go nie zawiodło.

Trzy godziny później, po smacznej drzemce, jaką sobie uciął, gdy fruwadło samo kontrolowało lot, Webster Foote dotarł do Moskwy.

Daleko przed nim leżały porzucane w nieładzie instalacje studia filmowego Eisenbludta. Jak zwykle zainteresowany pracami prowadzonymi w tej największej na świecie fabryce atrap,

Foote przyglądał się wszystkiemu z zaciekawieniem. Zauważył, że od czasu jego ostatniej wizyty studio znowu się rozrosło. Jak spod ziemi wyrosło parę nowych, skonstruowanych przez blaszaki budynków z posklejanych kamieni. Prawdopodobnie wewnątrz rojno było jak w ulu. Przygotowywano nowe makiety miast, które miały ulec całkowitej zagładzie... o ile pamiętał, następne w planach Agencji było San Francisco. Bez wątpienia oznaczało to konieczność wybudowania makiet mostów, oceanu, wzgórz. Pracujący tutaj artyści robili wszystko, żeby ich dzieło było jak najpiękniejsze.

A tam, w miejscu, gdzie znajdował się kiedyś Kreml, zanim jeszcze amerykański pocisk samonaprowadzający Queen Dido w czasie trzeciej wojny światowej rozniósł w drobny pył czerwoną, starą cegłę, znajdowała się druga na świecie co do wielkości willa marszałka Harenzanego.

Oczywiście posiadłość Brose'a w Genewie była o wiele większa. Mimo to jednak wielki park, gdzie wznosiły się potężne, przypominające pałace, budzące zachwyt budynki, naprawdę robił wrażenie. W posiadłości Harenzanego nie wyczuwało się jednak obecności fatum, jakie wisiało nad willą Brose'a. Podobnie jak jego kolega w ZachDemie marszałek był przecież prawdziwym żołnierzem, a nie pol-komem *ex mero motu* sybarytą. Był to po prostu wielbiący zabawę człowiek. Człowiek, który lubił żyć.

Ale podobnie jak generał Holt, pomimo swojej teoretycznej kontroli nad armią zahartowanych w bojach blaszaków, pozostawał pod jarzmem Brose'a.

Kiedy fruwadło lądowało, Foote zadawał sobie pytanie: W jaki sposób osiemdziesięciodwuletniemu zgrzybiałemu, ale nadal niezwykle przebiegłemu wariatowi, wążącemu Bóg wie ile kilogramów, udaje się utrzymać władzę? Czy to prawda, że ma on w Genewie elektroniczne, niezawodne urządzenie, dzięki któremu w razie kryzysu może przejąć władzę nad armiami Holta i Harenzanego? Czy też jest to coś głębszego i bardziej skomplikowanego?

Być może, zdecydował, jest to coś, co sekta chrześcijan nazywa „sukcesją apostolską”? Przed trzecią wojną światową sztaby główne DemoLudów i ZachDemu dzierżyły najwyższą władzę. Wszelkie cywilne ciała rządowe pozostawały jedynie relikdami przeszłości. Takie właśnie współzawodniczące ze sobą siły militarne jawią się w filmach Gottlieba Fischera. Siły te rządziły dzięki cynicznej i niezwykle wyszukanej manipulacji wszelkimi mediami informacyjnymi, włącznie z oplakatowanymi ścianami wiejskich stodół. Ale tak naprawdę to nie one, lecz Gottlieb Fischer manipulował mediami.

Kiedy nadeszła wojna, obie siły zawarły układ. W tym momencie Fischer co prawda już nie żył, ale zostawił swojego ucznia, Stantona Brose'a.

Ale wyglądało na to, że sprawa ma także drugie dno. Może chodziło o charyzmę Brose'a? Tę magiczną aurę, która otaczała wielkich przywódców znanych z historii, takich jak Gandhi,

Cezar, Innocenty III, Wallenstein, Luter, Roosevelt? A może po prostu o to, że Brose był Brose'em? Rządził od momentu zakończenia wojny. Stał się półbogiem i uzurpował sobie najwyższą władzę. Zresztą również przedtem dysponował już nie lada potęgą. Odziedziczył studia i instrumenty należące wcześniej do Fischera. Fabrykę atrap *sine qua non*.

Śmierć Fischera, tak nagła i tragiczna, gdzieś daleko w Kosmosie, była naprawdę zagadkowa.

Chciałbym mieć tę maszynę do podróży w czasie, która dzięki swojej władzy oglądał tylko Brose, marzył Foote. Wysłałbym w przeszłość parę detektorów, które dokonałyby zapisu audio i wideo... Przymocowałbym elektroniczne ogony Brose'owi i Fischerowi, które rejestrowałyby ich poczynania w tamtych dniach, po roku 1982. Poza tym nakazałbym obserwowanie Gottlieba Fischera aż do chwili śmierci, żeby zobaczyć, co naprawdę się stało, kiedy statek wracający z Wenus usiłował odrzucić silniki zapasowe, po czym eksplodował.

Wysiadając z fruwadła, usłyszał, jak wideofon pokładowy wydał z siebie pinnngggg. Była to transmisja z kwatery głównej w Londynie. Prawdopodobnie dzwonił Cencio, który kierował firmą w czasie jego nieobecności.

Wchodząc z powrotem do fruwadła, Foote włączył wideofon.

– Tak, chłopcze?

Na ekranie ukazała się miniaturowa twarz Cencia.

– Mam już animację sektora, w którym znajdowało się źródło promieniowania lasera.

– Jakiego lasera?

– Tego, który zniszczył te dwa blaszaki Yansowca Davida Lantano. Nie pamięta pan?

– Ach tak, teraz sobie przypominam. No i co? Kto albo co wystrzeliło tę wiązkę? Pewnie jakiś Yansowiec, ale który?

– Nasze ujęcie jest oczywiście skierowane pionowo z góry – ciągnął Cencio. – Więc trudno jest rozpoznać osobę. Ale... – Umilkł.

– Mów, do cholery – niecierpliwił się Foote. – Właśnie wybieram się do biura marszałka Harenzanyego i...

– Zgodnie z tym, co widać na filmie nakręconym przez naszego satelitę, człowiekiem, który wystrzelił promień lasera, był Talbot Yans – wypalił Cencio. Zapadła cisza. Foote nie mógł wykrztusić słowa. – W każdym razie – ciągnął Cencio – wygląda jak Yans.

– To znaczy?

– Dokładnie tak samo. Powiększyliśmy obraz do rozmiarów naturalnych. Jest to dokładnie ta sama osoba, którą widzimy...To znaczy, którą wszyscy widzą na ekranach telewizyjnych. Bez cienia wątpliwości.

A ja mam zaraz wejść do biura Harenzanyego, pomyślał Foote. Szkoda, że nie będę teraz mógł myśleć o niczym innym niż o rewelacjach Cencia.

– W porządku, chłopcze – rzekł głośno. – Dziękuję. A tak przy okazji: niech Bóg ci wynagrodzi wspaniale dobrany psychologicznie moment na przekazanie mi takiej informacji. Tylko tego mi brakowało.

Wyłączył wideofon, zawahał się, po czym wyszedł z zaparkowanego fruwadła, pozostawiając dwa nieruchome blaszaki.

Zrobił to Yans, pomyślał. Zabił Arlene Davidson, potem Boba Higa, Verne'a Lindbloma, a teraz zaczął się na Josepha Adamsa. Potem prawdopodobnie przyjdzie kolej na samego Brose'a i jego gliniarza, czyli mnie.

Kukła przymocowana do dębowego stołu, programowana przez Megawaka 6-V, stała za głazem w Cheyenne i wystrzeliła w kierunku dwóch blaszaków promień śmierci. Żeby ocalić życie jakiegoś biednego osadnika, który przedostał się na powierzchnię, by zaczerpnąć świeżego powietrza i przez chwilę popatrzeć na słońce. W tej chwili był to już były osadnik chowający się wraz z innymi w ruinach Cheyenne, wegetujący i czekający na Bóg wie jaki cud. Potem atrapa zwana Talbot Yans powróciła niepostrzeżenie do swojego dębowego stołu, przymocowała się do niego i znów zaczęła realizować zadania komputerowo programowanej kukły czytającej przemówienia.

Akceptując całe szaleństwo tej myśli, zrezygnowany Webster Foote schodził na dolną rampę dachu, do biura marszałka Harenzanyego.

Pół godziny później, zaopatrzony przez jednego z urzędników Harenzanyego w wielki dokument oficjalnie zezwalający na użycie komputera, stał przed wielkim, radzieckim BB-7. Przy pomocy przyjaznych mu, grzecznych radzieckich techników wprowadził siedem rzekomych elementów opisu dotyczącego zabójcy, które znalazły jego blaszaki. Ślad podpowiedzi pozostawionych przez Gestaltmachera.

BB-7, ogromna maszyna sięgająca sufitu, zaczęła obróbkę danych i sortowanie zawartych w pamięci kart referencyjnych ludzi. Po chwili z otworu w komputerze wypadła, tak jak podejrzewał Foote, tylko jedna podłużna, karta perforowana, która trafiła do małego koszyczka.

Foote podniósł ją i przeczytał nazwisko.

Przeczucie go nie zawiodło. Podziękował usłużnym radzieckim technikom i zaczął wdrapywać się na górną rampę, gdzie zaparkowane było jego fruwadło.

Na karcie widniał napis: BROSE STANTON.

Dokładnie tak, jak przewidywał.

Gdyby Gestaltmacher, który leżał teraz w swojej zakamuflowanej formie pod postacią przenośnego telewizorka zdołał uciec... Gdyby Lindblom nie miał w domu alarmu... Z punktu widzenia prawa dowody byłyby niepodważalne. Wskazywałyby ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie Stanton Brose, człowiek, który zatrudnił Foote'a do prowadzenia śledztwa, był zabójcą. Co oczywiście mijają się z prawdą, czego najlepszym dowodem był przedmiot leżący

przy właścicielu firmy policyjnej.

Chyba że się mylił. A jeśli nie był to Gestaltmacher? Tego nie mógł przecież wiedzieć na pewno, a w każdym razie nie może tego udowodnić, dopóki nie otworzy urządzenia i nie sprawdzi, jak działa.

W tym samym czasie, kiedy on i jego pracownicy w warsztatach będą starali się otworzyć urządzenie, a z pewnością będzie to długa i ciężka walka, Brose będzie wydzwaniał co chwila domagając się, by mu powiedziano, na kogo wskazują ślady zebrane w willi Lindbloma.

Już widział, jak mówi: „Na pana, panie Brose. To pan jest mordercą. Dlatego też niniejszym aresztuję pana i dopilnuję, żeby stanął pan przed Trybunałem”.

Doprawdy, śmieszny pomysł. Foote nie miał jednak ochoty się śmiać. Nie bawiła go ta myśl ani walka, jaką będzie musiał stoczyć z urządzeniem, żeby je otworzyć. Zbudowane zostało z tak trwałych tworzyw sztucznych, że nie mogły ich naruszyć ani zwykłe wiertła, ani pola termiczne...

Równocześnie Foote zastanawiał się cały czas: Czy Talbot Yans rzeczywiście istnieje? A jeśli tak, to w jaki sposób jest to możliwe?

Zupełnie nie mógł tego pojąć.

Jednak natura jego pracy wymagała, aby to właśnie on, a nie kto inny, rozwikłał tę zagadkę. Bo jeśli nie on, to kto mógł tego dokonać.

Na razie nic Brose'owi nie powiem, zdecydował Foote. W każdym razie zdradzę mu tylko tyle, ile będę mógł.

Jego intuicja wciąż go nie opuszczała. Nikt, również on, nie skorzysta na przedstawieniu Stantonowi Brose'owi faktów.

Ponieważ Brose – i to właśnie nie dawało Foote'owi spokoju – będzie wiedział, co oznaczają te fakty i co należy z nimi zrobić.

Brodaty były osadnik Jack Blair rzekł ze smutkiem do Nicholasa: – Obawiam się, że nie mamy dla ciebie koi, Nick. W każdym razie jeszcze jej nie mamy. Będziesz musiał rozłożyć się na cemencie.

Stali w ciemnej piwnicy budynku, w którym niegdyś mieściła się siedziba jakiejś firmy ubezpieczeniowej. Firma przestała istnieć dawno temu, podobnie jak jej betonowo-stalowa konstrukcja. Pozostała jednak piwnica, z której istnienia wszyscy bardzo się cieszyli.

Wokół siebie Nicholas widział innych byłych osadników, którzy teraz mieszkali na powierzchni. Byli jednak nadal całkowicie bezradni i pozbawieni godności. Zabrano im wszystko, co kiedyś do nich należało.

– No cóż, chyba nigdy nie odziedziczymy Ziemi – rzekł Blair, widząc wyraz twarzy Nicholasa. – Może nie byliśmy wystarczająco potulni.

– Chyba raczej byliśmy zbyt potulni – odparł Nicholas.

– Zaczynasz odczuwać nienawiść – zaczął ostro Blair. – Pragniesz tylko odgryźć się na nich. Świetnie. Ale w jaki sposób? Jeśli coś wymyślisz, oświeć nas. Wszystkich. A tymczasem... – Zaczął rozglądać się wkoło. – Na razie powinienes się raczej zająć miejscem do spania. Lantano dał nam...

– Chciałbym się spotkać z tym Lantanem – rzekł Nicholas. – Jedyne Yansowiec, który, jak mi się wydaje, ma jeden albo dwa przyjazne geny. – Może dzięki niemu mógłbym dostać się do sztucznych narządów, pomyślał.

– Pewnie wkrótce ci się to uda – odparł Blair. – Zazwyczaj o tej porze wpada do nas. Rozpoznasz go po ciemnej karnacji, która jest skutkiem promieniowania. – Spojrzał w górę i dodał, ścisząc głos: – Właśnie przyszedł.

Mężczyzna, który wszedł do piwnicy, nie był sam. Stłoczona za nim grupka blaszaków ugięła się pod pakunkami zawierającymi zapasy dla eksosadników ukrywających się w ruinach. Mężczyzna rzeczywiście był ciemny. Jego skóra miała czerwonobrazowy odcień. Nicholas zorientował się jednak, że powodem takiego wyglądu nie było promieniowanie.

Kiedy Lantano szedł przez piwnicę, mijając koje, przechodząc nad leżącymi ludźmi, ich dobytkiem, od czasu do czasu witając się i uśmiechając, Nicholas myślał: Mój Boże, kiedy wszedł, wyglądał na starego i zmęczonego człowieka. Teraz jednak, kiedy go widzę z bliska, wygląda raczej na czterdziestkę. Lantano wydaje się o wiele starszy z powodu swojej szczupłości i dziwnego, sztywnego kroku. Wygląda to tak, jakby był bardzo ostrożny i bał się, że zaraz stanie mu się jakaś krzywda.

Podchodząc do niego, Nicholas rzekł:

– Panie Lantano.

Mężczyzna ze swiatą blaszaków, właśnie otwierał tobołki i rozdawał ich zawartość. Zamarł i spojrzał na Nicholasasa.

– Tak? – rzekł, uśmiechając się zdawkowo na powitanie. Blair pociągnął Nicholasasa za rękaw.

– Nie trzymaj go tu zbyt długo. Pamiętaj, że jest chory. Od promieniowania. Musi wracać do swojej willi, żeby się położyć. – Tu zwrócił się do ciemnoskórego mężczyzny: – Prawda, panie Lantano?

Mężczyzna skinął głową, patrząc na Nicholasasa.

– Tak, panie Blair. Jestem chory. Inaczej przychodziłbym tu częściej.

Lantano odwrócił się, żeby sprawdzić, czy jego blaszaki rozdają żywność tak szybko i sprawnie, jak to możliwe.

– Pewnie był ciemieźony i pogardzany – mruknął Nicholas. Lantano natychmiast odwrócił się do niego i spojrzał przenikliwie. Jego czarne, głęboko osadzone oczy ciskały gromy, jakby były naładowane elektrycznością, jakby emitował zmagazynowaną w swoim wnętrzu energię. Nicholas poczuł lęk.

– Tak, przyjacielu, o co chciałeś mnie poprosić? O łóżko do spania? – spytał Lantano.

– Właśnie – wtrącił szybko Blair. – Skończyły nam się koje, panie Lantano. Potrzeba nam co najmniej dziesięciu. Prawie codziennie pojawia się ktoś taki jak ten Nick St. James i szybko pozbywamy się zapasów.

– Być może iluzja jest już coraz słabsza – zastanawiał się na głos Lantano. – Od czasu do czasu zdarzają się pomyłki. Słaby sygnał wideo, który łatwo da się zakłócić... czy z tego powodu wyszedłeś na powierzchnię, Nick?

– Nie – odparł Nicholas. – Potrzebuję trzustki. Mam dwadzieścia tysięcy dolarów. – Sięgnął do kieszeni czegoś, co po ataku blaszaka pozostało z jego płaszcza. Nie znalazł tam jednak portfela. Musiał wypaść w momencie, gdy blaszak go pochwyił albo kiedy go ciągnął. Mógł też wylecieć z płaszcza w trakcie wielogodzinnego marszu. Nie wiadomo. Nicholas stał bez ruchu, nie wiedząc, co ma począć i powiedzieć. Patrzył więc tylko w milczeniu na Lantana.

Po długiej pauzie Lantano rzekł wreszcie:

– I tak nie mógłbym jej załatwić, Nick. – Głos Lantana brzmiał cicho, ale w tonie wyraźnie wyczuwało się współczucie. Natomiast jego oczy płonęły. Wciąż przepełniał je ogień, który oznaczał coś więcej niż tylko życie. Był czymś pierwotnym i wykraczał poza jednostkę, poza zwykłego śmiertelnika. Czerpał swoją energię z jakiegoś tajemniczego źródła, którego Nicholas nie znał, wręcz nie miał pojęcia, czym mogłoby ono być. Nigdy czegoś takiego nie widział.

– Mówiłem ci – przypomniał mu Blair – że ten Brose...

– Czy kiedy mówiłeś o kimś, kto „był ciemieźony i pogardzany”, miałeś mnie na myśli? – spytał Lantano. Wskazał na orszak blaszaków, które zakończyły już rozdzielanie zapasów

między byłych osadników. – Wcale tak źle mi nie idzie, Nick. Mam czterdzieści blaszaków, całkiem nieźle jak na początek. Szczególnie że z punktu widzenia prawa to nadal jest miejsce o podwyższonej radioaktywności, a nie posiadłość.

– A kolor twojej skóry? – spytał Nicholas.

– Na Boga! – zdenerwował się Blair, łapiąc Nicholasa za ramię i nerwowo odciągając od Lantano. Szepnął mu prosto w ucho: – I co chcesz w ten sposób osiągnąć? Zawstydić go? On wie, że jest poparzony. Mój Boże, przychodzi do nas i utrzymuje nas przy życiu, a ty...

– Ależ on wcale nie jest poparzony – odparł Nicholas. Jest Indianinem, dodał w duchu. Jak mi się zdaje, Czirokezem czystej krwi, sądząc po kształcie nosa. Dlaczego w takim razie tłumaczy kolor swojej skóry skutkami promieniowania? Czy istnieje jakieś prawo, które zabraniałoby Indianom być... Nie mógł sobie przypomnieć tego terminu. Yansowcami. Tymi, którzy rządzą. Może władzę mogą dzierżyć tylko biali, jak w dawnych, rasistowskich czasach.

– Panie St. James, Nick – odezwał się Lantano. – Żałuję, że pierwsze spotkanie z moimi blaszakami okazało się dla ciebie tak nieprzyjemne. Te dwa blaszaki były tak wrogo nastawione, ponieważ... – Zamilkł. Jego głos wydawał się spokojny, zupełnie jakby Lantano nie poruszyło to, co przed chwilą powiedział Nicholas. Najwyraźniej nie był zbyt drażliwy na punkcie koloru swojej skóry. Blair się mylił. – Inni właściciele posiadłości, którzy mają swoje ziemie w tej okolicy, chcieliby również zagarnąć i tę działkę. Przysyłają więc swoje blaszaki, żeby dokonywały pomiarów promieniowania. Mają nadzieję, że jest ono na tyle wysokie, iż mnie zabije, a wtedy będą mogli podzielić ziemię między siebie. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A rzeczywiście jest tak wysokie? – zainteresował się Nicholas. – Co wynika z pomiarów blaszaków naślanych przez okolicznych właścicieli?

– Nic. Bo blaszaki nigdy nie dożywają końca swojej misji. Moi metalowi kompani niszczą je. Jak wysokie jest tu promieniowanie, to wyłącznie moja sprawa. Ale, sam rozumiesz, z tego powodu moje blaszaki są wrogo nastawione. Spróbuj to zrozumieć, Nick. Musiałem wybrać najtwardszych weteranów wojennych. Potrzeba mi ich hardości, wyszkolenia i umiejętności. Yansowcy – słyszałeś chyba już ten termin – cenią sobie nowe, nieuszkodzone, piękne blaszaki, które produkowane są pod ziemią. Ale ja mam specyficzne potrzeby. Muszę się bronić. – Jego głos był melodyjny, przypominał pieśń. Nicholas musiał się jednak wysilić, żeby usłyszeć melodię. Tak jakby Lantano stawał się nierzeczywisty i odpływał gdzieś w nieznane.

Nick spojrział raz jeszcze na czerwonoskórego mężczyznę i zauważył teraz wyraźne rysy świadczące o dojrzałym wieku. Widok ten wydał mu się dziwnie znajomy. Jak gdyby teraz Lantano stał się zupełnie innym człowiekiem.

– Nick – rzekł cicho Lantano – co mówiłeś o mojej skórze?

Zapadła cisza. Nick nie odpowiedział.

– Mów, śmiało – zachęcał Lantano.

– Jesteś... – przyjrzał się badawczo Indianinowi i teraz zamiast starszego mężczyzny, ujrzał... młodzieńca. Energicznego mężczyznę młodszego od siebie. Mógł mieć nie więcej niż dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. To pewnie z powodu napromieniowania, pomyślał Nicholas. Niszczy każdą komórkę jego szpiku. Wysusza, powoduje zwapnienie, przyspiesza rozpad ścian komórkowych i tkanek. Lantano jest chory, Blair miał rację.

A jednak ozdrowiał. I to na jego oczach. Wyglądało to tak, jakby oscylował: chwilami poddawał się promieniowaniu, z którym musiał żyć dwanaście godzin dziennie, po czym zbierał się w sobie i ożywał.

Czas owijał się wokół niego i buszował podstępnie w jego organizmie. Ale tak naprawdę nigdy nie przejmował nad nim kontroli. Nigdy do końca nie wygrywał.

– „Błogosławieni niosący pokój” – rzekł Nicholas, po czym zamilkł. Wyglądało na to, że było to wszystko, co umiał w tej chwili wnieść do rozmowy. Nie mógł powiedzieć, co wiedział dzięki swojemu hobby, dzięki zainteresowaniu, któremu hołdował od lat, a które dotyczyło Indian północnoamerykańskich, pozostałych po nich znalezisk i kulturze. Dzięki swemu hobby wiedział coś, o czym nie mieli pojęcia eksosadnicy. Ich fobia przed radiacją, fobia rozwijająca się latami pod powierzchnią ziemi, teraz jeszcze spotęgowana, wprowadzała ich w błąd, ukrywając przed ich oczyma to, co dla niego było oczywiste.

A mimo to był zaskoczony, ponieważ najwyraźniej Lantano chciał, żeby wszyscy byli w błędzie i myśleli, że jest okaleczony, poparzony przez promieniowanie. I trzeba przyznać, że istotnie był okaleczony. Może nie na powierzchni ciała, ale głęboko, w środku. Tak więc właściwie można było powiedzieć, że eksosadnicy mieli rację.

– Czemu niosący pokój są błogosławieni? – spytał Lantano. Nicholas nie wiedział, co odpowiedzieć. A przecież to on wypowiedział to zdanie.

Nie wiedział, o co właściwie mu chodziło. Ta fraza przyszła mu do głowy, kiedy rozmyślał o Lantanie. To wszystko. Tak jak poprzednio, jego umysł przeszło inne spostrzeżenie. Spostrzeżenie dotyczące pogardzanego i odrzuconego człowieka. A człowiekiem tym był... No cóż, w głębi ducha wiedział, kim był ten człowiek, mimo iż większość mieszkańców Tom Mix brała udział w niedzielnych mszach jakby z obowiązku. Dla niego jednak msze były ważne. On wierzył. Podobnie jak wierzył – chociaż odpowiedniejszym słowem byłoby chyba „obawiał się” – iż pewnego dnia będą musieli dokładniej poznać sposób, w jaki północnoamerykańscy Indianie zdołali przeżyć. Gdyż być może kiedyś oni również będą musieli poznać sztukę ciosania kamiennych ostrzy do strzał i garbowania skór zwierzęcych.

– Wpadnij do mojej willi – rzekł Lantano. – Parę pokoi jest już wykończonych. Mieszkam sobie spokojnie, w czasie gdy hałaśliwi, metalowi służący taszczą betonowe bloki i kamienie, które kiedyś tworzyły budynki banków, autostrady, zajazdy i...

– Czy mógłbym tam zostać przez jakiś czas? – przerwał mu Nicholas.

Po chwili milczenia Lantano odparł:

– Oczywiście. Mógłbyś pilnować, żeby moja żona i dzieci nie padły łupem drapieźnych blaszaków z sąsiednich posiadłości w czasie, kiedy ja jestem w Agencji. Możesz być szefem mojej małej, obronnej żandarmerii. – Odwrócił się i skinął na swoją świtę, która gęsiego zaczęła wychodzić z piwnicy.

– Widzę, że idziesz na całość – mruknął nerwowo Blair.

– Przykro mi – odrzekł Nicholas. Nie wiedział, dlaczego Lantano złożył mu taką propozycję. Dlaczego zaprosił go do willi. Dziwne, pomyślał. Jest coś zastanawiającego w tym człowieku, który na pierwszy rzut oka jest stary, potem wydaje się w średnim wieku, aby w rezultacie, po bliższych oględzinach, okazać się młodzieńcem. Żona i dzieci? W takim razie nie może być tak młody, na jakiego wygląda. David Lantano, wychodzący prężnym krokiem z piwnicy, poruszał się jak dwudziestoparoletni mężczyzna w najlepszej formie, nie przytłoczony jeszcze ciężarem odpowiedzialności za rodzinę.

Czas, myślał Nicholas, jest siłą zupełnie od nas niezależną. W przypadku Lantano jednak siła ta kapituluje. Wygląda na to, że już go chwytą i przenosi zgodnie ze swoim kierunkiem, kiedy Lantano bierze ją za łeb i stawia jej opór.

Ruszył z Yansowcem i jego świtą blaszaków. Wyszli z piwnicy wprost na szare światło zmierzchu.

– Kolorowe zachody słońca rekompensują nam zakopconą atmosferę. – Lantano zatrzymał się. – Czy widziałeś kiedyś Los Angeles w smogu?

– Nigdy nie mieszkałem na Zachodnim Wybrzeżu – odparł Nicholas. Potem pomyślał: Smog przestał wisieć nad Los Angeles przed 1980. Wtedy jeszcze nawet się nie urodziłem. – Lantano, ile ty masz lat?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Wysoko na niebie jakiś kształt przeleciał powoli ze wschodu na zachód.

– Satelita – zauważył podniecony Nicholas. – Mój Boże. Już tyle lat nie widziałem żadnego satelity.

– Szpiegowski – wyjaśnił Lantano. – Robi zdjęcia. Wszedł w atmosferę, żeby mieć lepsze ujęcie. Ciekawe dlaczego. Co takiego ciekawego się tu dzieje? Rywalizacja właścicieli sąsiednich posiadłości? Oni na pewno chcieliby widzieć mojego trupa. Czy ja wyglądam na trupa, Nick? – Zatrzymał się. – Powiedz. Czy to, co widzisz, to zwłoki? Jaka jest twoja opinia na ten temat? Czy ciało, które wisiało... – Zamilkł, odwrócił się i nie kończąc zdania, ruszył dalej.

Pomimo zmęczenia czterogodzinną wędrówką, jaką odbył od miejsca, w którym wyszedł na powierzchnię, do Cheyenne, Nicholas nadażał jakoś za Yansowcem. Miał nadzieję, że posiadłość nie znajduje się zbyt daleko.

– Nigdy jeszcze nie widziałeś willi na terenie posiadłości, prawda? – spytał Lantano.

– Nigdy jeszcze nie widziałem posiadłości – odrzekł Nicholas.

– W takim razie przelecimy nad paroma – zaproponował Lantano. – Fruwadłem. Widok z góry jest bardziej interesujący. Ziemia wygląda jak park, żadnych dróg, żadnych miast. Jak z obrazka, tylko że wszystkie zwierzęta wymarły. Wyzdychały już na dobre.

Maszerowali szybko. Nad ich głowami satelita prawie znikł za linią horyzontu, w szarej, przypominającej smog mgłę, która miała jeszcze wisieć tak przez wiele pokoleń.

Cencio, ślęcząc nad fragmentem pozytywu z lupą przy prawym oku, rzekł: – Dwóch mężczyzn. Dziesięć blaszaków. Idą przez ruiny Cheyenne w kierunku niedokończonej willi Lantana. Chce pan powiększenie?

– Tak – odparł natychmiast Webster Foote. Warto było nakazać satelicie zbliżenie się do obiektu. Dzięki temu mogli uzyskać znacznie lepszy obraz.

W pokoju zgasło światło, a na ścianie pojawił się biały prostokąt, będący projekcją obrazu przesyłanego z satelity i powiększanego przez kamerę tysiąc dwieście razy. Animator, ulubiona zabawka Foote'a, zaczął swą pracę. Dwanaście postaci, które pojawiły się właśnie na filmie, ruszyło do przodu.

– To ten sam facet, którego widzieliśmy z dwoma zniszczonymi blaszakami – zauważył Cencio. – A ten obok niego to nie Lantano. Lantano jest młodym mężczyzną. Ma dwadzieścia parę lat, a ten tutaj wygląda na czterdziestolatka. Postaram się odnaleźć jego teczkę i przygotować ją dla pana. – Cencio znikł w sąsiednim pokoju.

Webster Foote przyglądał się filmowi. Dwanaście postaci szło jedna za drugą. Wśród nich były osadnik, który wyglądał na dość zmęczonego, oraz człowiek, którym najprawdopodobniej jednak był David Lantano. Mimo że, jak twierdził Cencio, mężczyzna ten wyglądał co najmniej na czterdziestolatka. Dziwne, mruknął do siebie Webster Foote. To pewnie z powodu promieniowania, które go zabija, i to właśnie w ten sposób – wywołując przedwczesne starzenie. Lantano powinien zmywać się stamtąd póki czas.

– Widzi pan? – przerwał jego rozmyślenia Cencio, powracający z teczką Lantana. Włączył światło w pokoju i zatrzymał animację filmu. – Urodził się w 2002 roku. W takim razie ma dwadzieścia trzy lata. Ten facet na filmie to na pewno nie... – Ponownie wyłączył światło w pokoju. – To na pewno nie David Lantano.

– Może jego ojciec?

– Zgodnie z naszymi danymi jego ojciec zmarł przed wojną. – Cencio, pochylony przy małej lampce stojącej na biurku, przeglądał akta, w których firma zgromadziła informacje dotyczące Davida Lantano. – Wygląda na to, że Lantano jest byłym osadnikiem. Pewnego dnia wyszedł po prostu z ruin San Francisco i poprosił o schronienie w jednym z przytułków Runcible'a. Rutynowo został wysłany do Berlińskiego Instytutu Psychiatrycznego Waffen. Pani Morgen stwierdziła, że jest nadzwyczajnie uzdolniony. Zasugerowała też, że powinien zostać przyjęty do Agencji na okres próbny. Lantano zaczął pisać przemówienia i do tej pory nadal się tym para. Zresztą według naszych informacji przemówienia te są rzeczywiście nadzwyczajne.

– To na pewno on – upierał się Webster Foote. – Po prostu promieniowanie go zabija. Z powodu swojej chciwości i pragnienia posiadania własnej willi długo nie pożyje. Agencja

straci świetnego pracownika.

– Ma żonę i dwoje dzieci. A więc nie został wysterylizowany. Wszyscy razem wyszli z ruin San Francisco. Jakie to wzruszające.

– Pewnie zginą razem z nim. I to jeszcze przed końcem roku. Włącz animator, mój chłopcze.

Cencio posłusznie włączył urządzenie. Zmęczony był osadnik nadal ciągnął się za korowodem. Na kilka sekund dwóch mężczyzn znikło w cieniu na wpół zniszczonego budynku, po czym znowu wyszło na światło dzienne. Blaszaki niezmiennie maszerowały gęsiego przed nimi.

Nagle Webster Foote pochylił się do przodu i krzyknął:

– O mój Boże! Zatrzymaj animator!

Cencio posłusznie zatrzymał urządzenie. Sylwetki na ekranie zamarły w bezruchu.

– Możesz powiększyć samego Lantana? – spytał Foote.

Z wielką zręcznością Cencio manewrował powiększeniem obrazu, poruszając jednocześnie śrubą makro – i mikrometryczną. Sylwetka pierwszego z dwóch mężczyzn powiększała się na ekranie do momentu, aż wypełniła go całkowicie. Projektor pokazywał teraz tylko młodego, energicznego mężczyznę.

Cencio i Webster Foote patrzyli na obraz w ciszy pełnej konsternacji i podniecenia.

– No cóż, mój chłopcze. – Foote w końcu westchnął. – Teorię obrazów popromiennych mamy z głowy.

– Tak właśnie powinien wyglądać. Tak jak w tej chwili. W każdym razie to by się zgadzało z jego wiekiem wpisanym do akt.

– W archiwach zaawansowanej broni w nowojorskiej Agencji – zaczął Foote – jest pewnego rodzaju broń przenosząca w czasie. Majstrowali przy niej tak długo, aż przerobili ją na urządzenie przenoszące różne obiekty w przeszłość. Tylko Brose ma do niej dostęp. Ale po tym, co przed chwilą widzieliśmy, można by zaryzykować przypuszczenie, że Lantano w jakiś sposób dorwał się do oryginalnego urządzenia albo przynajmniej do tego, co zrobiła Agencja. Myślę, że dobrze byłoby monitorować Lantana dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeśli to oczywiście wykonalne. Czy moglibyśmy przyczepić kamerę jednemu z blaszaków z jego najbliższego otoczenia? Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to ryzykowne przedsięwzięcie, ale przecież nawet jeśli ją znajdzie, to najwyżej zniszczy. Na pewno nie uda mu się udowodnić, kto ją tam zainstalował. A my potrzebujemy tylko kilku ujęć. – Animator w tym czasie zakończył odtwarzanie filmu. Ponieważ nie mógł wyświetlać dalszej części widowiska, zabrzączał, a sylwetki na ekranie znowu zamarły.

Cencio włączył światło. Obaj mężczyźni rozprostowali kości, zastanawiając się nad obejrzanym dopiero co filmem.

– Jakich ujęć? – spytał Cencio.

– Lantana jako dojrzałego mężczyzny, kiedy wpada w te swoje oscylacje – odparł Foote.

– Może już więcej nic takiego się nie zdarzy?

– Może. Ale czy wiedziałeś... – Foote poczuł, że za chwilę znowu będzie miał jedną ze swoich pozazmysłowych wizji. Tym razem wrażenie było tak silne, jak nigdy dotąd. – On nie jest biały. To Metys albo Indianin, albo ktoś w tym rodzaju.

– Ale przecież Indian już nie ma – zaprotestował Cencio. – Pamięta pan ten artykuł, który ukazał się tuż przed wojną? Etniczny program przesiedleńczy rozpoczęty na Marsie objął prawie wszystkich. W pierwszym roku trwania programu, kiedy walki ograniczały się tylko do Marsa, wszyscy zginęli. Ci, którzy zostali na Ziemi...

– No cóż, ten w każdym razie z pewnością jest na Ziemi – zakończył dyskusję Foote. – Nie potrzebujemy dwudziestu Indian. Lecz tylko jednego. Przeoczonego.

Jeden z techników firmy podszedł do drzwi i nieśmiało zapukał.

– Panie Foote, sir. Przyniosłem panu raport dotyczący tego przenośnego telewizora, który mieliśmy rozłożyć na części.

– Pewnie otworzyliście go i okazało się, że jest to standardowy, przenośny model przedwojenny, kolorowego philco z trójwymiarowym obrazem i...

– Nie udało nam się go otworzyć...

– A co z rekseroidowymi wiertłami? – spytał Foote. Rekseroid, substancja obecna jedynie na Jowiszu, był tak twardy, że praktycznie rzecz biorąc, wwiercał się we wszystko. Właśnie na takie okazje Foote miał przygotowane wiertło rekseroidowe, które trzymał w swoim laboratorium w Londynie.

– Sir, obudowa urządzenia jest również zrobiona z rekseroidu. Wiertło wchodzi na ćwierć cała, po czym się tępi. Innymi słowy, mamy o jedno rekseroidowe wiertło mniej. Posłaliśmy już po nowe, ale będzie musiało nadejść z Księżyca. Nigdzie bliżej ich nie mamy. Również żaden Yansowiec nie ma takich wiertel, nawet Eisenbludt w Moskwie. A nawet jeśli ma, to na pewno nam nie da. Wie pan, jak bardzo dbają o swój prestiż. Boją się, że jeśli pożyczą komuś...

– Nie wygłaszaj mi kazań – powstrzymał go Foote. – Pracujcie dalej. Dobrze się przyjrzałem tej obudowie. To nie jest żaden stop. To musi być jakiś plastik.

– W takim razie jest to plastik, jakiego jeszcze nigdy nie widzieliśmy.

– To zaawansowana broń – rzekł Foote – niewątpliwie pochodząca z tajnych magazynów Agencji. Być może ktoś ją stamtąd wyniósł. Tak czy inaczej musiała być opracowana pod koniec wojny i nigdy nie została wykorzystana. Chcesz mi powiedzieć, że kiedy na nią patrzysz, nie rozpoznajesz wspaniałego, niemieckiego wykonania? To przecież Gestaltmacher. Dobrze go znam. – Uderzył się dłonią w czoło, jakby coś sobie przypominał. – Tak mi podpowiada dodatkowy guzek na płacie czołowym mojego mózgu. Ale nie mam na to żadnych dowodów. Kiedy jednak rozwalicie ten telewizor, przekonacie się. Znajdziecie wyrzutnie rozrzucające

krew, włosy, nitki z ubrania, odtwarzacze głosu i fal mózgowych, wysięgniki pozostawiające odciski palców. – Oraz homeostatyczną, homotropową strzałkę, dodał w myśli. To najważniejsze. – Oczywiście próbowaliście już go podgrzewać?

– Ale niezbyt mocno. Do dwustu czterdziestu stopni. Baliśmy się, że jeżeli przedobrzymy...

– Dojdźcie do trzystu pięćdziesięciu. I natychmiast meldujcie mi, jeśli zauważycie jakieś ślady wycieków.

– Tak jest, sir. – Technik się oddalił.

– Nigdy im się nie uda otworzyć tego telewizora – mruknął Foote do Cencia. – Ale obudowa nie jest wcale z rekseroidu. To obudowa termoplastyczna. Niemcy dysponowali tworzywem, które topi się w konkretnej temperaturze, z dokładnością do pół stopnia. W temperaturach niższych i wyższych tworzywo jest nawet twardsze od rekseroidu. Trzeba więc dojść do odpowiedniej temperatury. Wewnątrz urządzenia znajduje się cewka grzejna, która podgrzewa obudowę w momencie, gdy maszyna ma zmienić kształt. Jeśli będą próbować wystarczająco długo...

– A jeśli przesadzą z temperaturą – wtrącił Cencio – to wewnątrz pozostanie tylko popiół.

To była prawda, Niemcy pomyśleli nawet o tym. Mechanizm zbudowany był w ten sposób, że nagle działające czynniki zewnętrzne, takie jak ciepło, wiercenie, wszelkiego rodzaju próby dostania się do wnętrza, uruchamiały obwód autodestrukcji. Maszyna nie dokonywała jednak zniszczenia w łatwo zauważalny sposób. Niszczono były tylko jej obwody. Dlatego też ktoś wścibski kontynuował swoją pracę, aby w końcu, po długich wysiłkach zorientować się, że udało mu się dostać do pustego, wypalonego pudła.

Te opracowane pod koniec wojny urządzenia są zbyt inteligentne, pomyślał ze złością Foote. Cholernie inteligentne jak dla nas, zwykłych śmiertelników. Ciekawe, co też wymyślono by w czasie następnej wojny. Gdyby automatyczne fabryki nie zostały zniszczone, gdyby wszystkie znajdujące się na powierzchni warsztaty i laboratoria nie znikły... Tak jak to, które produkowało sztuczne narządy.

Włączył się interkom, przez który popłynął głos panny Grey:

– Sir, Yansowiec David Lantano czeka na połączenie z panem. Czy mam powiedzieć, że pana nie ma?

Foote spojrział na Cencia.

– Widział, jak satelita opuścił się w dolne warstwy atmosfery. Wie, że mamy na niego oko. Chce pewnie zapytać, o co chodzi. – Szybko starał się wymyślić jakiś powód. Może ze względu na byłego osadnika? Świetnie. Ma na niego haka, bo zgodnie z prawem Lantano musi przekazać psychiatrom w Berlinie wszystkich osadników, którzy wywiercą się na powierzchnię na jego terenie. Rzekł więc do interkomu: – Panno Grey, proszę go połączyć.

Na dużym ekranie wideo pojawia się twarz Davida Lantano. Webster Foote wpatrywał się

zafascynowany w młodą twarz, której właściciel znajdował się w tej akurat fazie cyklu czy też oscylacji. Tak czy inaczej była to zwykła twarz dwudziestoparoletniego mężczyzny.

– Nie miałem jak dotąd przyjemności pana poznać – rzekł grzecznie Foote (Yansowcy zazwyczaj uwielbiali pochlebny ton wypowiedzi). – Znam jednak pańskie przemówienia. Są nadzwyczajne.

– Potrzebujemy sztucznego narządu – odparł Lantano. – Trzustki.

– Ojej.

– Może pan ją dla nas zlokalizować. Wykopać choćby spod ziemi. Dużo zapłacimy.

– Niestety, to niemożliwe. – W umyśle Foote kłębiły się pytania: Dlaczego? Kto potrzebuje trzustki? Lantano? Czyżby jego przyjaciel, były osadnik, przekopał się na powierzchnię właśnie po to? Pewnie tak, a Lantano stara się mu pomóc. – Nie ma szans, panie Lantano. – W tym momencie jednak Foote'owi przyszedł do głowy pewien pomysł. – Proszę mi jednak pozwolić wpaść na chwilę do pańskiej willi. Mam parę map wojskowych z czasów wojny, ukazujących tereny, które nie zostały jeszcze zbadane, tam być może znajdują się ukryte sztuczne narządy. Są to odległe miejsca, w których niegdyś znajdowały się amerykańskie szpitale Sił Powietrznych. Alaska, północna Kanada. W najdalej umiejscowionych placówkach i na Wschodnim Wybrzeżu. Być może...

– Świetnie – zgodził się Lantano. – Może w takim razie o dziewiątej wieczorem w mojej willi? O dziewiątej mojego czasu, dla pana to będzie...

– Sir, sam mogę to obliczyć – przerwał mu Foote. – Przyjadę. Jestem pewien, że z pańskimi nadzwyczajnymi zdolnościami będzie pan umiał skorzystać z tych map. Może pan wysłać tam swoje blaszaki lub, jeśli pan woli, moja firma...

– A więc o dziewiątej mojego czasu, u mnie – zakończył rozmowę Lantano i rozłączył się.

– Po co? – spytał Cencio Foote'a po chwili milczenia.

– Żeby zainstalować kamerę – wyjaśnił Foote.

– Ach tak. – Cencio zaczerwienił się ze wstydu, że nie potrafi odgadnąć tak oczywistego powodu.

– Puść mi jeszcze raz ten film – rzekł z namysłem Foote. – Urywek, na którym Lantano wygląda na czterdziestoparolatkę. Zatrzymaj w momencie, gdy wygląda najstarszej. Gdy z nim rozmawiałem, zauważyłem na ekranie coś...

Cencio ponownie włączał sprzęt powiększający, animator, projektor.

– Co? – spytał.

– Wydawało mi się – ciągnął Foote – że starzejąc się, Lantano zaczyna kogoś przypominać. Nie wiem kogo, ale jest to na pewno ktoś, kogo bardzo dobrze znam. – Nawet kiedy oglądał młodego Lantana na ekranie miał to wrażenie. Coś jak *déjà vu*.

Chwilę później w przyciemnionym pokoju Foote przyglądał się ujęciu z Lantanem

w dojrzałym wieku. Postać ukazywano jednak z góry, a zdjęcie nie mogło być lepsze, gdyż sprzęt fotografujący umieszczony był nad obiektem, tak jak przenoszący go satelita. Ale czuł to mimo wszystko, ponieważ gdy satelita się przemieszczał, były osadnik i Lantano stanęli i spojrzeli w górę.

– Wiem już kogo – rzekł nagle Cencio. – Talbota Yansa.

– Tylko że Lantano jest ciemny – zauważył Foote.

– Ale gdyby zastosować wybielacz, ten dermatologiczny specyfik z czasów wojny...

– Nie, Yans jest znacznie starszy. Kiedy będziemy mieli dobre ujęcie Lantana w wieku, powiedzmy, sześćdziesięciu pięciu, a nie pięćdziesięciu lat, to może do czegoś dojdziemy. – A gdy dostanę się do jego willi, myślał Foote, to na pewno prędzej czy później dzięki naszej kamerze uda nam się takie ujęcie uzyskać. Zrobię to jeszcze dzisiaj, za kilka godzin.

Kim właściwie jest ten Lantano, pytał siebie w myślach Foote. Nie znał jednak odpowiedzi.

Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Ale przez te wszystkie lata nauczył się cierpliwości. Był profesjonalistą. W niewykończonej willi Lantana zainstaluje kamerę wideo, która prędzej czy później dostarczy mu potrzebnych informacji. Miał nadzieję, że już w niezbyt odległej przyszłości trzymać będzie w ręku wszystkie karty. Śmierć Davidson, Higa i Lindbloma, zniszczenie dwóch blaszaków, dziwne starzenie się Lantana i jeszcze bardziej zastanawiający fakt, że w miarę starzenia się Lantano coraz bardziej przypominał plastikowo-metalową kukłę przymocowaną do drewnianego stołu w Nowym Jorku... Będzie mógł wtedy wytłumaczyć ów zagadkowy fragment filmu ukazujący źródło promienia śmierci, który rozniósł w pył dwa blaszaki. Wcześniej wydawało mu się, że promień został wysłany przez kogoś podobnego jedynie do Talbota Yansa.

A teraz okazuje się, że był to David Lantano w bardzo późnej fazie swoich oscylacji wiekowych. Foote widział go już dziś w podobnym stanie. Najważniejszą kartę miał już w ręku.

No, Brose, myślał Foote, popełniłeś wielki błąd. Straciłeś monopol na dostęp do archiwów zaawansowanej broni. Ktoś dorwał się do sprzętu do podróżowania w czasie i chce go wykorzystać do zniszczenia ciebie. W jaki sposób dotarł do archiwów? Teraz to bez znaczenia. Najważniejsze, że jakoś mu się to udało.

– Gottlieb Fischer – rzekł na głos. – Pomysł Talbota Yansa wypłynął od niego. A więc wszystko rozegrało się dawno temu. – Natomiast ten, kto może podróżować w czasie, ma bezpośredni dostęp do przeszłości, zdał sobie sprawę szef korporacji policyjnej. Jest jakiś związek, zależność pomiędzy Davidem Lantano, niezależnie od tego, kim on jest, a Gottliebem Fischerem. Rok 1982 albo 1984, a może później, przed śmiercią Fischera. Nie później jednak, a prawdopodobnie zanim jeszcze Fischer zaczął pracę nad „Idea Yansa”, będącego wersją „Idei Führera”. Był to jego pomysł na rozwiązanie problemu, „kto powinien rządzić”, gdyż skoro ludzie są zbyt zaślepieni, by rządzić sobą sami, to w jaki sposób mogą rządzić innymi.

Rozwiązaniem był „ein Führer”, wiedział to każdy Niemiec, a Gottlieb Fischer był przecież Niemcem. Później Brose ukradł Fischerowi pomysł i wprowadził go w życie. Kukła, jedna w Moskwie, druga w Nowym Jorku, przybita do dębowego biurka, programowana przez komputer, który z kolei wykorzystywał przemówienia pisane przez świetnie wyszkolonych pomysłowców... Wszystko to zostało zaplanowane przez Stanton Brose’a, ale dotąd nikt nie podejrzewał, że Gottlieb Fischer ukradł oryginalny pomysł komuś innemu.

Gdzieś około roku 1982 niemiecki producent filmowy spotkał Talbota Yansa. Na pomysł swego Führera wpadł więc nie dzięki własnej kreatywności czy artystycznemu geniuszowi, lecz prostej obserwacji. Ale kogo mógł Gottlieb Fischer widywać około roku 1982? Aktorów. Setki aktorów. Przychodzili oni na castingi do ról w wielkich filmach dokumentalnych Fischera. Byli to aktorzy specjalnie dobrani z punktu widzenia podobieństwa do przywódców świata. Innymi słowy, aktorzy, którzy mieli w sobie tę charyzmę i magię.

Foote, skubiąc dolną wargę, rzekł z namysłem do Cencia:

– Wydaje mi się, że jeśli przejrzę wersję A i B, oba filmy Fischera, prędzej czy później w jednej z nakręconych przez niego scen zobaczę Talbota Yansa. Oczywiście ucharakteryzowanego, grającego czyjąś rolę. – Pewnie Stalina, zdecydował Foote. Albo Roosevelta. Jednego z nich. Albo obu. Niestety w filmach Fischera brakowało listy występujących aktorów; nie wiadomo, kto grał którego z wielkich przywódców. Potrzebujemy takiej listy, ale przecież ona nie istnieje i nigdy nie istniała. Dołożono wszelkich starań, żeby nigdy nie ujrzała światła dziennego.

– Przecież mamy własne kopie obu filmów – przypomniał mu Cencio.

– Zgadza się. Przejrzyj i wytnij fragmenty każdej z dokręconych przez Fischera nieautentycznych scen. Oddziel je od rzeczywistego materiału dokumentalnego, który...

Cencio zaśmiał się sardonicznie.

– Boże! Miej nas w swojej opiece! – Przymknął oczy i zaczął bujać się na krześle. – Czy ktokolwiek potrafi tego dokonać? Nikt nie znał wtedy, nie zna dzisiaj i nie będzie znać...

Prawdy. Miał rację. Całkowitą rację.

– Dobra – zgodził się Foote. – W takim razie przeglądaj je do momentu, aż zauważysz Protektora. Będzie jednym z wielkich, charyzmatycznych przywódców, jednym z wielkiej czwórki. Na pewno nie będzie grać Mussoliniego ani Chamberlaina, więc ich możesz pominąć. – Boże drogi, pomyślał, a jeśli okaże się, że jest Hitlerem, który ląduje boeingiem 707 w Waszyngtonie, żeby przeprowadzić tajne negocjacje z Rooseveltem? Czy to miałyby być osoba, która rządzi dziś milionami osadników? Aktor, który był dla Gottlieba Fischera na tyle mocną osobowością, by zagrać rolę Adolfa Hitlera? To mogła być duża rola. Może jakiegoś generała, nawet któregoś z występujących w licznych scenach frontowych?

– Zajmie mi to całe tygodnie – rzekł Cencio, najwyraźniej myśląc o tym samym. – Ale czy

mamy tyle czasu? Jeśli zabija się ludzi...

– Joseph Adams jest chroniony – przerwał mu Foote. – A Brose... jeśli oberwie, to trudno. Jego ukryty wróg będzie miał większą władzę.

Jego ukryty wróg, którym jest najwyraźniej David Lantano. Ale to prowadziło znowu do pytania, które Foote zadał sobie na początku: Kim jest David Lantano?

Teraz znał już częściowo odpowiedź... Przynajmniej tak mu się wydawało. Chociaż musieli to sprawdzić. David Lantano, mający ponad sześćdziesiątkę, będący na końcu swej oscylacji wiekowej, został zatrudniony przez Gottlieba Fischera i zagrał rolę – albo przynajmniej przyszedł na casting – w jednej lub drugiej wersji filmów dokumentalnych z roku 1982. Tak wyglądała hipoteza. Teraz trzeba ją jeszcze sprawdzić.

Następny krok będzie trudny... krok ten miał na celu identyfikację Yansa, czyli Davida Lantano, w jednym lub obu filmach Fischera.

Poza tym, i tu trzeba było wykorzystać umiejętności i doświadczenie firmy Webster Foote Limited z Londynu, należało po cichu i niepostrzeżenie przedostać się z wysoce wyspecjalizowanym sprzętem do niewykończonej willi Davida Lantano w czasie, gdy jej właściciel był w Agencji w Nowym Jorku. I dotknąć choćby na chwilę maszyny do podróżowania w czasie, której używał Lantano.

Będzie to trudne, Foote wiedział o tym doskonale. Ale miał odpowiedni sprzęt, który mógł mu w tym pomóc. Przecież od roku 2014 zajmował się takimi sprawami. A tym razem nie była to tylko sprawa prowadzona dla klienta, ale także i dla samego Foote'a.

Ponieważ stawką w tej grze, której uczestnicy walczą, kłamią, udają i kopią pod sobą dołki, jest w chwili obecnej nasze własne życie, zdał sobie sprawę szef firmy policyjnej.

– Firma prawnicza – powiedział na głos Foote. – Walczący, Kłamca, Udawacz i Kopacz. Wspólnicy. Będą mogli nas reprezentować przed Trybunałem, kiedy wytoczymy proces Brose'owi.

– Na jakiej podstawie?

– Na takiej – mówił spokojnie Foote – że właściwie wybranym przywódcą świata jest Protektor, Talbot Yans, co wie każdy osadnik. Zapewnia nas o tym od piętnastu lat rząd w Estes Park. I okazuje się, że taki człowiek naprawdę nie istnieje. Dlatego też Brose nie ma żadnego prawa do władzy. – Natomiast takie prawo, myślał Foote, należy się wyłącznie Yansowi.

Wygląda więc na to, że Yans postanowił odwołać Brose'a z jego stanowiska. Nareszcie.

Mały, ciemnoskóry chłopiec powiedział nieśmiało: – Nazywam się Timmy.

Stojąca za nim jego młodsza siostra zarumieniała się i szepnęła z uśmiechem:

– A ja Dora.

– Timmy i Dora – powtórzył Nicholas, następnie zwrócił się do pani Lantano, która stała z boku: – Macie piękne dzieci. – Widząc żonę Davida Lantano, pomyślał o własnej rodzinie, o Ricie, która nadal znajdowała się pod powierzchnią, wiodąc życie w tej cholernej osadzie. Życie bez nadziei, bo nawet porządni ludzie żyjący na powierzchni, tacy jak David Lantano oraz, jeśli dobrze zrozumiał, budowniczy przytułków Louis Runcible, nawet ci ludzie nie mieli planu ani nadziei, niczego, co mogliby zaproponować osadnikom. Niczego oprócz higienicznego, milutkiego więzienia na ziemi zamiast ciemnych, tłocznych więzień pod jej powierzchnią. A Lantano...

Jego blaszaki o mało mnie nie zabiły, zdał sobie sprawę Nicholas. Na szczęście na scenie pojawił się Talbot Yans z odpowiednią bronią w ręku.

– Jak mogą mówić, że Yans nie istnieje? – rzekł Nick do Lantana. – Blair tak powiedział. Zresztą wszyscy mu przytaknęli. Ty też.

– Każdy przywódca, jaki kiedykolwiek był u władzy... – zaczął enigmatycznie Lantano.

– To co innego – przerwał mu Nicholas. – Chyba widzisz różnicę. Nie chodzi o kwestię różnicy między człowiekiem a jego wizerunkiem, stajemy tu przed problemem, jakiego historia, o ile mi wiadomo, nigdy nie znała. Bo być może taki człowiek w ogóle nie istnieje. A mimo to ja go widziałem. Ocalił mi życie. – Wyszedłem na powierzchnię, żeby nauczyć się dwóch rzeczy, uświadomił sobie Nicholas. Tego, że Talbot Yans nie istnieje, czego byśmy się nie spodziewali, oraz... że istnieje. Że jest wystarczająco realny, aby zniszczyć dwa, wyszkolone do zabijania, groźne blaszaki, które z powodu braku jakichkolwiek zahamowań zabiłyby mnie bez dłuższej dyskusji. Zabiłyby człowieka i byłoby to coś zupełnie naturalnego. Przecież to część ich pracy. Może nawet najważniejsza część.

– Jako część swego wizerunku – tłumaczył Lantano – każdy przywódca świata miał jakąś fikcyjną cechę. Szczególnie w ciągu ostatniego wieku. No i oczywiście w czasach Imperium Rzymskiego. Jaki na przykład był Neron? Nie wiemy. Jemu współcześni też nie wiedzieli. To samo tyczy się Klaudiusza. Czy Klaudiusz był idiotą, czy wielkim, wręcz świętym człowiekiem? A prorocy, religijni...

– Nigdy nie będziemy tego wiedzieć. – Nicholas pokiwał głową. Było to oczywiste.

Siedząca na długiej kanapie, misternie wykutej z czarnego żelaza i ozdobionej gąbką, Isabella Lantano rzekła:

– Ma pan rację, panie St. James. My nie będziemy tego wiedzieć. Ale on to wie.

Jej ogromne oczy o zdecydowanym wyrazie zatrzymały się na mężu. Ona i Lantano wymienili znaczące spojrzenia. Nicholas wstał i bez celu, z poczuciem beznadziejności zaczął przechadzać się po wysokim pokoju, którego sufit zdobiły belki.

– Napij się – zaproponował Lantano. – Tequila. Przywieźliśmy zapas z Mexico City, z Amecameca. Zeznawałem wtedy przed Trybunałem i z satysfakcją zauważyłem, że mało się interesują moimi zeznaniami – dodał.

– Co to za Trybunał? – spytał Nicholas.

– Najwyższy sąd na tym świecie.

– Po co tam byłeś? – pytał dalej Nicholas. – Miało to coś wspólnego z władzami?

Po dłuższej pauzie Lantano odparł lakonicznie;

– Byłem tam z powodu bardzo akademickiej kwestii. Chodziło o dokładny status prawny Protektora. W stosunku do Agencji. W stosunku do generała Holta i marszałka Harenzanego. W stosunku do... – Zawiesił głos, ponieważ jeden z jego domowych blaszaków wszedł do pokoju i zbliżał się do niego. – W stosunku do Stanton Brose'a – dokończył. – O co chodzi? – spytał blaszaka.

– Panie, na peryferiach chronionego terenu znajduje się Yansowiec – rzekł z szacunkiem w głosie blaszak. – Przebywa tam razem ze swoją żoną, trzydziestoma blaszakami. Jest bardzo podniecony i chce się z tobą widzieć, panie. Razem z nim pojawiła się grupa ludzi opisywanych jako komandosi Foote'a, którzy chronią jego osobę przed realnymi i wyimaginowanymi niebezpieczeństwami, zgodnie z rozkazami z Genewy. Yansowiec jest dość przestraszony i kazał ci powiedzieć, że jego najlepszy przyjaciel nie żyje, a „on będzie następny”. Tak powiedział, panie Lantano. Dodał jeszcze, że „Jeśli Lantano”... – z powodu zdenerwowania nie używał zwyczajowej formuły grzecznościowej – „Jeśli Lantano mi nie pomoże, będę następny”. Czy mam go wpuścić?

– To pewnie Yansowiec z północnej Kalifornii, Joseph Adams. Bardzo podobają mu się moje prace. – Po chwili zastanowienia powiedział do blaszaka: – Powiedz mu, żeby przyszedł. Ale o dziewiątej jestem umówiony na spotkanie. – Spojrzał na zegarek. – Już prawie dziewiąta. Upewnij się, że zrozumiał, iż nie może zostać zbyt długo. – Kiedy blaszak wychodził, Lantano zwrócił się do Nicholas: – Człowiek ten ma pewną reputację. Może wyda ci się interesujący. Jego praca powoduje, że toczy boje z samym sobą. Ale... – Lantano uczynił gest rezygnacji. – Robi swoje. Mimo wszystkich wątpliwości. Walczy z samym sobą, ale robi, co do niego należy. – Głos Lantana ucichł i znowu jego twarz poszarzała, przybrała wyraz mędrca starszego nawet niż poprzednio. Nie wyglądał na czterdziestkę, ale tak jak w momencie, gdy wchodził do piwnicy w Cheyenne. Tylko że teraz twarz natychmiast odmłodziła i można było odnieść wrażenie, że było to jedynie złudzenie spowodowane migocącym światłem kominka, a nie rzeczywista zmiana twarzy Lantana. Nicholas jednak zrozumiał, że zmiany naprawdę

dokonywały się w Yansowcu, a kiedy patrzył na dzieci i żonę Lantana, zauważył u nich to samo. Kątem oka dostrzegł, jak i oni się starzeją. Tyle że w przypadku dzieci było to raczej wchodzenie w dorosłość. Wyglądały tak, jakby teraz były starsze. Po chwili jednak i to wrażenie minęło.

Nicholas widział to jednak na własne oczy. Widział dzieci w wieku prawie dorosłym, a pani Lantano była przez chwilę siwa i trzęsła się ze starości w drzemce, w jaką zapadła poza czasem, w owej hibernacji chroniącej przed starością.

– Idą – odezwała się Isabella Lantano.

Rząd blaszaków, hałaśliwie brzęcząc, wmaszerował do pokoju i zatrzymał się. Spomiędzy nich wyszły cztery istoty ludzkie, które rozglądały się ostrożnie. Za nimi pojawił się wystraszony, samotny mężczyzna, Joseph Adams. Nicholas zauważył, że mężczyzna wygląda, jakby już stał się ofiarą jakiejś wszechobecnej, śmiertelnej mocy, a nie dopiero mu to groziło.

– Dzięki – zwrócił się Adams do Lantano. – Nie zostanę długo. Byłem dobrym przyjacielem Verne'a Lindbloma. Pracowaliśmy razem. Jego śmierć... Nie obawiam się tak bardzo o siebie. – Wskazał najpierw na oddział blaszaków, a potem komandosów, którzy go chronili. Jego podwójna garda. – To z powodu szoku wywołanego jego śmiercią. Nasze życie i tak jest przecież samotne.

Drżąc, usiadł przy kominku, niedaleko Lantano, tylko od czasu do czasu spoglądał pytająco na Isabelle, dwójkę dzieci i Nicholasa. – Poleciałem do jego posiadłości w Pensylwanii, jego blaszaki mnie znają. Rozpoznały mnie, bo wieczorami grywaliśmy w szachy. Dlatego wpuściły mnie do środka.

– I co znalazłeś? – spytał Lantano dziwnie ochryplym głosem. Nicholasa zdziwił ton urazy brzmiącej w jego głosie.

– Dowodzący blaszak VI generacji – zaczął Adams – przekazał mi zapis fal mózgowych zapisanych w rejestratorze umieszczonym na ścianie. Fale alfa zabójcy. Zabrałem je do Megawaka 6-V i wprowadziłem. Komputer ma karty referencyjne dotyczące wszystkich w organizacji Yansa. – Jego głos trząsł się podobnie jak ręce.

– I...? – dopytywał się Lantano. – Czyją kartę wypluł komputer?

Po chwili milczenia Adams odpowiedział:

– Stantona Brose'a. W takim razie chyba Brose musiał go zabić. Zabił mojego najlepszego przyjaciela.

– Więc teraz – ciągnął Lantano – nie tylko postradałeś najlepszego przyjaciela, ale zyskałeś jednego wroga więcej.

– Tak. Myślę, że Brose w następnej kolejności zabije mnie. Tak jak to zrobił z Arlene Davidson, Higiem i Verne'em. Ci komandosi... – Wskazał czterech ludzi Foote'a. – Bez nich byłbym już martwy.

Lantano zamyślił się, pokiwał głową i rzekł:

– Bardzo prawdopodobne.

Powiedział to takim tonem, jakby doskonale o tym wiedział.

– Przyszedłem tutaj – kontynuował Adams – żeby prosić cię o pomoc. Z tego co o tobie wiem, nikt nie ma takich zdolności. Brose ciebie potrzebuje. Bez takich ludzi, młodych, energicznych, inteligentnych Yansowców jak ty, w końcu popełnimy błąd. Brose z czasem będzie się stawał coraz bardziej niedołężny, jego mózg będzie funkcjonował coraz gorzej. Prędzej czy później przepuści taśmę, która będzie zawierała poważny błąd. Jak te błędy w filmach Fischera: boeing 707 albo Stalin prowadzący rozmowę po angielsku... Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak – przyznał Lantano. – Wiem. Jest tam o wiele więcej błędów. Ale nie zostały jeszcze wykryte. Obie wersje są całkowicie skopane. Dlatego jestem Brose'owi potrzebny. Czego ode mnie oczekujesz? – Spojrzał na Adamsa.

– Powiedz mi – mówił Adams, przerywając co chwila wypowiedź, jakby miał trudności z oddychaniem – że jeśli zginę, wycofasz się z Agencji.

– A dlaczego miałbym to robić?

– Ponieważ kiedyś ty będziesz na moim miejscu – wyjaśnił Adams. – Jeśli Brose'owi ujdzie to na sucho.

– Jak ci się wydaje, dlaczego Brose zabił twojego przyjaciela Lindbloma?

– Musiał zdecydować, że projekt specjalny... – Adams urwał, najwyraźniej tocząc walkę wewnętrzną.

– Wszyscy zrobiliście, co do was należało – rzekł Lantano. – A kiedy tylko skończyliście swoje zadania, byliście eliminowani. Weźmy Arlene Davidson. Kiedy wykonała piękne szkice... Właściwie nie tyle szkice, ile bardzo realistyczne rysunki, dopracowane w każdym detalu. Hig, kiedy znalazł artefakty w miejscu budowy, w Utah. Lindblom, gdy zakończył produkcję artefaktów, które zostały przeniesione w przeszłość. Ty, kiedy napiszesz swoje trzy artykuły dla „Świata Natury”. Napisałeś już te artykuły? – Spojrzał na Adamsa przenikliwie.

– Tak. – Adams skinął głową. – Dziś oddałem je do Agencji. Mają być dalej opracowywane. Najpierw dodrukują je w fałszywych, archiwalnych wydaniach, postarzą i tak dalej. Wygląda na to, że świetnie się orientujesz w kwestii projektu. Ale... – Teraz on z kolei spojrzał przenikliwie na Lantano. – Hig zmarł zbyt wcześnie. Nie zwrócił uwagi Runcible'a na artefakty, chociaż miał kamerę i taśmę. A na liście płac Runcible'a są jeszcze inni agenci Brose'a, którzy oświadczyli, że Runcible o niczym nie wie. Ponad wszelką wątpliwość jest zupełnie nieświadom obecności... wcześniejszej obecności artefaktów. Więc... – zniżył głos do szeptu – coś poszło nie tak.

– Tak – zgodził się Lantano. – Coś poszło nie tak w pewnym krytycznym momencie. Masz rację. Hig został zamordowany ciut za wcześnie. I powiem ci coś więcej. Twój przyjaciel

Lindblom został zamordowany przez niemiecki wynalazek z czasów wojny, zwany Gestaltmacherem. Wynalazek ten wykonuje dwa oddzielne zadania: najpierw błyskawicznie morduje ofiarę, nie zadając jej niepotrzebnego bólu, co zgodnie z niemieckim sposobem myślenia jest do przyjęcia etycznie. Później natomiast pozostawia ślady...

– Poszlaki – przerwał mu Adams. – Wiem. Słyszałem o tym. Wiemy, że takie urządzenie istnieje w archiwach zaawansowanej broni, do których oczywiście dostęp ma tylko Brose. W takim razie fale alfa, które zarejestrował czujnik w mieszkaniu Verne'a... – Ucichł i zaczął zaciskać i rozprostowywać dłonie. – Są fałszywe. Zostały celowo wyemitowane przez Gestaltmachera. Zostały podrobione. To właśnie charakteryzuje *Gestalt*, poszlaki prowadzące do jednej osoby. Czy inne poszlaki...

– Wszystkie prowadzą do Brose'a. Webster Foote, który będzie tu za chwilę, wprowadził wszystkie siedem poszlak do komputera w Moskwie, a w zamian otrzymał kartę Brose'a. Komputer odpowiedział mu to samo co Megawak 6-V tobie na podstawie jednej tylko cechy. Ale ta jedna cecha w zupełności wystarczy.

– W takim razie – rzekł ochryple Adams – to nie Brose zabił Verne'a, ale ktoś, kto nie tylko chciał, żeby Lindblom nie żył, ale także by wszyscy uwierzyli, że za jego śmiercią stoi Brose. Musi to być wróg Brose'a. – Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, a Nicholas zauważył, że cały świat tego człowieka właśnie rozpadł się na kawałki. Adams nie miał żadnych podstaw, żeby na kogokolwiek skierować swe podejrzenia. Z psychologicznego punktu widzenia dryfował w oceanie niewiedzy.

Lantano jednak nie wyglądał na zbytnio poruszonego dezorientacją i desperacją Adamsa. Rzekł tylko:

– Ale Gestaltmacher został złapany w miejscu zabójstwa. Błaszaki Lindbloma udaremniły mu ucieczkę. Osoba, która go zaprogramowała, która wprowadziła do niego wszystkie ślady, wiedziała, że Lindblom ma w domu alarm. Czy nie wszyscy oni mają alarm? Ty na pewno go masz. – Wskazał na szyję Adamsa, a Nicholas zauważył cienką jak włos nitkę złotego, niezwyklego metalu.

– To... fakt – przyznał Adams całkiem oszołomiony.

– Tak więc Brose znalazł sposób wyłączenia siebie z kręgu podejrzanych. Wszystkie poszlaki wskazywały na niego, a pewne jest, że wszystkie poszlaki pozostawiane przez urządzenie są fałszywe. Foote, którego praca polega na tym, że musi to wiedzieć, pomyślał, tak jak chciał tego Brose, że chciano rzucić podejrzenie na Brose'a. Że chciał tego zabójca. Tak więc Brose jest niewinny. – Urwał. – Jednak Brose nie jest niewinny. To on zaprogramował maszynę. Chciał w ten sposób rzucić na siebie podejrzenie i tym samym równocześnie wyłączyć siebie z kręgu podejrzanych.

– Nie rozumiem. – Adams pokiwał głową. – Nic nie rozumiem. Lantano, nie chcę, żebyś

powtarzał to, co powiedziałaś, bo wszystko dokładnie słyszałem. Wiem, o co ci chodzi. Ale to zbyt...

– Zbyt skomplikowane – zgodził się Lantano. – Maszyna, która zabija i zostawia fałszywe ślady. Tylko że w tym wypadku fałszywe ślady są autentyczne. Dotarliśmy, Adams, do ostatecznego fałszerstwa, ostatniego stadium ewolucji organizacji stworzonej w celu tworzenia mistyfikacji. I to bardzo przekonujących. Oto i Foote. – Lantano wstał, obrócił się w kierunku drzwi. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł jedyny jak dotąd, co zauważył Nicholas, mężczyzna bez świty blaszaków i komandosów, którzy mieliby go chronić. Mężczyzna niósł pod pachą skórzaną teczkę.

– Adams – rzekł Foote. – Miło, że nie udało im się ciebie dopaść.

David Lantano z pewnym smutkiem przedstawił sobie wszystkich uczestników spotkania. Po raz pierwszy wyjaśnił obecność Nicholasa wystraszonemu i zdezorientowanemu Yansowcowi, Josephowi Adamsowi.

– Przykro mi, Adams – rzekł Lantano – ale moje spotkanie z panem Foote'em jest poufne. Będziesz musiał wyjść.

– Więc pomożesz mi czy nie? – spytał Adams szybko. Wstał, ale nie wychodził. Jego straż, ludzie i blaszaki, stała nieruchomo, obserwując sytuację. – Potrzebuję pomocy, Lantano. Nie ma takiego miejsca, w którym mógłbym się przed nim ukryć. Dorwie mnie, bo ma dostęp do zaawansowanej broni. Bóg jeden wie, co tam może być. – Przerwał swoją wypowiedź i w milczeniu spoglądał na Nicholasa, starając się uzyskać choćby jego poparcie.

Nicholas wtrącił się więc do rozmowy:

– Jest takie miejsce, gdzie nie mógłby cię znaleźć. – Myślał o tym już od kilku minut, od momentu gdy zrozumiał sytuację Adamsa.

– Gdzie? – spytał Adams niecierpliwie

– Na dole, w osadzie.

Adams spojrział na niego zagadkowo, nie można było poznać, co sądzi o tym pomysle.

– W mojej osadzie – dodał Nicholas, rozmyślnie nie podając nazwy osady, gdyż rozmawiali w obecności tylu obcych osób. – Mogę odnaleźć pionowy tunel. Chcę tam wrócić, niezależnie od tego, czy uda mi się załatwić tę protezę. Możesz zejść razem ze mną.

– Ach. Proteza. To dla ciebie ta trzustka – wtrącił się Foote do rozmowy. Usiadł i otworzył skórzaną teczkę. – Dla kogoś w twojej osadzie? Dla jakiejś bliskiej ci osoby, kochanej, starej ciotki? Jak pan Lantano zapewne już ci powiedział, sztuczne narządy...

– I tak zrobię wszystko, żeby ją dostać – skwitował Nicholas.

Webster Foote, rozpinając skórzaną teczkę, niby niechcący wyrzucił na podłogę plik papierów. Pochylił się, żeby je podnieść, i w tym momencie wykorzystał nadarżającą się szansę. Lewą ręką zbierał papiery, a prawą umieścił kamerę transmisyjną, między poduszkami kanapy, na której siedział. Nie tylko miała rejestrować obraz, ale jednocześnie przesyłać go do najbliższej stacji footemanów.

Zaniepokojony Yansowiec, Joseph Adams, rzekł do Foote'a:

– Wprowadziłeś zebrane ślady do komputera w Moskwie i dostałeś kartę Brose'a. Uważasz więc, że Brose jest niewinny, ponieważ poszlaki są fałszywe i zostały pozostawione przez Gestaltmachera. Zrobił to ktoś nieprzyjazny Lindblomowi i Brose'owi.

Patrząc na niego kątem oka i zastanawiając się, skąd Adams może to wszystko wiedzieć, Foote mruknął:

– Hmm.

– To prawda – ciągnął Adams. – Wiem to, bo wprowadziłem zapis fal alfa do Megawaka 6-V i dostałem tę samą kartę. Ale David Lantano... – kiwnął głową w stronę młodego, ciemnego Yansowca – mówi, że Brose mógł zaprogramować maszynę, wiedząc, że zostanie złapana. I rzeczywiście, została.

– Cóż – bąknął Foote. – Mamy pewien obiekt. Ale nie udało nam się go dotychczas otworzyć. Opiera się wszelkim próbom otwarcia. Podejrzewamy, że jest to wersja niemieckiej broni z czasów wojny. – Nie widział powodu, dla którego miałby ukrywać ten fakt. Jednak skoro Joseph Adams i David Lantano wiedzieli o tym, należy niezwłocznie przekazać tę informację Brose'owi. Brose musi dowiedzieć się o tym od niego, a nie od nich. Dlatego lepiej będzie, jak wyjdę stąd, kiedy tylko nadarzy się ku temu sprzyjająca sytuacja, pomyślał Foote. We fruwadle połączę się przez satelitę z Genewą. Jeśli Brose dowie się o Gestaltmacherze od nich, moja reputacja dość poważnie ucierpi. Nie mogę sobie na to pozwolić. Foote czuł rozgoryczenie.

Czyżbym dał się złapać w pułapkę? – pytał siebie w myślach. A raczej w podwójną pułapkę. Przestępstwo zostało popełnione przez ten przenośny telewizorek, który zaprogramował Brose, gdyż chciał w ten sposób uzyskać alibi. Pomyśleć tylko, że nigdy, nawet dzięki swoim zdolnościom przewidywania pozazmysłowego, nie wpadłem na taki pomysł.

To ten Lantano to wymyślił, zdał sobie sprawę Foote. Ten facet jest niebezpiecznie inteligentny.

Umieszczony pod skórą w jego uchu niewidoczny głośnik-mikrofon zaskrzeczał:

– Odbieramy wyraźny obraz, panie Foote. Trzeba przyznać, że kamera jest idealnie umiejscowiona. Odtąd będziemy mieć oko na ten pokój.

W zamyśleniu Foote rozłożył swoje mapy z zaznaczonymi głównymi magazynami

wojskowymi. Mapy były tajne... Poufne, jak to się kiedyś mówiło. Zostały mu udostępnione przez generała Holta, poprzez Agencję. Dla celów poprzedniego zadania, które wykonywał dla Brose'a. Oryginalne mapy zostały zwrócone, natomiast Foote miał w tej chwili przed sobą ich fotokopie. Spojrzał na nie pobieżnie, przygotowując się do rozpoczęcia nudnej dyskusji z Lantanem.. I w tym momencie, bez żadnego ostrzeżenia, nieomylnie przecucie poraziło jego umysł. Foote popatrzył na górną część mapy. Przedstawiała obszar znajdujący się w pobliżu wybrzeża atlantyckiego Karoliny Północnej. Na mapie zaznaczono trzy arsenały armii amerykańskiej, podziemne magazyny, dawno temu opróżnione przez blaszaki Brose'a, które zdążyły wynieść stamtąd wszystkie wartościowe przedmioty. Miejsca te zostały zaznaczone na mapie. Ale...

Rozmieszczenie arsenałów wskazywało najwyraźniej, że zostały one zbudowane w celu zaopatrywania zmobilizowanych i opancerzonych powierzchniowych jednostek taktycznych, które prawdopodobnie miały za zadanie – przynajmniej takie było ich przeznaczenie – rozprawić się z radzieckimi blaszakami i zostały wyrzucone na ląd przez gigantyczne, transoceaniczne podwodne transportowce ZSRR, pływające w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. W tamtych czasach stosowano zazwyczaj podział zapasów na cztery części: trzy magazyny broni, paliwa i części zapasowych do amerykańskich czołgów z osłonami rekseroidowymi, które mogły przetrwać bezpośrednie trafienie pociskiem typu ziemia-ziemia z głowicą atomową... I te właśnie trzy magazyny już odkryto. Nie zaznaczono jednak czwartego podziemnego składu, który musiał być umieszczony jakieś pięćdziesiąt mil w głębi lądu. Skład ten powinien mieć zapasy środków medycznych, jeśli zostały przewidziane dla personelu zmobilizowanych jednostek obronnych korzystających z trzech arsenałów broni znajdujących się bliżej wybrzeża.

Nakreślił ołówkiem linie łączące trzy zaznaczone arsenały. Później, wykorzystując okładkę książki pożyczonej ze stojącego obok stołu, dorysował linię, która kończyła się w miejscu domniemanego czwartego wierzchołka kwadratu.

W ciągu pięciu godzin, pomyślał Foote, mogą mieć tam blaszaki, które przekopią cały teren. Mogą zapuścić sondę i w piętnaście minut stwierdzić, że rzeczywiście istniał tam czwarty magazyn ze sprzętem medycznym i wyposażeniem szpitalnym. Szansa wynosi... Szybko policzył. Jakieś czterdzieści procent. Ale w przeszłości jego firma prowadziła już wykopy w o wiele bardziej wątpliwych miejscach. Niektóre poszukiwania się opłacały. Inne nie. Gdyby jednak udało się zlokalizować magazyny sztucznych narządów, znalezisko takie miałoby kolosalną wartość. Nawet kilka, trzy albo cztery... Nawet jeden sztuczny narząd przełamałby monopol Brose'a.

– Planuję rozpoczęcie wykopów tutaj – rzekł do Lantana, który usiadł obok niego. – Widzisz dlaczego? – Wskazał trzy miejsca, gdzie znajdowały się magazyny, oraz linie, które narysował. – Przecucie mi mówi, że znajdziemy tutaj nie zlokalizowany dotąd magazyn medyczny armii

amerykańskiej. Być może będziemy mieli szczęście i znajdziemy tam trzustkę.

– To ja już pójdę – rzucił Joseph Adams. Najwyraźniej dał za wygraną. Skinął dłonią na grupę blaszaków, które wraz z czterema komandosami przydzielonymi mu do ochrony zaczęły skupiać się wokół niego i powoli przemieszczać w stronę drzwi.

– Poczekaj – zatrzymał go Lantano.

Adams stanął w drzwiach. Nadal był skrzywiony. Jego twarz wyrażała cierpienie i zmieszanie, ból z powodu śmierci przyjaciela, niepewność co do tego, kto to zrobił i co on sam powinien teraz począć. Wszystkie te uczucia teraz nim targały.

– Chciałbyś zabić Stantona Brose'a? – zapytał Lantano.

– Ja... – Adams wybałuszył na niego oczy. Odbiło się w nich przerażenie. W pokoju zapadła cisza.

– Przecież i tak przed nim nie uciekniesz. Nawet jeśli ukryjesz się w osadzie. Nie zapominaj o pol-komach, którzy tylko na to czekają. Jeśli zejdziesz na dół z Nickiem, działający tam pol-kom, który pracuje dla Brose'a i świetnie zna panujące tu warunki... – Lantano zamilkł. Nie musiał kończyć. – Decyzja należy do ciebie – dodał. – Motywów masz wiele. Zemsta za śmierć Lindbloma, obawa o własne życie... I o całą ludzkość... Wybieraj. Za jednym zamachem załatwisz wszystkie trzy rzeczy. Masz przecież szansę spotkać się z Brose'em i załatwić go. Prawdopodobieństwo, że ci się to uda, jest niewielkie, ale mimo to powinieneś spróbować. Pomyśl o swojej sytuacji, o tym jak się teraz boisz. A nie zapominaj, że będzie coraz gorzej, Adams. Przepowiadam ci to i myślę, że pan Foote powie ci to samo.

– No... nie wiem – wydusił z siebie w końcu Adams.

– Z moralnego punktu widzenia – kontynuował swoje wywody Lantano – zrobisz dobry uczynek. Jestem tego pewien. Pan Foote na pewno się ze mną zgodzi. I Nick też... chociaż jest z nami tak krótko. I ty chyba też nie masz co do tego wątpliwości. Prawda? – Odczekał chwilę. Adams nie odpowiadał. Lantano zwrócił się więc do Foote'a: – Na pewno nie ma wątpliwości. Jest jednym z niewielu Yansowców, którzy naprawdę nie mają złudzeń. Szczególnie teraz, po śmierci Lindbloma.

– A jak miałbym go zabić? – spytał Adams niepewnie.

Przyglądając się mapom wojskowym Foote'a, Lantano odparł:

– Dostarczę ci broń. Tę część możesz mnie pozostawić. Wydaje mi się, że dotarliśmy do sedna. – Położył palec wskazujący na miejscu, które Foote zaznaczył jako prawdopodobną lokalizację magazynu. – Trzeba rozpocząć kopanie. Oczywiście pokryję wszelkie wydatki. – Jeszcze raz odwrócił się do Adamsa, który stał w drzwiach otoczony przez swoje blaszaki i eskortę footemanów. – Brose musi zginąć. Jest to tylko kwestia czasu. Jeszcze tylko nie wiadomo, kto to zrobi oraz w jaki sposób. – Potem zwrócił się do Foote'a: – Jaką broń by pan polecił? Adams spotka się z Brose'em pod koniec tygodnia w Agencji, w swoim biurze. Dlatego

nie musi z tym chodzić. Może ukryć narzędzie na miejscu. Powinien tylko zaopatrzyć się w jakiś mechanizm uaktywniający lub zapewnić automatyczną aktywację.

Foote pomyślał: Czy po to zostałem tutaj zaproszony? Moja wizyta miała być pretekstem do zainstalowania kamery. Dzięki niej będę mógł dowiedzieć się czegoś więcej o Davidzie Lantano. A zamiast tego zostałem wciągnięty w spisek przeciwko najpotężniejszemu człowiekowi na Ziemi, w każdym razie zaproszony do niego. Przeciw człowiekowi posiadającemu w dodatku największy zapas zaawansowanej broni. Człowiekowi, którego wszyscy śmiertelnie się boimy.

Co więcej, rozmowa ta, dzięki kamerze przekazującej sygnał audio i wideo, była monitorowana. O ironio, była monitorowana przez jego techników. Przez jego ekspertów znajdujących się w lokalnej podstacji nasłuchowej oraz kwaterze głównej, w Londynie. Jest już zbyt późno, by wyłączyć kamerę. Najważniejsze zostało już powiedziane. A było oczywiste, że gdzieś w firmie Webstera Foote'a Brose miał swoje wtyczki. W końcu, choć być może nie od razu, dokładna i ścisła informacja o tej rozmowie dotrze odpowiednimi kanałami do Genewy. Foote zdał sobie sprawę, że wszyscy obecni w tym pokoju zostaną zamordowani. Nawet jeśli powiem „nie”. Nawet jeśli Adams i ja powiemy „nie”. To nie wystarczy. Bo staruch, Stanton Brose, nie odważy się ryzykować. Będziemy musieli zostać wyeliminowani. Na wszelki wypadek. Aby zapewnić mu absolutne bezpieczeństwo.

– Macie fale alfa Brose'a z rejestratora Lindbloma – rzekł Foote. – Macie też dostęp do... – odwrócił się do Adamsa.

– Tropizm. – Lantano kiwnął głową.

– Ponieważ blaszaki Lindbloma wiedzą, że jesteś najbliższym przyjacielem zmarłego... – Foote zawahał się, po czym rzekł głucho: – Polecałbym użycie fal alfa jako tropizmu. Konwencjonalna, homeostatyczna, poruszająca się z dużą szybkością strzałka z cyjankiem. Ustawiona na wystrzelenie z któregośkolwiek punktu w twoim biurze w Agencji w momencie, kiedy mechanizm kontrolny odbierze i zapisze dany wzór fal alfa.

Zapadła cisza.

– Czy dałoby się to zainstalować dzisiaj wieczora? – spytał Lantano Foote'a.

– Zainstalowanie wyrzutni dla takiej strzałki zajmuje parę minut – odparł Foote. – Zaprogramowanie mechanizmu kontrolnego niewiele więcej. Pozostanie tylko załadowanie strzałki.

– Czy masz odpowiedni sprzęt? – spytał Adams Foote'a.

– Nie – odparł właściciel firmy policyjnej. I była to prawda. Niestety. Nic na to nie mógł poradzić.

– Ale ja mam – wtrącił Lantano.

– Są setki homeostatycznych, poruszających się z dużą szybkością strzałek z cyjankiem z czasów wojny. Pozostały po dniach, gdy po świecie grasowali międzynarodowi komunistyczni

zabójcy. Są też tysiące wolniejszych strzałek, których trajektoria lotu może być korygowana po wystrzeleniu. Taką właśnie strzałką zabito Verne'a Lindbloma. Ale to wszystko stary sprzęt. Można ich użyć, ale z pewnością nie można na nich polegać. Zbyt wiele lat...

– Powiedziałem – przerwał mu Lantano – że mam strzałkę. Razem z resztą wyposażenia: wyrzutnia, obudową, mechanizmem kontrolnym. Wszystko w idealnym stanie.

– W takim razie musisz mieć także dostęp do sprzętu do podróżowania w czasie. Urządzenia, o których mówimy, muszą pochodzić sprzed piętnastu, dwudziestu lat.

Lantano przytaknął.

– Mam do nich dostęp. – Splótł mocno palce. – Nie wiem tylko, jak złożyć całość. Wojenni i przedwojenni zabójcy byli specjalnie do tego przeszkoleni. Ale wydaje mi się, że z twoją wiedzą – spojrzął na Foote'a – uda ci się to zrobić. Zgoda?

– Dziś? – upewnił się Foote.

– Brose prawdopodobnie przyjdzie do biura Adamsa jutro rano – odrzekł Lantano. – Jeśli jeszcze dzisiaj zainstalujemy sprzęt, Brose będzie martwy w ciągu dwunastu, najpóźniej dwudziestu czterech godzin. Alternatywą jest, nie muszę chyba tego mówić, śmierć każdej osoby znajdującej się w tym pokoju. Ponieważ w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin informacja o tej dyskusji znajdzie się na biurku Brose'a. – Zwrócił się do Foote'a: – Wszystko dzięki kamerze, którą przyniosłeś. Nie wiem, jak wygląda ani gdzie i jak ją wepchnąłeś, ale jestem pewien, że jest w tym pokoju. I działa.

– To prawda – rzekł w końcu Foote.

– A więc nie mamy wyjścia – zauważył Adams. – Dzisiaj. Dobra, polecę do posiadłości Lindbloma i wezmę zapis fal mózgowych. Niestety oddałem go blaszakowi VI generacji, który tam teraz dowodzi. – Zawahał się, nagle zdając sobie z czegoś sprawę. – Wykres fal alfa był też w Gestaltmacherze. W jaki sposób on się tam znalazł? Miała go osoba programująca tę maszynę. A tylko Brose mógł zdobyć taki zapis. Chyba masz rację, Lantano. To Brose musiał zaprogramować Gestaltmachera.

– Czy nie pomyślałeś – rzekł cicho Lantano – że być może to ja wysłałem tę maszynę, żeby zabiła twojego przyjaciela?

Adams zawahał się.

– Nie wiem. Ktoś na pewno to zrobił. To wszystko. No a komputer wyrzucił kartę Brose'a. Wydawało mi się...

– Chyba tak pomyślałeś – zgadł Foote.

Spoglądając na niego, Lantano się uśmiechnął. Nie był to uśmiech młodego mężczyzny. Zawierał mądrość i doświadczenie. Łagodność i tolerancję człowieka, który przetrwał już niejedno.

– Jesteś Indianinem – zauważył Foote, nagle rozwikłując zagadkę. – Z przeszłości. W jakiś

sposób w przeszłości wszedłeś w posiadanie jednej z naszych nowoczesnych maszyn do podróży w czasie. Jak ci się to udało, Lantano? Czyżby Brose wysłał taką maszynę do twoich czasów?

Po chwili milczenia Lantano odpowiedział:

– To te artefakty, które wyprodukował Lindblom. Wykorzystał składniki oryginalnych prototypów zaawansowanej broni działającej na tej zasadzie. Geolog popełnił błąd: niektóre z artefaktów pojawiły się nie pod powierzchnią, ale na powierzchni ziemi, w polu widzenia. Akurat tamtędy szedłem. Prowadziłem swoich wojowników. Nie poznalibyście mnie. Byłem ubrany zupełnie inaczej. I w dodatku cały pomalowany.

Były osadnik, Nicholas St. James, wtrącił się do rozmowy:

– Czirokez.

– Tak – potwierdził Lantano. – Według waszego kalendarza, z piętnastego wieku. Więc miałem dużo czasu, żeby się do tego przygotować.

– Przygotować do czego? – spytał Foote.

– Wiesz, kim jestem, Foote – rzekł Lantano. – Albo raczej kim byłem w przeszłości, w 1982 roku, konkretnie rzecz biorąc. I kim będę. Już niedługo. Twoi ludzie przeglądają filmy dokumentalne. Oszczędzę ci długich i żmudnych poszukiwań. Znajdziesz mnie w epizodzie dziewiętnastym wersji A. Pojawiam się tam na moment.

– Jako kto? – zainteresował się Foote.

– Generał Dwight David Eisenhower. W tej będącej mistyfikacją, całkowicie nieprawdziwej scenie nakręconej przez Gottlieba Fischera, gdzie Churchill, Roosevelt – a raczej aktorzy ich grający dla celów dydaktycznych – naradzają się i podejmują decyzję, by odwlekać inwazję na kontynent. Nazwali to „dzień D”. Wypowiadałem tam bardzo ciekawą, całkowicie zmyśloną kwestię... Nigdy tego nie zapomnę...

– Pamiętam – rzekł nagle Nicholas. Wszyscy zwrócili się ku niemu.

– Powiedziałeś: „Wydaje mi się, że pogoda jest nieprzyjazna. Teoretycznie uniemożliwia lądowanie i pomyślnie doprowadzenie naszych statków” – zacytował Nicholas. – Fischer to wymyślił.

– Tak – zgodził się Lantano. – To właśnie mówiłem. Lądowanie jednak się powiodło. Ponieważ, jak mówi się w wersji B, w równie bezsensownej i zmyślonej scenie nakręconej na użytek DemoLudów Hitler rozmyślnie zatrzymał tylko dwie dywizje pancerne na terenie Normandii, aby inwazja się powiodła.

Przez pewien czas nikt z obecnych nie wyrzekł słowa.

– Czy śmierć Brose’a oznacza koniec ery zapoczątkowanej przez filmy Fischera? – spytał Nicholas. Następnie zwrócił się do Lantana: – Mówiłeś, że masz dostęp do...

– Śmierć Brose’a – rzekł twardo Lantano – będzie momentem, kiedy my i Najwyższy Trybunał, z którym omówiłem już tę kwestię, w porozumieniu z Louisem Runcible’em, który

stanowi ważne ogniwo tego projektu, zdecydujemy, co powinniśmy powiedzieć milionom mieszkańców znajdujących się pod powierzchnią ziemi.

– Więc wyjdą wreszcie na powierzchnię? – spytał Nicholas.

– Jeśli tego zechcemy – odparł Lantano.

– Do diabła – zaprotestował Nicholas – pewnie, że tego chcemy. O to właśnie chodzi. Nieprawdaż? – Przeniósł wzrok z Lantana na Adamsa, a potem na Foote’a.

– Chyba tak – zgodził się Foote. – Runcible też na pewno by się zgodził.

– Ale tylko jeden człowiek – przerwał im Lantano – może przemawiać do osadników. Człowiekiem tym jest Talbot Yans. A co on zadecyduje?

– Nie ma kogoś takiego jak Tal... – wybełkotał Adams.

– Ależ oczywiście, że jest – nie zgodził się Foote. Następnie zwrócił się do Lantana: – Co Talbot Yans zdecyduje? – Wydaje mi się, że ty możesz nam to powiedzieć, pomyślał. Bo ty to wiesz. A ja wiem, dlaczego ty wiesz. Zdajesz sobie chyba z tego sprawę. Nie tonimy już w trzęsawisku pozorów. To się dzieje naprawdę. Wiesz o tym ty i ja dzięki fotografiom, jakie wykonał dla mnie satelita.

Po chwili Lantano rzekł w zamyśleniu:

– W najbliższej przyszłości, jeśli wszystko pójdzie dobrze, Talbot Yans ogłosi, że wojna się skończyła, ale na powierzchni nadal panuje promieniowanie. Dlatego osady muszą być stopniowo opróżniane. Zgodnie z dokładnie ustalonym planem, jedna po drugiej.

– To prawda? – spytał Nicholas. – Naprawdę będą stopniowo wypuszczać nas na powierzchnię? Czy to tylko kolejna...

Lantano spojrział na zegarek i rzekł:

– Musimy się spieszyć. Adams, przywieź ten zapis fal mózgowych. Ja zorganizuję narzędzie zbrodni. Foote, chodź ze mną, spotkamy się z Adamsem w jego biurze, w Agencji. Będziesz mógł zainstalować urządzenie i zaprogramować je na jutro. – Wstał i energicznym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

– A co ze mną? – spytał się Nicholas.

Lantano podniósł mapę wojskową Foote’a i podał ją Nicholasowi.

– Moje blaszaki są do twojej dyspozycji. Dostaniesz też fruwadło, które zabierze ciebie i dziewięć albo dziesięć blaszaków do Karoliny Północnej. Tam powinny zacząć się wykopaliska. Powodzenia – dodał krótko Lantano. – Od tej chwili możesz liczyć tylko na siebie. Dzisiaj musimy zająć się innymi sprawami.

– Wolałbym, żebyśmy nie musieli tak się spieszyć – mruknął Foote. – Chętnie omówiłbym szczegóły. – Bał się. Opanowało go pozazmysłowe przeczucie i instynktowny strach. – Gdybyśmy mieli trochę więcej czasu.

– Myślisz, że możemy sobie pozwolić na zwłokę? – spytał go Lantano.

– Nie.

Otoczony przez potężną świtę blaszaków i komandosów Joseph Adams wyszedł z pokoju Willi Lantana. Za nim podążył właściciel posiadłości i Foote. – Czy to Brose zaprogramował Gestaltmachera? – spytał Foote ciemnego, młodego mężczyznę... Młodego w tej chwili, który jednak, jak wynikało ze zdjęć satelitarnych, mógł w danym momencie przenieść się w dowolny moment swego życia.

– Ponieważ maszyna została wyposażona w zapis fal mózgowych... – odparł Lantano.

– Który każdy Yansowiec może uzyskać z każdego spośród trzech superkomputerów – przerwał mu Foote tak cicho, aby Adams nie usłyszał jego słów. – Dobrze o tym wiesz. Czy to ty jesteś odpowiedzialny za śmierć Lindbloma? Chciałbym to wiedzieć, zanim się w to wpakuję.

– A czy to takie ważne? Co za różnica?

– Wielka różnica. Ale i tak będę już z wami. – Dostawał gęziej skórki na samą myśl o tym, co by go spotkało, gdyby nie udało im się wykonać zamierzonego zadania. Kwestie moralne nie miały już większego znaczenia. Było za późno, odkąd zainstalował kamerę. Jeśli ktoś kiedykolwiek padł ofiarą swego profesjonalizmu...

– To ja zaprogramowałem machera – przyznał Lantano.

– Dlaczego? Co zrobił ci Lindblom?

– Nic. Prawdę mówiąc, nawet powinienem być mu wdzięczny, bo dzięki niemu wszedłem w posiadanie maszyny do podróży w czasie. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu teraz. A przedtem... – zawahał się na chwilę, niepewny, czy powinien się przyznawać – zabiłem Higa.

– Dlaczego?

– Zabiłem Higa, żeby powstrzymać projekt specjalny – wyjaśnił Lantano. – Żeby ocalić Runcible'a. Dzięki temu projekt specjalny miał spalić na panewce. I tak się stało.

– No dobrze, rozumiem, że mogłeś zabić Higa, ale co ci zawinił Lindblom? – Foote uczynił gest sugerujący brak zrozumienia.

– Zrobiłem to, żeby zrobić Brose'a. Żeby przekonać Adamsa, że to właśnie Brose zabił jego najlepszego przyjaciela, który, jak mi się wydawało, był w dodatku jedynym przyjacielem Adamsa. Sądziłem, że macher zdoła uciec. Nigdy bym nie podejrzewał, że blaszaki Lindbloma są tak efektywne i poruszają się tak szybko. Lindblom najwyraźniej obawiał się ataku. Tyle że prawdopodobnie z innej strony.

– I co zyskałeś dzięki jego śmierci?

– Zmusiłem Adamsa do działania. Brose jest teraz ostrożny. Bez żadnego racjonalnego powodu nie wierzył mi i unikał mnie. Brose nigdy nie podszedł do mnie na odległość, z której mógłbym go zaatakować. Sam, bez pomocy Adamsa, nie mógłbym go zabić. Sprawdziłem to już w przyszłości. Sprawa jest jasna. Albo zabijemy go jutro rano, kiedy przyjdzie do biura Adamsa

– będącego jednym z niewielu miejsc, do których Brose udaje się osobiście – albo będzie rządzić jeszcze przez dwadzieścia lat.

– W takim razie dobrze zrobiłeś – pochwalił go Foote. Oczywiście, jeśli to prawda. Foote niestety nie miał możliwości sprawdzenia słów Lantano. Dwadzieścia lat. Brose miałby wtedy sto dwa lata. Koszmar, pomyślał Foote. Koszmar, z którego jeszcze się nie przebudziliśmy. Musimy działać.

– Adams nie wie jednak – zaczął Lantano – i nigdy się nie dowie o godnym pożałowania fakcie. Do momentu swojej śmierci Lindblom wahał się, czy nie powinien przypadkiem donieść o moralnych zastrzeżeniach Adamsa co do projektu. Tuż przed śmiercią Verne podjął decyzję. Wiedział, że Adams był już bardzo blisko przekazania Louisowi Runcible'owi informacji, które pozwoliłyby mu uniknąć zasadzki i nie dać się nadziać na haczyk. Dzięki informacjom Adamsa Runcible ogłosiłby wszem wobec o znalezisku archeologicznym jego ludzi. Straciłby oczywiście ziemie w Utah, ale zapewniłby sobie dalszą bezpieczną pracę. I wolność polityczną. Lindblom, kiedy przyszło co do czego, postanowił być lojalny w stosunku do Agencji. W stosunku do Brose'a. A nie do przyjaciela. Widziałem to, Foote, możesz mi wierzyć. Następnego dnia Lindblom, poprzez odpowiednie kanały, skontaktowałby się z Brose'em w jego twierdzy w Genewie. Nawet Adams się tego obawiał. Wiedział, że jego życie jest teraz w rękach Lindbloma z powodu okazywania dość nietypowych jak na Yansowca wyrzutów sumienia i skrupułów. Jego świadomości zła, leżącego u podstaw projektu specjalnego.

Joseph Adams wsiadł właśnie do wyładowanego po brzegi fruwadła i wystartował, wzbijając się prosto w nocne niebo.

– Ja bym nie mógł tego zrobić – rzekł Foote. – Nigdy nie zabiłbym Higa i Lindbloma. Nie zabiłbym nikogo. – Wykonując swój zawód, widział już i tak dużo śmierci.

– Ale teraz chcesz wziąć w tym udział – zauważył Lantano. – Przyczynić się do śmierci Brose'a. A więc nawet ty w pewnym momencie poczułeś... uznałeś, że nie pozostało już nic do zrobienia i istnieje tylko jedno wyjście. Wyjście ostateczne. Przeżyłem już sześćset lat, Foote. Wiem dobrze, kiedy trzeba zabijać, a kiedy nie trzeba.

Tak, pomyślał Foote, najwyraźniej masz o tym najlepsze pojęcie. Ale gdzie kończy się to pasmo śmierci, zastanawiał się. Czy Brose będzie ostatni? Jakie mamy gwarancje?

Jego intuicja podpowiadała mu, że będą i następni. Kiedy już raz użyto takiego sposobu myślenia i rozwiązywania problemów, trudno będzie się go wyrzec. Lantano... albo Talbot Yans, czy jak tam on będzie wkrótce siebie nazywać, pracował nad tym od stuleci. Nie było powodu, dla którego następny po Brosie nie miałby być Runcible albo Adams, albo też, co przychodziło mu na myśl od początku, on sam. Każdy, kogo „trzeba będzie wyeliminować”, jak mówił Lantano.

To ulubione słowo ludzi zaślepionych rządzą władzy, zreflektował się Foote. Najważniejszą

rzeczą była jednak ich wewnętrzna chęć zaspokojenia swoich potrzeb i pragnień. Brose znał to uczucie. Lantano również. Znali je także niezliczeni obecni i przyszli Yansowcy. Setki albo i tysiące pol-komów siedzących na dole, w osadach, rządziło niczym prawdziwi tyrani dzięki kontaktom z powierzchnią, dzięki posiadaniu *gnosis*, tajemnej wiedzy o rzeczywistym stanie rzeczy.

U tego człowieka jednak żądza rozwijała się przez wieki.

Kto więc, jeśli nie Lantano, rozważał Foote, idąc za Indianinem do zaparkowanego ekspresowego fruwadła, stanowi większe niebezpieczeństwo? Sześćsetletni Lantano vel Yans vel Biegające Czerwone Pióro, czy jak tam go wołali w plemienu Czirokezów, co przedzierzgnie się w końcu w osobę, której marna, syntetyczna kopia przymocowana obecnie do dębowego stołu miała wkrótce ku zaskoczeniu ogromnej większości pracowników Agencji stać się nagle zupełnie realnym człowiekiem... Czy też starzejące się, zgrzybiałe monstrum, które kryje się w Genewie i obmyśla sposoby utrzymania się przy władzy. Jak normalny człowiek może wybierać pomiędzy takimi dwoma indywiduami i nadal pozostać normalny? Ludzkość jest przeklęta, pomyślał Foote. W *Genesis* zawarta jest prawda, jeśli mamy tylko taki wybór, jeśli nie ma innych możliwości, jak tylko pozostanie instrumentami w rękach jednego lub drugiego tyrana, pionkami, które Brose albo Lantano przestawiać będą na szachownicy, zgodnie z własnym widzimisię.

Czyżby to był koniec? – zastanawiał się Foote, wchodząc do fruwadła i siadając przy Davidzie Lantano, który od razu włączył silnik. Fruwadło uniosło się nad ziemię, zostawiając pod sobą okolice Cheyenne i na wpół ukończoną willę z zapalonymi światłami... która niewątpliwie wkrótce zostanie ukończona.

– Strzałka i całe urządzenie leżą na tylnym siedzeniu – rzucił Lantano. – Są zapakowane w oryginalne, fabryczne pudełko.

– Pewnie wiedziałeś, co wybiorę – domyślił się Foote.

– Podróżowanie w czasie jest bardzo wygodne – odparł lakonicznie Lantano.

Lecieli w milczeniu.

Jest jeszcze trzecie wyjście, myślał Foote. Trzecia osoba, mająca ogromną władzę i niezależna od Lantana czy Brose'a. Taką osobą jest z pewnością Louis Runcible, który opala się teraz w swojej obrośniętej winoroślą willi w Kapsztadzie. Gdyby ktoś kazał mi znaleźć rozsądnego człowieka podejmującego rozsądne decyzje, to na pewno wybrałbym właśnie jego.

– W takim razie pojedę teraz zainstalować wyrzutnię w biurze Adamsa w Nowym Jorku – rzekł Foote. A potem walę do Kapsztadu. Do Louisa Runcible'a, dodał w myślach.

Jestem fizycznie chory, przyznał w myślach Foote. Sprawiała to aura „wyższej konieczności”, otaczająca siedzącego obok mnie człowieka. Hierarchia politycznych i moralnych wartości, których z powodu prostolinijności nie potrafię zaakceptować. W sumie przeżyłem zaledwie

czterdzieści dwa lata. A nie sześćset.

Gdy tylko dotrę do Kapsztadu, rozmyślał Foote, rozejdzie się informacja z Nowego Jorku. Informacja o tym, że Stanton Brose, tłusty, obleśny starzec, nie żyje. Zabity przez najmłodszego pracownika Agencji (o mój Boże, sześćsetletni człowiek najmłodszy?!) i najznakomitszego pomysłowca piszącego wyśmienite przemówienia.

Potem wraz z Louistem Runcible'em, jeśli uda nam się dojść do porozumienia, zaczniemy zastanawiać się nad dalszym ciągiem tej historii. Zobaczymy, jaka jest nasza „wyższa konieczność”.

Bo w tym momencie zupełnie nie wiem, co dalej począć.

– Kiedy Brose zostanie wyeliminowany, będziesz gotów zażądać od najwyższego Trybunału przyznania ci najwyższej władzy? – odezwał się. – Stanowiska Protektora planety, przełożonego generała Holta w ZachDemie i marszałka...

– Przecież każdy spośród paruset milionów osadników wie, że najważniejszy jest Yans. Czyż Protektor nie jest najwyższą władzą, która została wybrana już wiele lat temu?

– A blaszaki? – spytał Foote. – Myślisz, że będą ci posłuszne, jeśli dojdzie do konfrontacji? A nie Holtowi albo Harenzanyemu?

– Zapominasz o jednym: już od dawna mam dostęp do sima. Tego manekina przybitego do stołu. Programuję go... przesyłam do niego słowo pisane przez Megawaka 6-V. Dlatego można powiedzieć, że w pewnym sensie już od dawna zacząłem przejmować władzę. Po prostu połączę się z nim. Nie załatwię tego, wyrzucając go na bruk, ale... – uczynił gwałtowny ruch ręką – najlepiej to opisuje słowo „fuzja”.

– Przymocowanie do tego stołu na pewno ci się nie spodoba – zauważył ironicznie Foote.

– Wydaje mi się, że akurat ten element może zostać z powodzeniem wyeliminowany. Yans może przecież zacząć odwiedzać reprezentatywne osady. Tak jak Churchill, który przyjeżdżał na zbombardowane tereny w czasie drugiej wojny światowej. Akurat tych sekwencji Gottlieb Fischer nie musiał dokręcać.

– Czy w czasie długich wieków swego życia ograniczyłeś publiczne wystąpienia do wzięcia udziału w zdjęciach zmyślonych scen w filmie dokumentalnym Fischera? Do zagrania amerykańskiego generała z czasów drugiej wojny światowej? A może... – Jego postrzeżenie pozazmysłowe raz jeszcze się odezwało. Dzięki niemu zaczął coś podejrzewać. – Czy może byłeś już kiedyś u steru władz? Oczywiście nie mówię o najważniejszym na całej planecie, najpotężniejszym Protektorze...

– W pewnym sensie byłem aktywny politycznie. Przy wielu okazjach. Moja rola stale ewoluuje, zachowując historyczną ciągłość.

– Czy występowałeś pod nazwiskami, które znałbym z historii?

– Tak. Kilkakrotnie – odparł Lantano. Nie wdawał się w rozmowę na ten temat i było

oczywiste, że z własnej woli nic nie powie. Milczał, a fruwadło leciało nad ciemną powierzchnią ziemi w kierunku Nowego Jorku.

– Nie tak dawno – zaczął Foote ostrożnie, nie oczekując nawet odpowiedzi na swoje pytanie – kilkoro z moich lepszych pracowników śledczych przesłuchiwało osadników, którzy przekopali się na powierzchnię ziemi, i usłyszało fascynującą historię o tym, jak to słaby sygnał telewizyjny docierający do osad z Estes Park był czasami zakłócany i powodował powstawanie pewnych, że tak powiem, „zniekształceń” w uprzednio oficjalnych, teoretycznie autentycznych...

– Zbłądziłem – przyznał Lantano.

– A więc to byłeś ty. – Znał już teraz pochodzenie zakłóceń. Po raz kolejny jego przewidywania okazały się słuszne.

– To był mój błąd – ciągnął Lantano. – Przeze mnie Runcible prawie utracił możliwość wolnej egzystencji, co w tym wypadku oznaczało utratę życia. Oczywiście postanowiłem przerwać swoją działalność, kiedy usłyszałem, że Brose oskarża o nią Runcible’a. Doprowadziłoby to prędzej czy później do wyeliminowania Runcible’a przez agentów Brose’a. Nie chciałem tego. Usunąłem swoje urządzenie zakłócające z jednego z głównych kabli telewizyjnych, ale było już za późno. Brose uknuł już spisek w tym swoim pokręconym, zużyтым, szcwanym, infantylnym mózgu. Tryby zaczęły się obracać, a wszystko z mojej winy. Strasznie się tym przejąłem i...

– Udało ci się wyjść z tego obronną ręką – przyznał Foote.

– Musiało mi się udać. Odpowiedzialność ciążyła tylko i wyłącznie na mnie. Sprawilem, że obawy Brose’a na nowo odżyły. Rzecz jasna nie mogłem się przyznać. Zacząłem więc od Higa. Wyglądało na to, że był to jedyny sposób, aby zrobić coś w tej sprawie, mimo że zrobiło się już tak późno. Był to jedyny sposób, aby zatrzymać projekt, i to w sposób kategoryczny, a nie tylko tymczasowy.

– I w dodatku bez ujawniania się.

– Sytuacja stała się trudna i groźna nie tylko dla Runcible’a – rzekł Lantano, przyglądając się uważniej Foote’owi. – Stała się groźna dla mnie. A ja nie miałem zamiaru tak tego zostawić.

Boże, miej mnie w swojej opiece, pomyślał Foote. Pomóż mi uwolnić się od tego człowieka i przelecieć przez Atlantyk fruwadłem, skontaktować się przez wideofon z Runcible’em i powiedzieć, że już do niego lecę. A jeżeli Runcible nie będzie chciał ze mną rozmawiać?

Ta dość ponura myśl bez reszty zaprzętała Foote’a, kiedy leciał przez całe Stany Zjednoczone do budynków Agencji i biura Josepha Adamsa w Nowym Jorku.

Biuro pogrążone było w ciemności. Adams nie przybył jeszcze na miejsce spotkania.

– Oczywiście wypożyczenie zapisu fal alfa zajmie mu trochę czasu – uspokajał Lantano. Nerwowo spojrzął jednak na zegarek, co u niego było dość niezwykle, i wcisnął przycisk podający godzinę w Nowym Jorku. – Może powinniśmy jednak uzyskać ten zapis z Megawaka

6-V. Zaczynj montowanie wyrzutni. – Stali w korytarzu przed biurem Adamsa przy Piątej Alei numer 580. – Idź już do biura, ja w tym czasie załatwię zapis fal mózgowych.

Lantano szybkim krokiem zaczął oddalać się w nieznanym kierunku.

– Przecież nie wejść bez klucza. O ile mi wiadomo, klucze mają tylko Adams i Brose – zauważył Foote.

Lantano stanął i spojrzął na Foote'a, niezupełnie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Nie możesz...

– Moja firma dysponuje narzędziami, które mogą otworzyć każdy zamek na świecie – rzekł Foote. – Niezależnie od tego, jak bardzo jest skomplikowany i wymyślny. Ale... – W tym momencie nie miał przy sobie takich narzędzi. Wszystkie znajdowały się w Londynie lub lokalnych stacjach terenowych rozsianych po całym świecie.

– W takim razie nie ma co się spieszyć. Poczekamy na Adamsa – zdecydował Lantano, najwyraźniej niezbyt szczęśliwy, ale zmuszony pogodzić się z faktami. Musieli czekać na Adamsa nie tylko po to, żeby przyniósł im zapis fal alfa Stantona Brose'a potrzebnych do nakierowania broni, ale także aby uzyskać dostęp do biura, do którego tłusty, wielki, stary Brose wejdzie z samego rana. Było to jedno z niewielu miejsc poza Genewą, gdzie najwyraźniej czuł się bezpiecznie. Dotarcie do Genewy było niemożliwe. Gdyby okazało się, że muszą zmienić plany i spróbować osiągnąć Brose'a w Genewie, mogli dać za wygraną.

Czekali.

– A co będzie – zaczął w pewnej chwili Foote – jeżeli Adams zmieni zdanie i nie przyjdzie?

Lantano spojrzął na niego uważnie.

– Przyjdzie. – Jego głęboko osadzone czarne oczy zapłonęły na samo wspomnienie takiej ewentualności.

– Czekam jeszcze tylko piętnaście minut – rzekł Foote z cichą godnością, starając się nie patrzeć w ciemne, płonące oczy.

W milczeniu czekali dalej.

Kiedy tak mijała minuta za minutą, Foote myślał: Nie przyjdzie. Wycofał się. A jeśli się wycofał, to na pewno skontaktował się już z Genewą. W takim wypadku czekamy tutaj na ludzi Brose'a. Czekamy na własną śmierć.

– Przyszłość jest serią możliwości, prawda? – spytał Lantano. – Jedne są bardziej prawdopodobne, inne mniej. – Chrząknął. – Czy jedną z możliwości nie jest przypadkiem zmiana decyzji przez Adamsa i poinformowanie Brose'a o naszym planach?

– Tak – odparł Lantano. – Ale jest to mało prawdopodobne. Jedna szansa na czterdzieści.

– Od czasu do czasu mam wizje przyszłości – wyjaśnił Foote. – I właśnie jedna z takich wizji podpowiada mi, że szansa nie jest wcale tak mała. Tak naprawdę, istnieje większe prawdopodobieństwo, że zostaliśmy złapani jak ryba na haczyk. Skazani na eksterminację.

Było to bardzo trudne oczekiwanie.

I niezależnie od tego, co wskazywał zegarek Lantana, trwało bardzo długo.

Foote zastanawiał się, czy uda mu się je znieść.

Czy mu się uda lub, biorąc pod uwagę szybko przemieszczających się agentów Brose'a, czy je przeżyje.

Po zatrzymaniu się na terenie posiadłości Verne'a Lindbloma i wypożyczeniu zapisu fal mózgowych Stanton Brose'a od blaszaka VI generacji Joseph Adams oraz jego świta osobistych blaszaków i goryli z organizacji Foote'a lecieli bez celu, bynajmniej nie w stronę Nowego Jorku ani w żadnym innym, określonym kierunku.

Udawało się to przez parę minut, po czym jeden z footemanów pochylił się do niego z tylnego siedzenia i rzekł wyraźnie:

– Niech pan leci do Agencji w Nowym Jorku. Natychmiast. W innym wypadku będę zmuszony załatwić pana moim laserem.

Mówiąc to, przyłożył zimną, okrągłą lufę pistoletu laserowego do tyłu głowy Josepha Adamsa.

– Też mi ochrona – rzekł gorzko Adams.

– Ma pan spotkanie z panem Foote'em i panem Lantano w pańskim biurze – przypomniał mu komandos. – Niech pan o tym nie zapomina.

Po śmierci Verne'a Lindbloma Joseph Adams na wszelki wypadek postanowił nosić na lewym nadgarstku urządzenie sygnalizacyjne, łączące go dzięki mikrofalom ze świtą blaszaków, które obecnie tłoczyły się po obu stronach przepelnionego fruwadła. Zastanawiał się, co zdarzyłoby się najpierw, gdyby wysłał sygnał. Czy doświadczony komandos Foote'a zabiłby go, czy też blaszaki, weterani wojny, załatwiliby footemana?

Ciekawe zagadnienie.

Od zagadnienia tego zależało ni mniej, ni więcej tylko jego życie.

Ale dlaczego właściwie nie miałby polecieć do Agencji? Co go powstrzymywało?

Boję się Lantana, przyznał się w końcu przed samym sobą. Lantano zbyt dużo wie o śmierci Verne'a Lindbloma. Ale boję się też Stanton Brose'a. Boję się obu, ale Brose stanowi znane mi już zagrożenie. Dlatego też Lantano wzbudza we mnie większe poczucie wszechobecności wewnętrznej i zewnętrznej mgły, która opatula moje życie... Choć Bóg jeden wie, jak bardzo Brose dał mi się we znaki. Jego projekt specjalny był kulminacją przebiegłości i cynizmu, obłęsnego, infantylnego robienia na złość i cieszenia się z efektów swego dzieła.

A będzie jeszcze gorzej, zdał sobie sprawę Adams. Jego mózg będzie się coraz bardziej starzeć, a odżywiający go mikroskopijne naczynia krwionośne przestaną spełniać swoją funkcję. Kolejne fragmenty tkanki, pozbawione tlenu i pożywienia, zaczną obumierać. Na pozostałej części mózgu będzie coraz trudniej polegać z punktu widzenia etycznego i pragmatycznego.

Kolejnych dwadzieścia lat panowania Brose'a będzie jeszcze bardziej ponure, gdyż centralny, główny narząd pograżać się będzie w ciemności, zabierając przy tym ze sobą cały świat. Wtedy Brose, wszyscy Yansowcy, wszyscy ludzie wstrząsani będą konwulsyjnymi

drgawkami poplątanej nici kierującej ładem na Ziemi. Kiedy mózg Brose'a będzie się degenerować, oni jako jego przedłużenie będą się degenerować razem z nim. Boże, co za perspektywa...

Siła, którą zawładnął Lantano, czas, powodowała niszczenie organicznej tkanki Stantona Brose'a. Dlatego też...

Dzięki poruszającej się z dużą prędkością homeostatycznej strzałce z cyjankiem, nakierowanej na osobnika wysyłającego określone fale mózgowo, Brose miał przejść do historii. Czy nie był to wystarczający powód, by polecieć do Nowego Jorku, do biura, gdzie czekali już Lantano i Foote?

Jednak wciąż nieprzekonany organizm Josepha Adamsa wydzieliał hormony strachu, domagając się odprężenia... Czyli, innymi słowy, zmuszając go do ucieczki. Musiał się stąd ewakuować.

Z tego, co zdołał wyczytać z twarzy Foote'a, on także miał podobne odczucia. Chociaż być może nie dochodziły one do głosu z taką siłą, bo gdyby tak było, to właściciel firmy policyjnej w ogóle nie poleciałby do Nowego Jorku. Już dawno byłby daleko stąd. Już on by wiedział, jak się z tego wypłatać. Adams niestety nie miał pojęcia, jak to zrobić. Nie był na to przygotowany.

– Dobrze – odparł Adams do siedzącego za nim komandosa Foote'a, który trzymał pistolet laserowy przy jego głowie. – Przez chwilę byłem dezorientowany. Już wszystko w porządku. – Zmienił kierunek fruwadła i zaczął lecieć do Nowego Jorku.

Komandos cofnął pistolet i włożył go do wiszącej u ramienia kabury. Fruwadło mknęło w kierunku północno-zachodnim.

Joseph Adams włączył urządzenie sygnalizacyjne na lewym nadgarstku. Mikrofalowy impuls natychmiast obudził blaszaki. Adams jednak nie dostrzegł żadnej ich reakcji. Podobnie zresztą jak czterech komandosów Foote'a.

W czasie gdy Adams wpatrywał się z uporem w rozłożone przed nim urządzenia kontrolne, jego blaszaki po krótkiej walce, która toczyła się jednak w prawie zupełnej ciszy, zabiły czterech footemanów. Cichy odgłos szamotaniny skończył się tak szybko, że Adams nie mógł uwierzyć, że polecenie zostało wykonane. Tylne drzwi fruwadła zostały otwarte, a blaszaki, wydając z siebie odgłosy przypominające postukiwanie i wycie, wyrzuciły ciała czterech footemanów w nocną przestrzeń, która, jak się wydawało Adamsowi, nie miała końca.

– Nie mogłem lecieć do Nowego Jorku – wyrzucił z siebie Adams. Zamknął oczy. *In nomine Domini*, pomyślał. Czterech footemanów nie żyje. Ten straszny fakt pozostanie mu w pamięci już na zawsze, będzie go wszędzie prześladować. To on wydał rozkaz, chociaż sam tego nie zrobił. To tylko pogarszało sytuację. Przestraszyłem się i spanikowałem. Straszli, że mnie zabiją, jeśli nie polecę do Nowego Jorku, a ponieważ nie mogę tego zrobić... Boże chroń każdego z nas. Żeby żyć, musimy niszczyć. Oto cena, którą należy zapłacić: cztery życia za

jedno.

Tak czy inaczej zadanie zostało wykonane. Zawrócił więc fruwadło w kierunku południowym. Leciał więc teraz na południowy wschód. Nowego Jorku już nigdy w życiu miał nie zobaczyć.

Leciał przez wiele godzin, zanim dostrzegł oświetlone miejsce wykopu.

Zgodnie z instrukcjami Adamsa fruwadło zaczęło spiralnie schodzić w dół. Do miejsca, gdzie Nicholas St. James, były osadnik, kopał z pomocą blaszaków Lantana, szukając przedwojennego, wojskowego magazynu medycznego armii Stanów Zjednoczonych i sztucznych narządów... Jeśli takie w ogóle się tam znajdowały i jeśli kopali w odpowiednim miejscu.

Po wylądowaniu Adams ruszył w kierunku kopiących. Dostrzegł byłego osadnika Nicholasa St. Jamesa, który siedział pomiędzy pudłami i kartonowymi skrzyniami. Adams zrozumiał, że miejsce okazało się właściwe. Odnaleziono przedwojenne, amerykańskie magazyny.

Nicholas podniósł wzrok na pierwszego blaszaka.

– Kto idzie? – spytał.

W tym samym czasie blaszaki Lantana przestały kopać i bez niczyjej komendy przemieściły się w kierunku Nicholasa, aby go ochraniać. Ich macki momentalnie i sprawnie opadły do miejsc, gdzie nosiły broń.

Adams wydał rozkaz i jego blaszaki również otoczyły go ze wszystkich stron w podobnym szyku obronnym. Obaj w tym momencie byli oddzieleni od siebie orszakiem blaszaków, tak że nawet siebie nie widzieli.

– St. James, pamiętasz mnie? Tu Joe Adams. Spotkaliśmy się w posiadłości Davida Lantano. Przyleciałem, żeby zobaczyć, jak ci idzie. Czy udało ci się znaleźć tę trzustkę.

– Miałem fart – odrzyknął Nicholas. – Ale po co ci te blaszaki? Obawiasz się, że ktoś cię zaatakuje? A jeśli tak, to kto?

– Nie chcę walczyć – odparł Adams. – Mogę odwołać blaszaki? Dasz mi słowo, że zrobisz to samo ze swoimi i nie będziesz w żaden sposób dążyć do konfrontacji?

Nicholas wydawał się zaskoczony.

– Przecież wojna jest już skończona. Blair tak powiedział. Poza tym widziałem posiadłości. Dlaczego jeden z nas miałby „dążyć do konfrontacji”?

– Bez powodu. – Adams odwołał swoje blaszaki. Rozproszyły się niechętnie, bo przecież każdy z nich był weteranem wojennym, weteranem prawdziwej wojny, która toczyła się trzynaście lat temu.

Adams podszedł sam do byłego osadnika.

– Czy znalazłeś trzustkę?

Podniecony jak małe dziecko, które dostało właśnie nową zabawkę, Nicholas rzekł:

– Tak! Znalazłem trzy sztuczne narządy: serce, nerkę i trzustkę, jeszcze schowaną w opakowanie fabryczne i zapieczętowaną. – Z dumą wskazał na pudełko. – Zatopiona w plastiku, żeby nie było dostępu powietrza. Będzie działać równie dobrze jak w momencie produkcji. Tu jest napisane, że opakowanie chroni zawartość co najmniej przez pięćdziesiąt lat.

– To ci się udało. – Adams się uśmiechnął. Dostałeś to, po co wyszedłeś na światło dzienne. Twoja podróż zakończyła się sukcesem. Szczęściarz z ciebie. Gdyby tylko w moim przypadku było to równie proste. Gdyby do życia potrzebny mi był przedmiot, który można trzymać w dłoni. Przedmiot realny i trwały, równie namacalny jak moje obawy. Gdyby mój strach ograniczał się tylko do tego, że mogę nie znaleźć jednego, ściśle określonego wynalazku z czasów wojny. A jeśli już to znajdę, to że nie uda mi się go utrzymać. Różnica między nami polega jednak na tym, że ja straciłem i posiadłość, i pracę. Za chwilę zejść pod powierzchnię, tylko po to, żeby nie być następną ofiarą po Lindblomie. Bo ja wiem, że to David Lantano stoi za tym wszystkim. Wiedziałem to już w momencie, kiedy Lantano przyznał się, że ma wyrzutnię strzałek, broń, którą wszyscy znamy: homeostatyczną poruszającą się z dużą szybkością strzałkę z cyjankiem, ewentualnie jak w przypadku Verne’a, poruszającą się z małą prędkością. W dodatku nie jakąś tam starą, pordzewiałą strzałkę, ale świetnie działającą... Taką jak ta, która zabiła Verne’a... Skuteczne urządzenie, przeniesione bezpośrednio sprzed trzynastu lat, z czasów wojny, dzięki sprzętowi do podróżowania w czasie, który miał Lantano. Miało być zainstalowane w moim biurze i powinno było zabić Brose’a, tak jak wcześniej zabiło Verne’a. Niewątpliwie śmierć byłaby natychmiastowa i bezbolesna, ale mimo wszystko stanowiłaby morderstwo podobne do tego, którego dopuściłem się, zabijając tych czterech komandosów. Ale tak właśnie wygląda sytuacja. A ja nie mam zamiaru przyglądać się dalszemu jej rozwojowi. Schodzę pod ziemię. Jeśli mi się to uda.

– Wracasz do swojej osady? – spytał Nicholasa.

– I to natychmiast. Im krócej Souza będzie leżał w zamrażarce, tym lepiej. Przecież zawsze istnieje możliwość uszkodzenia mózgu. Zostawię blaszaki Lantana, żeby kopały dalej i wydobyły resztę sprzętu. Lantano i Foote mogą się podzielić tym, co zostanie znalezione, albo jakoś inaczej dojść do porozumienia.

– Wydaje mi się, że łatwo dojdą do ugody – zauważył Adams. – Foote załatwił mapę, Lantano blaszaki i sprzęt do kopania. Na pewno podzielą między siebie znaleziska. – Ciekawe tylko, myślał Adams, że dostałeś te trzustkę ot tak, bez niczego. Nic od ciebie nie zażądali. A więc nie są złymi ludźmi, przynajmniej w ogólnie przyjętym znaczeniu. Foote i Lantano razem zorganizowali ci to, czego pozbawił cię – i każdego innego mieszkańca tej planety – Brose. Tego, co zarezerwował tylko dla siebie. Brose, który nie zna słowa „litość”.

– Wydawało mi się, że miałeś się z nimi spotkać w Nowym Jorku – rzekł Nicholas.

– Poradzą sobie. – Z Megawaka 6-V wyciągną zapis fal mózgowych Stantona Brose’a,

pomyślał. Na pewno prędzej czy później o tym pomyślą, kiedy nie będą się mogli mnie doczekać. Pewnie już to zrobili. Jeśli nie uda im się zainstalować strzałki w jego biurze, jeśli nawet za pomocą narzędzi Foote'a nie sforsują skomplikowanego zamka do biura i nie uda im się wejść do środka, to znajdą odpowiednie miejsce w korytarzu, stanowiącym jedyną drogę prowadzącą do biura. Drogę, którą Stanton Brose będzie musiał iść, aby dotrzeć do pokoju Adamsa. Wiedział, że Lantano i Foote wspólnie na pewno poradzą sobie w tej sytuacji.

Nigdy mu jednak nie zapomną, że nie przyszedł. Jeśli nie uda im się zabić Brose'a, to stara góra tłuszczu bez wątpienia zniszczy ich i prawdopodobnie również Adamsa. Jeśli jednak ich plan się powiedzie... No cóż, możliwe, że w jakimś bardziej dogodnym, późniejszym terminie, kiedy Foote i Lantano, szczególnie ten drugi, dojdą do władzy, postarają się go odnaleźć. Będą mieli mnóstwo czasu na zemstę. Tak czy inaczej ktoś się na nim zemści. Niezależnie od tego, jaki będzie efekt zainstalowania strzałki w korytarzu Agencji lub w biurze przy Piątej Alei numer 580 w Nowym Jorku.

– Czy mówiłeś kiedyś Lantano, z jakiej osady pochodzisz? – spytał Nicholasa.

– Pewnie, że nie – zachnął się Nicholas. – Muszę chronić swoich ludzi. Mam żonę i młodszego brata w... – Urwał. – Ale powiedziałem to jednemu byłemu osadnikowi w ruinach Cheyenne. Nazywał się Jack Blair. – Stoicko wzruszył ramionami. – Ale Blair pewnie nie będzie nawet pamiętał. Oni wszyscy wyglądali tam na trochę obłąkanych. – Spojrzał na Adamsa i oświadczył: – Jestem legalnie wybranym prezydentem osady. Cięży na mnie ogromna odpowiedzialność. To właśnie dlatego wysłali właśnie mnie na powierzchnię, żeby załatwić protezę. – Obrócił się i ruszył w kierunku zaparkowanego fruwadła.

– Czy mogę pójść z tobą? – spytał za nim Adams.

– Do... – Nicholas wyglądał na zaskoczonego, ale przede wszystkim zmartwionego. Najważniejsza dla niego była trzustka, przyniesienie jej w stanie nienaruszonym do osady. – To znaczy, że chcesz zejść ze mną na dół? Dlaczego?

– Zamierzam się ukryć – wyjaśnił krótko Adams.

– Przed Lantanem – raczej stwierdził, niż spytał Nicholas po chwili milczenia.

– Przed wszystkimi – odparł Adams. – Zabili mojego jedynego przyjaciela, zabiją i mnie. Ale jeśli zejdem pod powierzchnię, a oni nie będą wiedzieć, w której osadzie jestem, to być może, jeśli wasz pol-kom nas nie wyda...

– Mój pol-kom – rzekł cicho Nicholas – zszedł do nas z Estes Park po zakończeniu wojny. Znał prawdę. A więc wkrótce nie będziemy mieć pol-koma w osadzie. A przynajmniej nie tego.

Kolejna śmierć, pomyślał Adams. Ta też okaże się „konieczna”. Jak każda inna. Jak moja. Mimo wszystko... Ta zasada, ta konieczność zawsze istniała w odniesieniu do wszystkich żyjących istot. Tak więc w naszym przypadku jest to jedynie przyspieszenie naturalnego, organicznego procesu.

– Pewnie – rzekł w końcu Nicholas. – Będzie nam miło. Z tego, co mówiłeś w posiadłości Lantana, wnioskuję, że jesteś tu piekielnie nieszczęśliwy.

– Piekielnie – powtórzył jak echo Adams. Piekło jest miejscem pogrążonym w czerwonych językach płomieni, rozżarzonego węgla, wielkich garnków wypełnionych przez wojnę sprzed trzynastu lat... Najpierw przeżywał piekło przez cały okres wojny. Potem pogrążył się w innej formie cierpienia: zimnej, otaczającej go mgłę. Później przyszedł czas na jeszcze bardziej przerażającą pustkę wpędzającą go w kolejną agonię, która rozpoczęła się w momencie, gdy dowiedział się o śmierci Lindbloma.

– Będziesz się musiał przyzwyczaić do panującego na dole tłoku – rzekł Nicholas, kiedy szli obydwoj w stronę zaparkowanego fruwadła. Blaszkaci Adamsa podążali za nim gęsiego. – Poza tym nie możesz zabrać ich ze sobą... – Wskazał ręką na świtę blaszaków. – Musisz iść sam. Nie ma miejsca. W mojej kabinie dzielimy na przykład łazienkę...

– W porządku. – Adams westchnął. Zgodziłby się na wszystko, z przyjemnością oddałby swojego ostatniego blaszaka. I chętnie dzieliłby łazienkę z mieszkańcami pokoju obok. Nawet by się cieszył. Może w ten sposób odbiłby sobie wszystkie lata samotności, które przeżył jako właściciel wielkiej, cichej, otoczonej lasem posiadłości, która często osnuta była mgłą znad oceanu. Straszna, pustą mgłą znad Pacyfiku.

Osadnicy by tego nie zrozumieli. Może nawet nie potrafiliby pojąć jego zdolności przystosowania się do takiego tłoku... Po tym, jak był urzędnikiem rządowym ZachDemu w Estes Park. Tak przecież im powie, tak będzie musiał powiedzieć. Zejdzie na dół jako pol-kom, aby dzielić z nimi ich niedolę... tak przynajmniej pomyślą.

Co za ironia losu.

Fruwadło leciało przez ciemną noc, kierując się na północny zachód. Zmierzało do Cheyenne, a na jego pokładzie znajdowały się tylko dwie osoby. Wszystkie blaszaki należące do Adamsa i Lantana zostały, aby kontynuować kopanie. Adams zastanawiał się, czy wzięły się już za łby, czy utajony dotąd spór pomiędzy nimi wybuchł już na dobre. Pewnie tak.

Otworzenie pionowego tunelu prowadzącego do Tom Mix stanowiło nie lada problem. Dopiero o świcie zdołali za pomocą sprzętu przywiezionego z posiadłości Adamsa na wybrzeżu Pacyfiku odgarnąć twardą, nalaną skorupę, którą blaszaki Lantana utworzyły tutaj, aby zablokować kolejne próby przebicia się na powierzchnię ziemi. Nicholas i Adams mieli szczęście, że w ogóle odnaleźli właściwe miejsce. Pomogła im w tym nadgorliwość blaszaków. Miejsce było dość łatwo rozpoznać nawet w nocy dzięki jałowej, gładkiej i niepokrytej żadnymi roślinami powierzchni, która wyraźnie odcinała się na tle zieleni.

Wejście stało wreszcie otworem. Fachowa robota nie funkcjonujących już blaszaków została zniweczona. Parze ludzi praca zajęła kilka godzin.

Adams przełączył fruwadło na automatycznego pilota i wysłał je w szare światło wczesnego poranka. Gdyby stało tutaj, stanowiłoby świetną wskazówkę dla ewentualnej pogoni. Problemem jednak było zamknięcie tunelu w taki sposób, aby nawet za pomocą odpowiednich instrumentów nie zdołano go odnaleźć.

W tym celu Nicholas i Adams przygotowali „korek” z twardej, pokrytej roślinami darni, która została dobrana tak, aby idealnie przykrywać wejście do tunelu. Było to dosyć proste. Teraz wcisnęli się do tunelu i korzystając z wielu łańcuchów przyczepionych do stalowych prętów znajdujących się na dolnej stronie „korka”, naciągnęli kawał twardej ziemi na otwór. Nagle szare światło poranka zgasło. Mieli ze sobą latarki. Naciągnęli łańcuchy i w ten sposób umocowali darń na swoim miejscu.

Wtedy ostrożnie odczepili wszystkie metalowe części od ziemi. Wiedzieli, że detektory, które zostaną użyte, rejestrować będą obecność metalu. Miał to być trop, jakim kierować się będzie pogoń, która na pewno zjawi się tutaj pewnego dnia.

Pięć minut później Nicholas wypchnął nogami zamknięcie tunelu na jego dolnym końcu. Komitet aktywistów osady, działający zgodnie z wprawnymi poleceniami Jorgensona wykonał wejście w ten sposób, że łatwo otwierało się od góry. Przecież gdyby Nicholas miał wrócić, z trzustką albo bez niej, szedłby właśnie tą drogą.

Całe kierownictwo komitetu, Haller, Flanders i Jorgenson, stłoczone w ciasnym magazynku na pierwszym poziomie, czekało ze swoimi małymi, własnoręcznie wykonanymi w zakładach osady pistoletami laserowymi.

– Nasłuchiwalismy przez godzinę – powiedział Jorgenson. – Słyszeliśmy walenie

i chrobotanie, gdy otwierano tunel. Oczywiście zainstalowaliśmy system alarmowy, który obudził nas dokładnie o czwartej nad ranem. Jak się panu udało? – Ujrzał w dłoniach Nicholasa aluminiowy pojemnik.

– Udało mu się – stwierdził Haller.

– Mam trzustkę – potwierdził Nicholas. Podał cylinder Jorgensonowi, po czym obrócił się, by pomóc Adamsowi wyjść z tunelu i wepchnąć się do i tak już zatłoczonego magazynku. – A co z Dale'em Nunesem? Czy wysłał raport do...

– Nunes nie żyje – oświadczył Jorgenson. – Miał wypadek. W zakładach na dolnym poziomie. On... No wie pan, jak zwykle nawoływał do zwiększenia produkcji. Podszedł za blisko do kabla zasilania. A z jakiegoś powodu – zapomniałem dlaczego – kabel nie miał właściwej izolacji.

– Jakiś niezdara popchnął Nunes do tyłu, tak że przewrócił się na kabel – dodał Haller. Została z niego kupka popiołu. – Pokiwał głową. – Już go pochowaliśmy. Mieliśmy do wyboru to albo przesłanie na górę raportu dotyczącego pańskiej nieobecności.

– W pańskim imieniu, tak jakby pan tu ciągle był, przesłaliśmy na powierzchnię, do Estes Park, oficjalny raport. Poprosiliśmy o innego pol-koma, który zastąpiłby komisarza Nunesa; oczywiście wyraziliśmy swój żal z powodu wypadku.

Zapadła cisza. Przerwał ją Nicholas.

– Zaniosę trzustkę Carol. – Potem zwrócił się do towarzyszy: – Nie przyniosłem tego tutaj, żebyśmy mogli wyrobić normę. Zrobiłem to dla Souzy. Normy nie są już ważne.

– Jak to? – zdziwił się Jorgenson. – Co się dzieje na powierzchni? – Nagle zauważył Adamsa i zdał sobie sprawę, że Nicholas nie wrócił sam. – Kto to? Niech pan nam to lepiej wytłumaczy.

– Zrobię to, kiedy będę miał ochotę – odparł Nicholas.

– Nadal jest prezydentem osady – przypomniał Jorgensonowi Flanders. – Może robić, co chce. Do jasnej cholery, przecież przyniósł trzustkę. Czego jeszcze oczekujesz, że wygłosi do nas przemówienie?

– Byłem tylko ciekaw – wycofał się niepewnie Jorgenson.

– Gdzie Carol? – spytał Nicholas, mijając wraz z Josephem Adamsem członków komitetu i idąc w kierunku drzwi magazynku. Doszedł do drzwi i dotknął klamki...

Drzwi były zamknięte.

– Nie możemy stąd wyjść, panie prezydencie – odezwał się Jorgenson. – Żaden z nas.

– Kto tak powiedział? – spytał Nicholas po chwili wahania.

– Carol – wyjaśnił Haller. – Z pańskiego powodu. Mógłby pan nam tu przywlec Czarną Zarazę, Śmierdzącego Pokurcza albo jakąś inną chorobę bakteryjną... – Wskazał na Adamsa. – Ten facet zresztą też. My też jesteśmy teraz załatwieni, bo powiedzieliśmy, że musimy czekać

u wylotu tunelu. Na wypadek gdyby się okazało, że to nie pan uruchomił alarm. A gdyby to był pan... – Zawahał się. – No cóż, czuliśmy, że powinniśmy tu przyjść. Żeby, no wie pan, oficjalnie być na miejscu. Żeby pana powitać. – Zawstydzony opuścił wzrok. – Nawet gdyby nie zdobył pan tej trzustki. Przynajmniej pan spróbował.

– Ryzykował pan swoje życie – potwierdził Jorgenson.

– Pod groźbą wysadzenia w powietrze. Razem z moją żoną i bratem – rzekł cierpko Nicholas.

– Może i tak – zgodził się Jorgenson. – Ale jednak pan poszedł i skombinował trzustkę. Więc nie wychylił pan tylko głowy, żeby potem wśliznąć się z powrotem i powiedzieć: „Przykro mi chłopcy, nie udało się”. A mógł pan tak zrobić. W żaden sposób byśmy tego nie sprawdzili.

Wszyscy wyglądają na zażenowanych, jakby przyznawali się do winy, pomyślał Nicholas. Wstydzą się taktyki terroru, jaką zastosowali, żeby wysłać go na powierzchnię. Ich prezydent wrócił jednak już ze sztucznym narządem potrzebnym Souzie. Mechanik może zostać odmrożony i po udanej operacji powrócić do pracy. Produkcja blaszaków znów podskoczy i zaczniemy wypełniać normę. Tylko że teraz znał prawdę, której istnienia nawet nie podejrzewał, kiedy opuszczał osadę i wdrapywał się przez tunel na powierzchnię ziemi, żeby dowiedzieć się tego, co komisarz Dale Nunes wiedział od dawna.

Nic dziwnego, że Nunes nalegał, aby każdy przekazywał informacje na górę tylko przez odpowiednie kanały, czyli przez niego. Bezpośredni kontakt ze światem był zakazany.

Nic dziwnego, że obecność pol-koma w każdej osadzie jest tak ważna.

Zawsze było dość oczywiste, że pol-kom wykonywał swoją pracę dla kogoś... Tym kimś, jak podejrzewali wcześniej, był rząd w Estes Park. Jednak dzięki swojej podróży na górę Nick dowiedział się, dla kogo naprawdę ważna jest praca pol-koma.

– Dobra – mruknął Nicholas do komitetu. Puścił klamkę drzwi. – I co Carol chce teraz zrobić? Przeprowadzić jakiś proces odkażania? – Zabić bakterie, mikroby i wirusy, które – jak już teraz wiedział – w ogóle nie istniały? Kusiło go oczywiście, by powiedzieć im prawdę, ale powstrzymał się. Wiedział, że jeszcze nie nadszedł czas. Gdyby dowiedzieli się prawdy w nieodpowiedniej chwili, mógłby nie zapanować nad ich reakcją. Nad ich uzasadnionym gniewem. Wysypaliby się wszyscy przez tunel z małymi, własnoręcznie wykonanymi pistoletami laserowymi, a blaszaki zmasakrowałyby jednego po drugim. Wtedy i dla Nicka gra byłaby skończona.

– Powiadomiliśmy już Carol przez interkom, że pan wrócił – przerwał ciszę Jorgenson. Powinna zaraz tu dotrzeć. Proszę spokojnie poczekać. Souza jest zamrożony, nic się nie stanie, jak jeszcze chwilę poczeka. Carol przeszczepi trzustkę około południa. My w tym czasie powinniśmy zdjąć ubrania i złożyć je w jednym miejscu. Potem przejdziemy jeden za drugim przez komorę, która znajduje się po drugiej stronie drzwi. Tam zostaniemy spryskani

odpowiednimi środkami dezynfekcyjnymi, które...

– Nigdy nie podejrzewałem, że to tak wygląda – odezwał się Adams do Nicholasa. – Że oni w to tak wierzą. Niesamowite. – Wyglądał na mocno zaskoczonego. – Myśleliśmy tylko o tym, jak by to przyjęli. Ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego... – Uczynił nieokreślony gest ręką.

– Podchodzą do tego bardzo poważnie – odparł cicho Nicholas. – Emocjonalnie i na serio, aż do bólu. Na poziomie fobii zwierzęcej. Bardziej serio już nie można. – Z rezygnacją zaczął zdejmować ubranie. Jeśli nie mógł im powiedzieć prawdy, to musiał stosować się do zaleceń Carol. Wszystko musiało się odbyć zgodnie z rytuałem.

W końcu i Adams, jakby tknięty jakimś dziwnym poczuciem, zaczął rozpinać guziki koszuli.

Tego popołudnia, o godzinie pierwszej, Carol Tigh wykonała zakończoną powodzeniem operację przeszczepienia trzustki zamrożonemu, nieżywemu Souzie. Później, używając najbardziej skomplikowanego sprzętu medycznego, przywrócono mechanikowi akcję serca i płuc. W końcu serce samo zaczęło pompować krew, a stymulatory poszczególnych narządów mogły już zostać jeden po drugim zdjęte z ciała Souzy.

Zapis EEG i EKG w ciągu następnych, krytycznych godzin wskazywał, że procesy toczące się w organizmie przebiegają prawidłowo. Stary Souza miał duże szanse – bardzo duże szanse – na powrót do zdrowia i przeżycie jeszcze co najmniej paru dobrych, ważnych lat.

A więc wszystko zakończyło się pomyślnie. Nicholas, po spędzeniu kilku godzin przy łóżku starego mechanika i przyglądaniu się, jak rejestratory wypluwają z siebie taśmy pokrytego zygzakami papieru, w końcu mógł pójść do siebie.

Miał wreszcie szansę spotkać się ze swoją rodziną tłoczącą się w dwóch ciasnych, sąsiednich kabinach i dzielonej łazience, o którą wiecznie toczyły się spory. Nicholas miał wrócić do codziennego życia osady.

Na krótko jednak.

Kiedy tak szedł korytarzem kliniki w kierunku rampy prowadzącej na jego piętro, pomyślał, że pewnego dnia zabrzmi trąba i wstaną nie umarli, ale oszukani. Śmiertelni, ułomni i nade wszystko – rozwścieczeni.

Gniazdo wściekłych, podrażnionych os, gotowych do ataku. Najpierw pójdzie Tom Mix, ale do tego czasu uda nam się wreszcie skontaktować z sąsiednimi osadami. Im też powiemy prawdę i nakażemy, aby przekazywali ją dalej. Aż do momentu, kiedy wszyscy będą ją znać. W końcu na całym świecie obudzą się wściekłe osy, a jeśli razem ruszą do ataku, to żadna armia blaszaków nie zdoła ich pokonać. Może co najwyżej niektórych. Jedną trzecią z nich, ale nie więcej.

Wszystko jednak zależało od transmisji telewizyjnych, jakie miały się ukazać w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Od tego, co Talbot Yans, prawdziwy albo zmyślony, miał im do powiedzenia.

Nick miał zamiar na to poczekać.

Który z nich będzie do nich przemawiać? Brose czy Lantano? Który z nich żył jeszcze i był u władzy?

Następne przemówienie Yansa, następna dawka słowa mówionego na pewno mu to zdradzi. Prawdopodobnie wystarczy pierwszych dziesięć słów wypowiedzianych przez osobę na ekranie.

Którego z nich wolałbym zobaczyć? – zastanawiał się Nicholas, docierając do drzwi swojej kabiny. Adams wie chyba lepiej, co byłoby dla nas korzystniejsze. David Lantano był dla mnie

dobry. Dzięki niemu znalazłem trzustkę. Ale wcześniej jego blaszaki chciały mnie zamordować... i udałoby się to, gdyby ich właściciel, będący akurat w fazie wieku Yansa, im nie przeszkodził. A może pojawi się jakaś nowa kombinacja władzy. Może ani Lantano, ani Brose nie będą rządzić światem. Kiedy pracowali nad otwarciem tunelu, Adams wspominał o możliwości nowego przymierza, pomiędzy Websterem Footem, z jego światową firmą policyjną, i Louistem Runcible'em z gigantyczną, przerośniętą satrapią. Wielu z byłych osadników bardzo łatwo było zachęcić do boju przeciwko armii blaszaków. Byli często starymi wygami wojennymi i pod lada pretekstem chętnie by jeszcze powalczyli... Niezależnie od tego, czy dowodziłby nimi Stanton Brose, czy David Lantano.

Otworzył drzwi swojej kabiny.

W środku siedziała Rita, która rzekła cicho:

– Cześć.

– Cześć – odparł, stojąc w drzwiach. Nie wiedział, czy powinien wejść, czy nie, starał się wyczuć intencje żony.

Rita podniosła się i powiedziała:

– Miło, że do nas wróciłeś. Miło cię znowu widzieć. Jak się masz? – Podeszła do niego z wahaniem. – A więc nie zaraziłeś się Czarną Zarazą? Tego się najbardziej bałam. Tego, co słyszałam, widziałam w telewizji, i tego, co mówił Dale Nunes, zanim... przepadł.

Objął ją i przytulił.

– W porządku – ciągnęła Rita, mocno do niego Ignąc. – Właśnie była wiadomość, że za chwilę mamy się wszyscy zebrać w Sali Sterowniczej, żeby posłuchać Protektora, ale ja nie idę. Jak wiesz, Nunes nie żyje i nie ma chwilowo nikogo, kto mógłby nas zmusić do pójścia tam. Chcę zostać. Z tobą. – Przytuliła się jeszcze mocniej. Nick jednak delikatnie rozsunął jej ramiona. – O co chodzi? – spytała zdziwiona.

– Idę do Sali Sterowniczej. – Ruszył w kierunku drzwi.

– Co cię obchodzi...

Nie miał czasu na wyjaśnienia. Pobiegł szybko korytarzem do rampy.

Chwilę później wraz z jedną piątą albo jedną szóstą mieszkańców osady Nicholas St. James wszedł do Sali Sterowniczej. Zauważył Josepha Adamsa, podszedł i usiadł koło niego.

Ogromny ekran telewizyjny sięgający od podłogi do sufitu był włączony. Pulsował, ale jeszcze nic nie pokazywał.

Adams rzekł krótko:

– Czekamy. Spiker właśnie powiedział, że nastąpiła pewna „awaria”. – Na bladej twarzy Adamsa malowało się zdenerwowanie. – Na ekranie pojawił się na moment Yans, ale natychmiast obraz zgasł. Tak jakby... – spojrzął na Nicholasa – kabel został przecięty.

– Jezu – jęknął Nicholas i poczuł, że jego serce zatrzymało się, po czym ponownie zaczęło

bić właściwym rytmem. – A więc nadal walczą.

– Zaraz się dowiemy. – Adams starał się zachować spokój, jak przystało na profesjonalistę. – To długo nie potrwa.

– Siedział przy dużym dębowym stole? Z flagą?

– Nie zdążyłem zauważyć. Obraz ukazał się tylko na ułamek sekundy. Wydaje mi się... – głos Adamsa brzmiał cicho, ale dość wyraźnie. Wokół osadnicy zajmowali miejsca, ziewali, mruzczyli coś do siebie i rozmawiali, niezbyt zdziwieni przerwą. Niczego się nie spodziewali. Nie wiedzieli, co to wszystko oznacza dla nich, dla ich wspólnej i osobistej przyszłości, dla ich życia.

– Audycja nie zaczęła się punktualnie o dziewiątej czasu nowojorskiego. Najwyraźniej będzie leciała na żywo. – Spojrzał na zegarek. – W Agencji jest szósta wieczorem. A więc cały dzień coś się działo. – Spojrzał ponownie na wielki ekran i ucichł. Czekał.

– Czyli strzałka nie dotarła do celu – zauważył Nick.

– Być może. Ale to nie koniec. Lantano nie podda się tak łatwo. Przemyślmy wszystko po kolei. Przede wszystkim, jeśli strzałka nie dotarła do celu, to na pewno przesłała informację o niewykonaniu zadania do osoby instalującej. A więc niezależnie od tego, jak daleko był Lantano, nawet w odległości tysięcy mil, od razu wiedział o niepowodzeniu. A Foote... On tak czy inaczej nie siedział beczynnie tyle czasu. Liczę na to, że poleciał do Kapsztadu. Jeśli ma trochę oleju w głowie, a jestem pewien, że ma, to na pewno tam poleciał. I wyjawiał Runcible'owi, na czym miał polegać projekt specjalny. Nie zapominaj, że w przytułkach Runcible'a mieszkają tysiące byłych osadników, którzy być może zostali już przez Runcible'a przeszkoleni, uzbrojeni i przygotowani do... – Urwał.

Na ekranie pojawiły się ogromne, trójwymiarowe, kolorowe, znajome kształty równo ostrzyżonego Talbota Yansa.

– Moi drodzy Amerykanie – zaczął Yans swoim poważnym, stanowczym, doniosłym i rozważnym głosem. – Dziękuję Bogu, że wy i ja dożyliśmy dnia, w którym mogę wam oznajmić rzecz tak nieskończenie ważną. Moi przyjaciele... – Głos dławiał się z emocji przewycięzonych jednak przez żelaznego wodza. Przemawiał do nich Talbot Yans, zawsze tak silny, a jednak teraz drżący od emocji. Nicholas nie mógł dostrzec najważniejszego: czy był to sim, który przemawiał zawsze do nich z ekranu telewizyjnego, czy też...

Kamera powoli zjechała z Yansa i ukazała dębowy stół, a potem flagę. Jak zwykle.

– Brose ich załatwił – szepnął Nicholas do Adamsa. – Zanim oni zdążyli załatwić jego. – Czuł się ociężały i przygnębiony. Gra była skończona.

To koniec. I... może to lepiej. Kto wie? Nadal jednak przed Nicholasem, przed wszystkimi osadnikami leżało zadanie do wypełnienia. Wojna totalna do samego końca, przedarcie się na powierzchnię ziemi i próba pozostania tam na dłużej.

Talbot Yans na ekranie mówił drżącym głosem:

– Mogę powiedzieć wam wszystkim, którzy pracowaliście pod ziemią od tak dawna przez długie lata...

– No wyduś to wreszcie z siebie! – nie wytrzymał Adams.

– ...bez narzekania, pracując i cierpiąc, a jednak wierząc w lepsze jutro. Mogę wam dziś powiedzieć, że wasza nadzieja nie była bezpodstawna. Moi przyjaciele, wojna się skończyła. -

Wszyscy osadnicy znajdujący się w Sali Sterowniczej zamarli w aktualnie zajmowanej pozycji. Zapadła cisza. Nicholas i Adams spojrzeli na siebie.

– Już wkrótce, moi mili – kontynuował Yans poważnym głosem – znowu wyjdziecie na zalaną słońcem powierzchnię ziemi. Będziecie z początku zszokowani tym, co ujrzycie. Nie będzie to łatwe i muszę wam powiedzieć, że operację należy przeprowadzić bardzo ostrożnie. Krok po kroku. Ale najgorsze jest już za nami. Wszelkie walki zostały przerwane. Związek Radziecki, Kuba i inne kraje DemoLudów poddały się i zgodziły na...

– Lantano – rzekł, nie wierząc własnym uszom Adams. Nicholas wstał i ruszył pomiędzy ławkami Sali Sterowniczej do wyjścia.

W korytarzu stał chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad sytuacją. Wszystko wskazywało na to, że Lantano, z Websterem Foote'em albo sam, dopadł Brose'a nad ranem i zabił go strzałką z trucizną. Zresztą nawet jeśli nie nad ranem i nie strzałką, to tak czy inaczej wyeliminował starego tłuszciocha w sposób profesjonalny i skuteczny zarazem. Atak musiał być skierowany przeciw samemu mózgowi, ponieważ ten właśnie narząd nie mógł zostać wymieniony. Gdyby zniszczono mózg, wszystko byłoby skończone. I najwyraźniej było skończone.

A więc Brose nie żyje, zdał sobie sprawę Nicholas. Nie ma wątpliwości. To był dowód... dowód, na jaki czekaliśmy. Ten jedyny znak, który został przekazany nam na dół. Rządy Yansowców, mistyfikacje trzynastu lat albo raczej czterdziestu trzech, jeśli zaczynało się liczyć od momentu sfabrykowania filmów Fischera, wszystko to się skończyło.

Miało przyjść lepsze albo gorsze.

Koło niego pojawił się Adams. Przez chwilę milczeli, po czym Adams się odezwał:

– W tym momencie wszystko zależy od Runcible'a i Foote'a. Może uda im się zmusić Lantana do współpracy. Urobić go. W rządzie amerykańskim mówiło się: „Rozdzielić władzę”. Może uda im się doprowadzić go przed Najwyższy Trybunał. Jeśli będą nalegać... – Machnął ręką. – Bóg jeden wie. Mam nadzieję, że im się uda. Ale się porobiło, Nick. Jak Boga kocham... nie muszę być na górze, żeby się domyślić, co tam się dzieje. Straszny galimatias, który jeszcze przez długi czas będzie panować.

– Ale – przypomniał Nicholas – mamy zacząć wychodzić na powierzchnię.

– Jestem tylko ciekaw – zastanawiał się na głos Adams – w jaki sposób Lantano albo ktoś inny, kto w tej chwili kontroluje sima, ma zamiar wytłumaczyć osadnikom te tysiące mil trawy

i drzew zamiast pogorzeliisk i radioaktywnych zgliczcy. – Adams uśmiechnął się i skrzywił. W jego mózgu pojawiały się coraz to nowe wzajemnie sprzeczne obrazy przyszłości. W tych warunkach, w podnieceniu, strachu i stresie, odrodził się w nim były pracownik Agencji, Yansowiec. – Co takiego wymyślą. Czy jest w ogóle jakiś sposób wytłumaczenia tego? Jak Boga kocham, ja go nie znam. Przynajmniej w tej chwili nie mogę żadnego wymyślić. Ale Lantano może. Nie masz pojęcia, Nick, jaki on ma łeb. Tak, on pewnie coś wymyśli.

– Myślisz, że największe kłamstwa są jeszcze przed nami? – spytał Nicholas.

Po długiej, najwyraźniej przepelnionej wahaniem pauzie, Adams odparł:

– Tak.

– Nie mogą powiedzieć prawdy?

– Czego?! Słuchaj, Nick, niezależnie od tego, kto przejmie władzę, jaki szalony układ wszelkich możliwych szuj został nawiązany, jaka grupa albo osoba położyła łapę na atutach w tej talii po długim dniu pełnym tego, co się tam wydarzyło, osoba ta ma teraz ciężki orzech do zgryzienia. Musi jakoś wytłumaczyć istnienie zielonego, pięknie przyciętego i zadbanego parku, jaki rozciąga się na całej planecie. To jest najważniejsze. Nie chodzi o to, żeby w jakiś sposób wytłumaczyć to mnie, tobie albo paru byłym osadnikom rozsianym tu i ówdzie, ale setkom milionów wrogich, przeraźliwie wkurzonych sceptyków, którzy będą teraz zaprzeczać każdemu słowu, jakie zostanie do nich wypowiedziane za pośrednictwem ekranu telewizyjnego, i to niezależnie od tego, kto je wypowie. Myślisz, że będzie to proste, Nick? Chyba chciałbyś mieć na taką okazję jakieś rozsądne wytłumaczenie, co?

– W ogóle nie chciałbym im tego tłumaczyć.

– A ja tak – ciągnął Adams. – Jego twarz zdradzała podniecenie. – Dałbym wszystko, żeby siedzieć teraz w moim biurze w Agencji, przy Piątej Alei 580 i oglądać tę transmisję. Na tym polega moja praca. Na tym polegała moja praca. Ale bałem się mgły, samotności. Niepotrzebnie pozwoliłem jej się dopaść. Teraz nie poszłoby jej tak łatwo. Sprawa jest zbyt poważna. Cały czas pracowaliśmy, żeby zobaczyć taki moment, i akurat teraz, kiedy ten moment nadszedł, nie ma mnie tam. Uciekłem i chowam się. – Jego gorycz i poczucie przegranej najwyraźniej przybierały na sile. Adams zamilkł, jakby został brutalnie uderzony w żołądek, jakby został odepchnięty i teraz spadał bez nadziei na ocalenie, bo nie miał się czego złapać. Adams chwycił się powietrza, ale na próżno. Mimo to nie poddawał się.

– To już skończone – przypomniał mu Nick, nie starając się ani nie chcąc być uprzejmym. – Skończone dla ciebie i dla nich. – Bo ja zamierzam powiedzieć im prawdę, dokończył w myślach.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Adams wyzierał z przepaści, do której wpadł i w której nadal się pograżał. Obydwaj czuli, że nic ich nie łączy. Byli odseparowani od siebie i całkowicie sobie obcy.

I wtedy, sekunda po sekundzie, pustka, przestrzeń pomiędzy nimi zaczęła się powiększać. W końcu nawet Nicholas wyczuł ją, czuł uścisk tego, co Joseph Adams nazywał „mgłą”. Wewnętrzna, bezgłośnie mgła.

– No więc dobra – mruknął Adams. – Wypaplasz im prawdę. Załatwisz sobie jakiś mały, dziesięciowatowy nadajnik i podburzysz następną osadę. Każesz im przekazać informację dalej. Ja wracam do mojej posiadłości i do mojej biblioteki, gdzie powinienem teraz siedzieć i pisać przemówienie. Nie mam wątpliwości, że będzie to najlepsze przemówienie, jakie dotąd napisałem. Kulminacja. Tego przecież potrzebujemy. Będzie lepsze od prac Lantana. Kiedy muszę, potrafię przerosnąć nawet jego. Nikt nie jest lepszy ode mnie w tej pracy. Więc zobaczymy, Nick. Poczekamy i zobaczymy, kto wygra, kto komu uwierzy, kiedy to się skończy. Masz swoją szansę, ale ja też nie mam zamiaru pozwolić umknąć mojej szansie. Nie chcę pozostać w tyle. Jak relikwiot przeszłości. – Przyglądał się Nicholasowi.

Zadyszana i podniecona Rita biegła korytarzem w kierunku swojego męża.

– Nicholas, właśnie słyszałam... wojna się skończyła i mamy wychodzić na górę. Możemy wreszcie zacząć...

– Jeszcze nie – przerwał jej Nicholas. – Jeszcze nie są przygotowani. Warunki panujące na powierzchni nie są odpowiednie. – Odpowiedział Adamsowi przenikliwym, zimnym spojrzeniem.

– Prawda?

– Zgadza się – przytaknął powoli i mechanicznie Adams. Zabrzmiało to tak, jakby już od nich odszedł, a tylko mała, bardzo mała część jego jestestwa pozostała tutaj i właśnie się wypowiadała. – Ale tak jak powiedział Nick, już wkrótce wszystko wróci do normy.

– Ale to prawda – mówiła podniecona Rita – że wygraliśmy. DemoLudy poddały się naszej armii blaszaków. Yans tak powiedział. Audycja przekazywana była do wszystkich kabin, słyszałam u nas, na dole. – Widząc wyraz twarzy męża, dodała niepewnie: – To nie są plotki. Yans, Protektor osobiście to powiedział.

Nicholas zwrócił się do Adamsa:

– Słuchaj, co ty na to? Mógłbyś im powiedzieć... Mógłbyś nam powiedzieć, że to niespodzianka. Na nasze urodziny.

– Nie – rzekł Adams stanowczo, ważąc każde słowo Nicholas. – To na nic. Nie uwierzą.

– Poziom radioaktywności – podrzucił Nicholas. Był już zmęczony. Nie był jednak na tyle zmęczony, żeby widzieć świat w czarnych barwach i popadać w rozpacz. Mimo wszystkiego, co on i Adams wiedzieli. – Promieniowanie.

Adams gwałtownie zamrugał oczyma.

– Promieniowanie – ciągnął Nicholas – dopiero teraz opadło do właściwego poziomu. Proszę bardzo, co ty na to? Przez te wszystkie lata musieliście wmawiać nam... Nie mieliście

wyboru. Z moralnego i praktycznego punktu widzenia konieczne było takie podejście do rzeczy. Musieliście mówić, że wojna jeszcze trwa. Inaczej ludzie natychmiast pospieszyliby na powierzchnię.

– Co oznaczałoby dla nich śmierć – dokończył Adams, kiwając głową.

– Wyszliby za wcześnie – wtórował Nicholas. – Byliby zbyt nierozsądni i niemądrze wystawiliby się na działanie promieniowania. Zginęliby. Kiedy więc przyjrzymy się temu bliżej, można powiedzieć, że jako przywódcy czuliście się odpowiedzialni za wasz naród. Co ty na to?

– Wiem, że możemy coś jeszcze wymyślić – rzekł cicho Adams.

– Ja też to wiem – poparł go Nicholas. Nie wiesz tylko o jednej rzeczy, myślał, obejmując żonę ramieniem i przyciągając ją bliżej siebie.

Nic nie wymyślicie. Bo wam nie pozwolimy.